**Pasterska korona**

Terry Pratchett

Przełożył Piotr W. Cholewa

Esmeraldzie Weatherwax

— uważaj na siebie.



Prolog

KORONA Z KREDY

Narodziła się w mrokach Okrągłego Morza; z początku była miękką, dryfującą istotą, niesioną tam i z powrotem przez kolejne fale. Wyrosła jej muszla, choć w tym falującym, wirującym świecie żyły wielkie stwory, które i tak w jednej chwili mogłyby ją zgnieść. Mimo to przetrwała. Jej delikatne życie mogłoby trwać tak w nieskończoność, póki by go nie przerwały niebezpieczeństwa przyboju lub inne pływające stwory — gdyby nie kałuża.

Kałuża była ciepła, położona wysoko na plaży, zasilana rzadkimi, nadlatującymi od Osi sztormami; istota żywiła się w niej stworzeniami jeszcze mniejszymi od siebie, i rosła, aż stała się królem. I pewnie stałaby się jeszcze większa, gdyby nie gorące lato, które sprawiło, że woda wyparowała.

I tak mała istota umarła, ale jej skorupka przetrwała, niosąc w sobie zalążek czegoś ostrego. Przy kolejnym przypływie fala zmyła ją w przybrzeżne wody, gdzie utknęła, przetaczając się tam i z powrotem wśród kamieni i innych pozostałości po sztormach.

Morze falowało przez wieki, aż wyschło i cofnęło się z lądu, a kolczasta muszla dawno martwej istoty zapadała się w warstwach muszli innych stworzonek, które nie przetrwały. I tam leżała, z powoli rosnącym wewnątrz ostrym jądrem, aż do dnia, kiedy znalazł ją pasterz, pilnujący swych stad na wzgórzach, które teraz nazywano Kredą.

Dziwny przedmiot przyciągnął jego wzrok, schylił się więc, uniósł go i obejrzał ze wszystkich stron. Był zaokrąglony, ale nie całkiem, i pasował do wnętrza dłoni. Kształt wydawał się zbyt regularny jak na krzemień, choć miał krzemień w sercu. Powierzchnia była szara jak w kamieniu, ale z sugestią złota pod szarością. Na powierzchni wyczuwał pięć wyraźnych grzbietów w równych odstępach, niemal jak paski, sięgających od płaskiej podstawy po wierzchołek. Widział już takie rzeczy, ale ta była jakaś inna — całkiem jakby sama wskoczyła mu do ręki.

Dziwne znalezisko przetoczyło się, kiedy pasterz próbował obrócić je w dłoni, i miał wrażenie, że chce coś mu powiedzieć. To głupi pomysł, sam o tym wiedział, a jeszcze nie był na piwie, lecz ten niezwykły obiekt zdawał się wypełniać cały jego świat. Po chwili pasterz przeklął własną głupotę — ale mimo to zachował kamyk i zabrał ze sobą, by pokazać kumplom w pubie.

— Patrzcie — powiedział. — Wygląda jak korona.

Tamci oczywiście wybuchnęli śmiechem.

— Korona? — zawołali. — A po co ci korona? Nie jesteś żadnym królem, Danielu Obolały.

Ale pasterz zabrał swą zdobycz do domu i ostrożnie ułożył na półce w kuchni, gdzie trzymał rzeczy, które lubił.

I tam, w końcu, została zapomniana i utracona dla historii.

Ale nie dla Obolałych, którzy przekazywali ją sobie z pokolenia na pokolenie.



Rozdział 1

GDZIE WIATR POWIEJE

To był jeden z tych dni, które człowiek długo zachowuje w pamięci. Wysoko na łąkach, powyżej farmy rodziców, Tiffany Obolała czuła się tak, jakby mogła sięgnąć wzrokiem na sam koniec świata. Powietrze było czyste jak kryształ, a w rześkim wietrze zeschłe jesienne liście wirowały wokół jesionów, gdy te klekotały gałęziami, by zrobić miejsce dla nowych wiosennych pąków.

Zawsze się zastanawiała, czemu rosną tu drzewa. Babcia Obolała powiedziała kiedyś, że prowadziły tędy dawne trakty, wytyczone w czasach, kiedy dolina poniżej była bagnem. Babcia mówiła, że właśnie dlatego ludzie stawiali swoje domy tutaj, na górze — dalej od mokradeł i od innych ludzi, którzy chcieliby uprowadzić ich stada.

Może czuli się bezpiecznie w pobliżu starych kamiennych kręgów, jakie tu znajdowali. A może to właśnie oni je wznieśli? Nikt nie wiedział na pewno, skąd się wzięły... ale chociaż tak naprawdę w to nie wierzyli, wszyscy byli przekonani, że takie rzeczy lepiej zostawić w spokoju, na wszelki wypadek. W końcu jeśli nawet taki krąg ukrywał jakieś sekrety czy skarby, to jaki z nich pożytek, gdy chodzi o owce? I chociaż wiele kamieni już upadło, może jednak osoba pod nimi pogrzebana nie chciałaby, żeby ktoś ją wykopał? Przecież to, że człowiek jest martwy, nie oznacza jeszcze, że nie może się rozgniewać. O nie...

Nawet Tiffany wykorzystała kiedyś pewne konkretne kamienie, żeby przejść przez bramę do Krainy Baśni — krainy całkiem innej niż opisywana w Xiędze Baśniowych Opowyeści dla Grzecznych Dzieci. Wiedziała więc, że niebezpieczeństwa są realne.

Dzisiaj, z jakiejś przyczyny, naszła ją ochota, by znowu pójść do tych kamieni. Jak każda rozsądna czarownica, nosiła mocne buty, które mogły przejść po wszystkim — dobre, praktyczne buty. Jednak nie przeszkadzały jej wyczuwać krainy, słyszeć, co do niej mówi. Zaczęło się od lekkiego łaskotania, swędzenia przenoszącego się na stopy i żądającego, by je usłyszeć, ponaglającego, by pomaszerować na hale, odwiedzić krąg — mimo że akurat wciskała rękę w owczy zadek, by wyleczyć paskudny przypadek kolki. Czemu miałaby iść do kamieni, Tiffany nie wiedziała, ale żadna czarownica nie ignorowała czegoś, co mogło być wezwaniem. Poza tym kręgi stały tam jako bariera. Chroniły jej krainę — chroniły przed tym, co mogło przez nie przejść...

Wyruszyła natychmiast, z nieco zmarszczonym czołem. Jednak na samym szczycie Kredy wszystko wyglądało jak należy. Zawsze tak było. Nawet dzisiaj.

Ale czy na pewno? Ku zaskoczeniu Tiffany nie była jedyną, którą tego dnia coś przyciągnęło do kręgu. Bo kiedy rozglądała się w tym rześkim, czystym powietrzu i słuchała wiatru, rozpoznała błysk rudych włosów, plamę tatuowanej niebieskiej skóry — i usłyszała mruknięcie „Łojzicku”, gdy jakiś szczególnie rozbawiony kłąb liści zaczepił się na hełmie z króliczej czaszki.

— Kelda sama mie tu psysłoła, cobym mioł te kamycki na łoku — oznajmił Rob Rozbój ze swego punktu obserwacyjnego na sterczącym z ziemi kawałku skały.

Czujnie omiatał wzrokiem okolicę, jakby wypatrywał rabusiów. Skądkolwiek by przychodzili. Zwłaszcza gdyby nadeszli przez krąg.

— I jakby który z tych paskudów chciał se wrócić i jesce roz próbować, będziemy gotowi, wis — dodał z nadzieją w głosie. — Psyjmiemy ich z nasom najlepsom feeglowom gościnnościom. — Wyprostował swoją chudą sylwetkę na pełne sześć cali i pogroził mieczem niewidzialnemu wrogowi.

Efekt, jak uznała Tiffany już nie po raz pierwszy, był dość imponujący.

— Ci starożytni rabusie od dawna są martwi — powiedziała, zanim zdążyła się powstrzymać, chociaż jej Drugie Myśli podpowiadały, by słuchała uważnie. Jeśli Jeannie, żona Roba i kelda klanu Feeglów, widziała, że nadchodzą kłopoty, to znaczy, że kłopoty są blisko.

— Martwi? Ano, takoz i my som — odparł Rob[[1]](#footnote-1).

— Niestety... — Tiffany westchnęła. — W tych dawnych czasach śmiertelnicy zwyczajnie umierali. Nie wracali, jak wam się to chyba udaje.

— By wracali, jakby mieli nasom broze.

— Co to takiego?

— No wis, broza to jakby tako łowsianka, ino ze syćkim w środku i jesce kapeckom brandy albo maści do łowiecek łod twojej starej babci.

Tiffany się roześmiała, ale niepokój jej nie opuszczał. Muszę porozmawiać z Jeannie, pomyślała. Muszę się dowiedzieć, czemu ona i moje buty czują to samo.

\* \* \*

Kiedy dotarli do porośniętego trawą sporego kopca, kryjącego zawiły labirynt siedziby Feeglów, Tiffany i Rob skierowali się do maskującej główne wejście kępy głogu. Tam znaleźli Jeannie — siedziała na zewnątrz i jadła kanapkę.

Baranina, pomyślała Tiffany z odrobiną irytacji. Dobrze pamiętała o umowie z Feeglami, pozwalającej im porwać czasem jakąś starą owcę w zamian za zabawę przy odganianiu kruków, które w przeciwnym wypadku atakowały lotem nurkowym młode owce, a te z kolei robiły to, co owce potrafią najlepiej, to znaczy gubiły się i ginęły. Chociaż zagubione owce w Kredzie nauczyły się nowej sztuczki — często pędziły przez hale z wielką prędkością, czasami do tyłu, z Feeglem przy każdym kopytku, i w ten sposób powracały do swoich stad.

Keldzie niezbędny był wielki apetyt, ponieważ w klanie Nac Mac Feeglów była jedyną keldą i miała mnóstwo synów, plus wyskakującą z rzadka szczęśliwą córkę[[2]](#footnote-2). Za każdym razem, kiedy Tiffany ją widziała, Jeannie wydawała się trochę szersza i trochę bardziej okrągła. Jej biodra musiały pracować i Jeannie na pewno mocno się starała o ich powiększenie, atakując coś, co wyglądało na pół baraniego udźca między dwoma kromkami chleba — niezwykły wyczyn dla Feegla wzrostu sześciu cali. Kiedy Jeannie dojrzeje i stanie się starą i mądrą keldą, słowo „pas” nie będzie już określać czegoś, co podtrzymuje jej kilt, ale raczej coś, co wyznacza równik.

Młodzi Feeglowie paśli ślimaki i bawili się w zapasy. Odskakiwali od siebie nawzajem, od kamieni, a czasem i od własnych butów. Wobec Tiffany żywili nabożny lęk, uważając ją za kogoś w rodzaju keldy, kiedy więc się zbliżyła, porzucili swoje bójki i tylko spoglądali na nią nerwowo.

— No ustowcie sie, chłopcy. Pokozcie nosej wiedźmie, jako zeście cięzko pracowali — zawołała ich matka z odcieniem dumy w głosie. Starła z wargi kroplę smalcu.

Och, nie, jęknęła w duchu Tiffany. Co zaraz zobaczę? Mam nadzieję, że nie ma to związku ze ślimakami.

Ale Jeannie powiedziała:

— Niech nosa wiedźma posłucha nosego ABC. Ty zacynos, Trochę-Bardziej-Ciut-Niż-Ciut-Jock-Jocku.

Pierwszy Feegle w szeregu podrapał się po spogu i wygrzebał stamtąd jakiegoś chrząszcza. Tiffany wydawało się niezmienną regułą, że feeglowy spog zawsze musi świerzbieć, prawdopodobnie dlatego, że to, co Feegle w nim trzyma, może jeszcze być żywe.

Trochę-Bardziej-Ciut-Niż-Ciut-Jock-Jock przełknął ślinę.

— A jest jak... alabarda — zawołał. — Taki topór długi, coby łeb komu łobciąć — wyjaśnił z dumą.

— B jest jak buty! — wykrzyknął następny, wycierając o front kiltu dłoń umazaną czymś, co wyglądało na ślimaczy śluz. — Coby łeb komu psydeptać.

— A C jest jako ciachnięcie miecem... i łojzicku, jak nic cie skopie, jak jesce roz dźgnies mie tym miecykiem! — wrzasnął trzeci, odwrócił się i rzucił na jednego z braci.

Kiedy walczący odtoczyli się pod krzaki, na ziemię spadł pożółkły sierpowaty przedmiot. Rob porwał go i spróbował ukryć za plecami.

Tiffany zmrużyła oczy. To coś podejrzanie przypominało... tak jest, kawałek starego paznokcia u nogi!

— No... — Rob przestępował z nogi na nogę. — Ciągle łobcinas te kawałecki tym storsym panom, co ich prawie codziennie łodwiedzos. I łone wylatują bez okno i cekają ino, coby je kto podniósł. A twarde są jak te pazury...

— Bo to są... — zaczęła Tiffany, ale urwała. Może ktoś taki jak stary pan Nimlet ucieszyłby się, wiedząc, że niektóre części jego ciała mogą się jeszcze komuś przydać, chociaż on sam nie potrafi już bez pomocy wstać z fotela.

Kelda pociągnęła ją na bok.

— Sama wis, dziewusko, ze twoje imie jest w tej ziemi. Ona mówi do ciebie, Tir-fan-thóinn, Lądzie Pod Falami. Ty też do niej mówis?

— Tak — zapewniła Tiffany. — Tylko czasem, niestety. Ale słucham, Jeannie.

— Nie kazdego dnia? — domyśliła się kelda.

— Nie, każdego nie. Tyle do roboty, tyle pracy...

— To wim. A ty wis, ze ciebie pilnuje. Patse na ciebie w swojej głowie, ale patse tez, jako śmigas dookoła nad tą głową. Ino musis pamiętać, cobyś łod tego nie umarła.

Tiffany westchnęła, zmęczona do szpiku kości. Chodzenie po domach — to trzeba robić, jeśli jest się czarownicą współczującą. To właśnie robiła ona i inne, by wypełniać luki w świecie, wykonywać rzeczy, które wykonywać trzeba: nanieść drewna dla jakiejś staruszki, postawić na piecu garnek zupy na obiad, podać ziołowe lekarstwo na wrzody albo męczący ból, przynieść koszyk „zbędnych” jajek albo używanych ubranek dla dziecka w domu, gdzie się nie przelewa, i słuchać, o tak, wciąż słuchać o rozmaitych kłopotach i zmartwieniach. No i paznokcie... te paznokcie, które wydawały się twarde jak krzemień, a zdarzało się, że jakiemuś staruszkowi bez rodziny i przyjaciół zawijały się w butach.

A nagrodą za tyle pracy było tylko więcej pracy. Jeśli człowiek wykopie najgłębszy dół, dadzą mu większą łopatę...

— Dzisiaj, Jeannie — oświadczyła powoli. — Dzisiaj słuchałam krainy. Powiedziała mi, żeby iść do kręgu...?

Znak zapytania zawisł w powietrzu.

Kelda westchnęła.

— Jesce zem tego cysto nie widziała, ale... ale coś złego wisi w powietsu, Tiffan — powiedziała. — Zasłona między nosymi światami jest cienka i łatwo ją zerwać, jak wis. Kamienie stoją, więc brama nie jest łotwarto. A królowa elfów takos nie bedzie silna, odkąd ześ ją ostatnio psegnała z powrotem do Krainy Baśni. Nie bedzie sie spiesyła, coby znowu wyjść do ciebie. Ale... ciągle sie martwie. Cuje to teraz, jakby jakasik mgła płyneła w naso strone.

Tiffany przygryzła wargę. Wiedziała, że jeśli kelda się niepokoi, ona także powinna.

— Nie fesztuj się, dziewusko. — Kelda przyglądała się jej uważnie. — Kiedy bedzies Feeglów potsebować, bedziemy na miejscu. A na razie ino uwazamy na ciebie. — Zjadła ostatni kawałek kanapki i rzuciła Tiffany całkiem inne spojrzenie. — Mas tego swojego młodego cłeka... Prestona, tak go zwies chyba. Cęsto go widzis?

Wzrok keldy stał się nagle ostry jak topór.

— No wiesz... — Tiffany się zawahała. — Ciężko pracuje, tak jak ja. On w szpitalu, a ja w Kredzie.

Ze zgrozą spostrzegła, że zaczyna się rumienić — takim rumieńcem, który zaczyna się od palców u nóg, a potem przesuwa się w górę aż do twarzy i w końcu człowiek wygląda jak pomidor. Nie wolno jej przecież się rumienić! Jakby była wiejską dziewczyną z narzeczonym. A przecież jest czarownicą!

— Pisujemy do siebie — dodała niepewnie.

— I to wystarca? Pisanie?

Tiffany przełknęła ślinę. Kiedyś sądziła — wszyscy tak uważali — że między nią i Prestonem jest Porozumienie, bo przecież on jest wykształconym chłopakiem i prowadził nową szkołę w stodole na farmie Obolałych, aż zaoszczędził dość, by pojechać do wielkiego miasta i tam wyuczyć się na doktora. I teraz nadal wszyscy uważali, że mają Porozumienie, łącznie z Prestonem i Tiffany. Tylko że... czy naprawdę musi robić to, czego inni się po niej spodziewają?

— Jest bardzo miły, opowiada cudowne żarty i radzi sobie ze słowami... — próbowała tłumaczyć. — Ale... lubimy naszą pracę, on i ja, można nawet powiedzieć, że jesteśmy tą pracą. Preston bardzo się stara w Darmowym Szpitalu Lady Sybil. A ja ciągle pamiętam o babci Obolałej i jak kochała to życie na halach, tylko ona, owce i jej dwa psy, Grom i Piorun. I...

Zamilkła. Jeannie położyła jej na ręku swą małą dłoń, brązową jak orzech.

— I myślis, dziewusko, ze to dobre zycie?

— No... Lubię to, co robię. I pomagam ludziom.

— Ale kto tobie pomaga? Ta twoja miotła lata wsędy i casem se myślę, ze stanie w łogniu. Kazdego psypilnujes, ale ciebie ni ma kto pilnować. Skoro Preston daleko, jest jesce twój psyjaciel baron i jego nowa zona. Na pewno dbają o ludzi. Dość, coby pomagać.

— Dbają, to prawda.

Tiffany drgnęła na wspomnienie tych czasów, kiedy wszyscy uważali, że między nią i Rolandem jest Porozumienie. Dlaczego wszyscy koniecznie chcieli szukać dla niej męża? Czy mężowie są tak trudni do znalezienia, gdyby jej zależało?

— Roland jest porządnym człowiekiem, choć jeszcze nie takim, jakim stał się jego ojciec. A Letitia...

Letitia, pomyślała Tiffany. I ona, i Letitia wiedziały, że Letitia ma zdolności magiczne, ale w tej chwili grała rolę młodej baronowej. I dobrze jej to wychodziło — tak dobrze, że Tiffany zaczynała się zastanawiać, czy Bycie Baronową nie przeważy w końcu nad Byciem Czarownicą. Z pewnością wymaga mniej wysiłku.

— Juześ takie zecy robiła, ze inni by nie uwiezyli — mówiła dalej Jeannie.

— No wiesz... Ciągle tak dużo jest do zrobienia, a tak mało ludzi do tego.

Kelda rzuciła jej dziwny uśmiech.

— A dajes im popróbować? — spytała malutka kobieta. — Casem tsa poprosić o pomoc i ni ma sie co bać. Duma to pikna zec, dziewusko, ale moze cie zabić.

Tiffany zaśmiała się głośno.

— Zawsze masz rację, Jeannie. Ale jestem czarownicą i dumę mam w kościach.

Mówiąc to, przypomniała sobie babcię Weatherwax — czarownicę, którą inne czarownice uważały za najmądrzejszą i najważniejszą z nich wszystkich. Kiedy babcia Weatherwax coś mówiła, nie wydawała się dumna — ale nie musiała. Duma była tam, wbudowana w samą jej istotę. Zresztą cokolwiek czarownica powinna mieć w kościach, babcia Weatherwax miała tego pod dostatkiem. Tiffany żywiła nadzieję, że pewnego dnia sama zostanie tak potężną czarownicą.

— Wis, to i dobze, jasna sprawa — stwierdziła kelda. — Jest ześ nasą wiedźmą ze wzgóz i tseba, coby naso wiedźma miała trosecke dumy w sobie. Ale byśmy tes chcieli, coby naso wiedźma miała jakiesik zycie. — Z powagą przyjrzała się Tiffany. — Idźze teraz i podązaj tam, gdzie wiater powieje.

\* \* \*

Wiatr we Włościach gniewał się, wiał we wszystkie strony i zawodził wokół kominów rezydencji lorda Swivela, która wznosiła się wśród rozległego parku. Prowadziła do niej długa aleja — co wykluczało odwiedziny kogokolwiek, kto nie posiadał przynajmniej porządnego konia.

Dotyczyło to większości zwykłych ludzi w okolicy — prostych rolników, którzy i tak mieli za dużo pracy, by myśleć o takich wizytach. Wszelkie konie, jakie posiadali, były na ogół wielkie i z kosmatymi nogami, a zwykle widziano je zaprzęgnięte do wozów. Te chude, na wpół szalone rumaki, które tańczyły na podjeździe albo ciągnęły karoce, sugerowały całkiem inną kategorię właścicieli: takich, którzy zawsze mieli ziemię i pieniądze, ale z reguły bardzo małe podbródki. I których żony często były podobne do ich koni.

Ojciec lorda Swivela odziedziczył tytuł i majątek po swoim ojcu, wielkim architekcie. Był jednak pijakiem i stracił prawie wszystko[[3]](#footnote-3). Młody Harold Swivel harował i handlował, owszem, także oszukiwał i kantował, aż odzyskał rodowe dobra i dodał dwa skrzydła do rodowej rezydencji. Wypełnił je obiektami kosztownie brzydkimi.

Miał trzech synów i odczuwał wielką satysfakcję z faktu, że jego żona urodziła jednego dodatkowego ponad tradycyjnego „dziedzica plus rezerwę”. Lubił być o krok dalej od innych, nawet jeśli ten krok miał formę syna, o którego specjalnie się nie troszczył.

Harry, najstarszy, nie uczęszczał już do szkół, ponieważ zajmował się teraz majątkiem, pomagał ojcu i uczył się, z kim warto rozmawiać, a z kim nie.

Numer drugi, Hugh, wyjawił ojcu, że myśli o karierze w kościele.

— Tylko jeśli będzie to Kościół Oma. Żaden inny. Mój syn nie będzie się bawił w kultystyczne rytuały[[4]](#footnote-4).

Om zwykle dogodnie milczał, pozwalając swym kapłanom, by jego życzenia interpretowali, jak zechcą. Co dziwne, życzenia Oma rzadko przekładały się na instrukcje w rodzaju „nakarm ubogich” albo „pomagaj starym i słabym”, a częściej na sugestie typu „potrzebna ci okazała rezydencja” albo „czemu nie podawać obiadu z siedmiu dań?”. Dlatego lord Swivel uznał, że ktoś z kleru w rodzinie może się okazać przydatny.

Trzecim synem był Geoffrey. I nikt właściwie nie wiedział, co o nim myśleć. Nie wyłączając samego Geoffreya.

Nauczyciel, którego zatrudnił lord Swivel, nazywał się Kretall. Starsi bracia Geoffreya nazywali go Krętalem, czy wręcz Kręciołem, niekiedy prosto w twarz. Ale dla Geoffreya pan Kretall był prawdziwym darem bogów. Przybył z wielką skrzynią własnych książek, aż nazbyt dobrze wiedząc, że w niektórych wspaniałych domach z trudem daje się znaleźć choć jedną — chyba że chodzi o dzieła poświęcone dawnym bitwom, w których jakiś przedstawiciel rodu wykazał się spektakularnym i głupim bohaterstwem. Pan Kretall z pomocą swych cudownych książek uczył Geoffreya o wielkich filozofach: Ly Tin Weedle’u, Oranjecratesie, Xenonie czy Ibidzie, o słynnych wynalazcach: Złotookim Srebrnorękim Dactylosie i Leonardzie z Quirmu. I Geoffrey zaczął odkrywać, kim mógłby się stać.

Kiedy nie czytali i się nie uczyli, pan Kretall zabierał Geoffreya, by w całych Włościach wyszukiwać różne rzeczy — stare kości i stare miejsca. Opowiadał mu o wszechświecie, o którym chłopiec wcześniej nie myślał. Im więcej się teraz dowiadywał, tym bardziej pragnął wiedzy; marzył, by dowiedzieć się wszystkiego o Wielkim A’Tuinie i o krainach poza Włościami.

— Przepraszam pana — zwrócił się kiedyś do Kretalla. — Jak pan został nauczycielem?

Kretall roześmiał się.

— Ktoś mnie uczył, jak to zwykle. I dał mi książkę. Potem czytałem już każdą, jaką znalazłem. Całkiem jak ty, młody paniczu. Widzę, że czytasz przez cały czas, nie tylko na lekcjach.

Geoffrey wiedział, że ojciec pogardza nauczycielem, ale interweniowała jego matka, tłumacząc, że syn trafił na prawdziwą perłę.

Ojciec zaśmiał się tylko.

— Jedyne, na co trafia, to błoto i kawałki martwych ludzi. A kogo obchodzi, gdzie leżą Czteriksy? Nikt nigdy tam nie jeździ[[5]](#footnote-5).

Matka wyglądała na znużoną, ale stanęła po stronie syna.

— Chłopiec bardzo dobrze czyta, a pan Kretall nauczył go trzech języków. Mówi nawet trochę po offleriańsku.

Ojciec znów odpowiedział drwiąco:

— Offleriański by mu się przydał tylko wtedy, gdyby chciał zostać dentystą! Po co w ogóle tracić czas na naukę języków? Przecież dzisiaj i tak wszyscy mówią po ankhmorporsku!

Ale matka zachęcała syna do nauki:

— Czytaj dalej, mój chłopcze. Czytanie to droga w górę. Wiedza jest kluczem do wszystkiego.

Wkrótce potem nauczyciel został odesłany przez lorda Swivela, który stwierdził:

— Dość już tych głupot. Z chłopaka i tak niewiele będzie pożytku. Nie to co z jego braci.

Ściany domu niosły głos bardzo daleko, więc Geoffrey usłyszał to i pomyślał: Kimkolwiek zechcę się stać, nie będę taki jak mój ojciec.

Po wyjeździe nauczyciela Geoffrey wciąż wędrował po okolicy i uczył się nowych rzeczy. Często przebywał w towarzystwie McTavisha, chłopca stajennego, który był stary jak same wzgórza, ale wciąż mówiono o nim „chłopiec”. McTavish znał wszystkie ptasie trele na świecie i potrafił je naśladować.

McTavish był przy Geoffreyu, kiedy chłopiec znalazł Mefistofelesa. Jedna ze starych kóz miała młode — dwa zdrowe koźlęta. Ale było też trzecie, ukryte w sianie — małe i cherlawe, odrzucone przez matkę.

— Spróbuję uratować tego malucha — oznajmił Geoffrey.

Przez długi czas starał się utrzymać noworodka przy życiu: doił mleko matki i pozwalał, by koziołek zlizywał mu je z palca, dopóki nie zasnął spokojnie w rozgrzebanej beli siana, dającej ciepło im obu.

Jest taki mały, myślał Geoffrey, patrząc w poziome źrenice koziołka. Muszę mu dać szansę.

Maluch odwdzięczył się, wyrastając na mocnego kozła z demonicznym kopnięciem. Chodził za Geoffreyem wszędzie; pochylał głowę, gotów atakować wszystko, co uznał za zagrożenie dla swego młodego pana. Ponieważ często oznaczało to każdego w zasięgu wzroku, wielu służących i gości odskakiwało szybko, widząc opuszczone koźle rogi.

— Dlaczego, paniczu, nazwałeś go Mefistofeles? — zapytał kiedyś McTavish.

— Znalazłem to imię w książce[[6]](#footnote-6) — odparł Geoffrey. — Od razu zrozumiałem, że będzie dobre dla kozła.

Pewnego dnia McTavish osiodłał Geoffreyowi konia i razem pojechali na pola przy granicy posiadłości Swivelów. Ostrożnie przekradli się w pobliże lisiej nory w lesie i tam, jak już tyle razy wcześniej, przyglądali się zabawie lisicy z młodymi.

— Miło tak se na nią popatrzyć — szepnął McTavish. — Taki lis to musi jeść i młodziaki wykarmić. Ale za bardzo lubi nasze kury jak na mój gust. Zabijają to, co dla nas ważne, to i my je zabijamy. Tak to jest na tym świecie.

— Nie powinno tak być — odparł Geoffrey ze smutkiem. Serce mu drżało, kiedy patrzył na lisią rodzinę.

— Ale trzeba nam kur, no to je chronimy. No to i polujemy na lisy — mówił McTavish. — Żem cię tu dziś sprowadził, paniczu Geoffreyu, bo czas już bliski, kiedy twój ojciec zechce, żebyś dołączył do polowania. Na tę tu lisicę, może.

— Rozumiem — odparł Geoffrey. Wiedział o polowaniu, oczywiście: od dzieciństwa co roku musiał się przyglądać wyjazdowi myśliwych. — Musimy bronić naszych kur, a świat bywa okrutny i bezlitosny. Ale nie można z tego robić rozrywki! To straszne! Jak egzekucja. Czy musimy wszystko mordować? Zabijać karmiącą matkę? Tak wiele bierzemy, niczego nie dając w zamian... — Podniósł się i ruszył z powrotem, do swojego konia. — Nie chcę polować, panie McTavish. Słowo daję, nie lubię nienawidzić, nawet do mojego ojca nie czuję nienawiści, ale polowania wolałbym zakończyć i zakopać w jakimś ciemnym miejscu.

McTavish wyraźnie się zmartwił.

— Musisz być ostrożny, młody paniczu. Sam wiesz, jaki jest twój ojciec. Trochę sztywny, jak kij wbity w muł.

— Ojciec nie jest jak kij w mule, jest jak muł — stwierdził z goryczą Geoffrey.

— No więc, kiedy z nim porozmawiasz... albo z matką... może zrozumie, żeś jeszcze niegotów do polowania?

— Nie warto — stwierdził Geoffrey. — Kiedy już się na coś uprze, nie da się go przekonać. Czasami słyszę, jak mama płacze... Nie chce, żeby ktoś ją widział, ale ja wiem, że płacze.

Wtedy właśnie, kiedy podniósł wzrok, by spojrzeć na szybującego jastrzębia, pomyślał: to jest wolność. Najbardziej pragnę wolności.

— Chciałbym umieć latać, McTavish — powiedział. — Jak ptaki. Jak Langas[[7]](#footnote-7).

I prawie w tej samej chwili zobaczył czarownicę, która na miotle podążała za jastrzębiem. Wskazał ją ręką.

— Chcę mieć taką — powiedział. — Chcę być czarownicem.

— To nie dla ciebie, chłopcze — odparł starzec. — Wszyscy wiedzą, że mężczyźni nie mogą być czarownicami.

— Czemu nie? — zdziwił się Geoffrey.

Stajenny wzruszył ramionami.

— Nikt nie wie.

A Geoffrey oświadczył:

— Ja chcę wiedzieć.

\* \* \*

W dniu swego pierwszego polowania Geoffrey wyjechał kłusem wraz z całą resztą, blady, ale zdeterminowany. Dzisiaj, myślał, muszę postawić na swoim.

Już wkrótce miejscowe ziemiaństwo galopowało po okolicy. Niektórzy doprowadzali tę rozrywkę do granic, zwalając się do rowów, przez żywopłoty albo bramy, często bez wierzchowców. Tymczasem Geoffrey starannie utrzymywał swoją pozycję z tyłu, za grupą — do chwili, kiedy uznał, że może się wymknąć niezauważony. Okrążył las w przeciwnym kierunku niż myśliwi, choć serce go bolało, zwłaszcza kiedy szczekanie psów zmieniło się w radosny skowyt — znak, że udało im się dopaść ofiarę.

Potem nadszedł czas powrotu do domu. Zbliżał się ten przyjemny etap polowania, w którym słowo „jutro” ciągle jeszcze coś znaczy, a człowiek trzyma w dłoni kubek gorącego napitku, obficie zmieszany z czymś niewiele się różniącym od Specjalnej Maści dla Owiec babci Obolałej. Godna nagroda dla powracających herosów! Przeżyli łowy! Hurra! Popijali i żłopali, a napoje ściekały im po nieistniejących podbródkach.

Ale lord Swivel obejrzał konia Geoffreya — jedynego, który nie był spocony czy spieniony i nie miał nóg ubabranych błotem — i jego furia była nieokiełznana.

Bracia przytrzymali Geoffreya, a matka patrzyła błagalnie, ale bez skutku. Odwróciła głowę, kiedy lord Swivel wysmarował twarz syna krwią lisicy.

Wrzał przy tym ze złości.

— Gdzieś ty się chował? — krzyczał. — Powinieneś być z nami, przy lisicy. Zrobisz to, młodzieńcze, i polubisz! Ja musiałem, kiedy byłem młody, a przede mną mój ojciec! Ty też musisz! To tradycja. Rozumiesz? Każdy męski członek rodziny w twoim wieku się pokrwawił. Jakie masz prawo uważać, że to niesłuszne? Wstyd mi przynosisz!

A potem zabrzmiał świst opadającej na plecy chłopca szpicruty.

Geoffrey, z twarzą ociekającą krwią, spojrzał na matkę.

— Była pięknym stworzeniem. Czemu zabijać ją w taki sposób? Dla zabawy?

— Proszę cię, nie denerwuj ojca — poprosiła matka.

— Widzę je w lesie, a potem na nie polujecie. Zjecie je? Nie. My... to niewyobrażalne... ścigamy i zabijamy coś, czego nie chcemy jeść, tylko dla rozlewu krwi. Dla rozrywki.

Świst.

Zabolało. Ale Geoffreya wypełniło nagle... co? W jednej chwili doznał niezwykłego uczucia, że można pewne rzeczy naprawić. Mogę to zrobić, powiedział sobie; wiem, że mogę.

Wyprostował się na całą wysokość i wyrwał z uchwytu braci.

— Muszę ci podziękować, ojcze — rzekł z nagłą energią. — Nauczyłem się dzisiaj czegoś ważnego. Ale nie pozwolę ci już mnie uderzyć, nigdy. A ty nie zobaczysz mnie więcej, dopóki się nie zmienisz. Zrozumiałeś?

Mówił dziwnie oficjalnym tonem, odpowiednim do takiej okazji.

Harry i Hugh spojrzeli na Geoffreya ze swego rodzaju podziwem i czekali na wybuch. Pozostali myśliwi, którzy zostawili lordowi Swivelowi wolną przestrzeń, w której mógł się rozliczyć ze swym synem, przestali udawać, że nie patrzą. Coś poruszyło światem polowania; atmosfera była lodowata, choć jednocześnie sprawiała wrażenie, że wstrzymuje oddech.

W tej pełnej napięcia ciszy Geoffrey odprowadził konia do stajni. Za jego plecami lord Swivel stał nieruchomy jak głaz.

Geoffrey nałożył koniowi trochę siana, zdjął siodło i uprząż, i właśnie wycierał zwierzę, kiedy podszedł do niego McTavish.

— Dobrze powiedziane, młody Geoffreyu — pochwalił. A potem, zaskakująco gadatliwy, dodał cicho: — Postawiłeś na swoim, to pewne. Nie pozwól tylko, żeby ten drań cię złamał.

— Jeśli będziesz mówił takie rzeczy, McTavish, mój ojciec może cię wypędzić — ostrzegł Geoffrey. — A przecież podoba ci się tutaj, prawda?

— No więc w tym masz rację, drogi chłopcze. Za stary już chyba jestem, żeby teraz coś zmieniać. Ale ty dotrzymałeś ojcu pola i mało kto mógłby to lepiej załatwić. Spodziewam się, że teraz nas opuścisz?

— Niestety, tak. Ale dziękuję ci, McTavish. I mam nadzieję, że ojciec nie będzie mścił się na tobie za to, że ze mną rozmawiasz.

— Tego nie zrobi, nie, nigdy, przynajmniej dopóki na coś się tu przydaję, znaczy — odpowiedział najstarszy chłopak stajenny na świecie. — Zresztą po tylu latach znam go dobrze: jest jak jeden z tych wulkanów niby. Przez jakiś czas wybucha potężnie i groźnie, i nie dba o to, kogo przywalą rozpalone skały, które z siebie wyrzuca. Ale zawsze w końcu się uspokaja. Mądrzy ludzie schodzą mu z oczu, dopóki wybuch się nie skończy. Zawsze żeś mi okazywał uprzejmość i szacunek, paniczu. Tak sobie myślę, żeś więcej wziął po matce. Piękna dama, zawsze dla mnie dobra. Wiele mi pomogła, kiedy umierała moja Molly. Pamiętam jej to. I ciebie również zapamiętam.

— Dziękuję — odparł Geoffrey. — Też będę o tobie pamiętał.

McTavish zapalił ogromną fajkę. Wypuścił z niej kłąb dymu.

— Tak sobie myślę, że będziesz chciał ze sobą zabrać tę swoją przeklętą kozę?

— Owszem. Ale nie sądzę, żebym miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Mefistofeles sam zdecyduje. Zwykle to robi.

McTavish spojrzał na chłopca z ukosa.

— Masz jakieś zapasy na drogę, paniczu Geoffreyu? Jakieś pieniądze? Bo sobie myślę, że lepiej ci teraz nie wracać do domu. Wiesz co? Pożyczę ci trochę grosza, dopóki nie znajdziesz miejsca, gdzie chciałbyś zostać.

— Nie — zaprotestował chłopak. — Nie mógłbym żądać...

— Jestem twoim przyjacielem, paniczu Geoffreyu. Jak mówiłem, twoja matka była dla mnie dobra i mam wielki dług wobec niej. Przyjedź ją czasem odwiedzić. A kiedy już tu będziesz, nie zapomnij się spotkać ze starym McTavishem.

Geoffrey poszedł po Mefistofelesa i zaprzągł go do małego wózka, który specjalnie dla niego zrobił kiedyś McTavish. Załadował do środka parę drobiazgów, chwycił lejce, cmoknął językiem i wyruszyli. Po chwili wyjechali z wybiegu przed stajniami.

McTavish słyszał cichnący stukot drobnych koźlich kopytek na podjeździe.

— Jak on to robi? — wymruczał do siebie. — Ta piekielna koza kopie tyłek każdemu, kto tu wejdzie. Ale nie Geoffreyowi.

Gdyby Geoffrey się obejrzał, zobaczyłby szlochającą matkę, patrzącą błagalnym wzrokiem, i ojca, wciąż nieruchomego jak posąg, zdumionego takim nieposłuszeństwem. Bracia przez chwilę jakby chcieli pobiec za nim, ale się zatrzymali, widząc furię w oczach ojca.

I tak Geoffrey ze swoim kozłem wyruszyli szukać nowego życia. Teraz, myślał, kiedy minął pierwszy z licznych zakrętów i maszerował dalej, ku przyszłości, naprawdę nie mam dokąd pójść.

Ale wiatr szeptał: Lancre...

\* \* \*

W Lancre babcia Weatherwax miała trudny dzień. Młody drwal w górnych partiach Ramtopów niemal odrąbał sobie stopę. W dodatku miejscowy Igor był akurat gdzie indziej, więc drwala nie miał kto pozszywać. Kiedy babcia na swej rozklekotanej miotle dotarła do obozowiska, natychmiast spostrzegła, że młody człowiek jest w stanie o wiele gorszym, niż się spodziewała. Starał się grać dzielnego przed kolegami, którzy zebrali się wokół i próbowali go pocieszać. Babcia jednak widziała cierpienie na jego twarzy.

Kiedy badała ranę, wołał matkę.

— Ty, młody człowieku — rzuciła ostro babcia, przeszywając wzrokiem jednego z kolegów rannego. — Wiesz, gdzie mieszka rodzina tego chłopca?

Chłopak lękliwie kiwnął głową — szpiczasty kapelusz czarownicy często budził niezwykły lęk.

— No to ruszaj — poleciła babcia. — Biegiem. Powiedz kobiecie, że zaraz dostarczę jej syna. Będzie potrzebna gorąca woda i czyste łóżko. Czyste, pamiętaj.

A kiedy chłopak odbiegł pędem, babcia spojrzała groźnie na pozostałych, stojących niepewnie dookoła.

— A wy co? — spytała. — Nie gapcie się tak. Zróbcie nosze z tego drewna, co go tu wszędzie pełno leży, żebym mogła waszego kolegę zabrać do domu.

Stopa chłopaka ledwie się trzymała, a w bucie było pełno krwi. Babcia zacisnęła zęby i sięgnęła po wszystko, co miała w swym arsenale, plus całą wiedzę, jaką zebrała przez długie lata. Spokojnie, łagodnie przejęła jego ból, ściągając go w siebie, dopóki nie zdoła go uwolnić.

Twarz rannego nabrała życia, oczy mu zabłysły i zaczął gawędzić z czarownicą jak ze starą przyjaciółką. Babcia oczyszczała i szyła, i cały czas spokojnym, pogodnym głosem tłumaczyła chłopakowi, co robi. Na koniec podała mu coś, co nazywała „odrobiną nalewki”. Kiedy koledzy przynieśli dość prymitywne nosze, mieli wrażenie, że chłopak niemal całkowicie wrócił do siebie. Tym bardziej że właśnie sennie opowiadał babci, jak dotrzeć do jego domu.

Domostwa drwali w górach często nie były lepsze od szop i okazało się, że chłopak — imieniem Jack Abbott — w takim właśnie mieszkał wraz z matką. Była to rozchwiana chatka, utrzymywana w całości raczej przez glinę niż cokolwiek innego. Kiedy babcia Weatherwax pojawiła się przy niej z przywiązanymi pod miotłą noszami, zmarszczyła ponuro brwi, zastanawiając się, jak w takim otoczeniu uda się utrzymać czystość rany.

Matka wybiegła do syna i krążyła dookoła, a tymczasem przysłany z wiadomością chłopak pomógł babci wnieść nosze do środka i ułożyć rannego na pryczy, na której matka rozłożyła stos koców, by stworzyć odpowiednie dla inwalidy łóżko.

— Leż teraz spokojnie i nie wstawaj — poleciła chłopcu cicho babcia Weatherwax.

A do rozpaczającej matki, która załamywała ręce i wydawała z siebie dźwięki sugerujące, że powinna coś zapłacić, babcia rzekła:

— Żadna zapłata nie jest konieczna, droga pani. Nie tak pracują czarownice. Za parę dni zjawię się, żeby go obejrzeć, a jeśli nie będę mogła, to przyślę panią Ogg. Znam chłopców i pani syn będzie chciał jak najszybciej wrócić do pracy, ale proszę zapamiętać moje słowa: teraz musi leżeć w łóżku i odpoczywać.

Matka chłopca patrzyła na babcię z wdzięcznością.

— Tak bardzo pani dziękuję, pani... ehm... no, w każdym razie nigdy jeszcze nie musiałam wzywać czarownicy, a słyszałam, jak ludzie w okolicy powtarzają, że czarownice robią różne paskudne rzeczy. Ale teraz mogę ich zapewnić, że niczego takiego nie widziałam.

— Naprawdę? — Babcia z trudem powstrzymywała gniew. — Na pewno mam ochotę zrobić jakieś paskudne rzeczy nadzorcy, który nie uważa na tych chłopców; i nie pozwólcie, żeby kazał synowi wstawać, dopóki ja nie pozwolę. Gdyby próbował, powiedzcie, że babcia Weatherwax mu pokaże, że nie należy gonić do pracy tych młodych ludzi, którzy tak naprawdę nie umieją się wspinać na drzewa. Tak się składa, że jestem dobrą czarownicą, ale jeśli zobaczę, że chłopak pracuje, zanim ta noga się całkiem zagoi, nastąpi rozliczenie.

Matka odprowadziła babcię do drzwi.

— Będę się za panią modliła do Oma, pani Weatherwax.

— To proszę mi powtórzyć, co powie — odparła babcia surowo. — Ale gdybyście tu mieli jakieś używane ubrania, mogłabym je zabrać, kiedy znowu przylecę... tak by było wygodniej. Zobaczymy się za dzień czy dwa, wy i wasz chłopak. I pamiętajcie, rana ma być czysta.

\* \* \*

Ty, biała kotka babci Weatherwax, czekała na nią, kiedy babcia wróciła do swojej chatki. Czekała razem z kilkorgiem ludzi, którzy przyszli po różne mikstury i okłady. Jeden czy drugi chcieli rady, choć ludzie na ogół starali się nie prosić o to babci Weatherwax, która bardzo chętnie udzielała rad, czy ktoś chciał, czy nie. Na przykład takich, że rozsądnie jest nie dawać małemu Johnny’emu własnoręcznie zrobionych żołnierzyków. Dopóki nie urośnie i nie zrozumie, że nie należy wtykać ich sobie do nosa.

Krzątała się tak jeszcze przez godzinę, wydzielając lekarstwa kolejnym potrzebującym. Dopiero dużo później uświadomiła sobie, że chociaż nakarmiła kotkę — oczywiście — to jednak ona sama nie jadła nic ani nie piła od wczesnego ranka. Podgrzała więc sobie trochę zupy — nie najlepszy posiłek, ale napełnił żołądek.

Na chwilę położyła się w łóżku, chociaż spanie w czasie dnia to coś, co robią tylko wielkie damy. Dlatego babcia pozwoliła sobie na drzemkę nawet nie krótką, ale bardzo krótką. Zawsze przecież był ktoś do odwiedzenia i coś do zrobienia.

Podniosła się więc i choć było już dość późno, wyszła z chatki i zabrała się do czyszczenia wygódki. I wyszorowała ją. Wyszorowała tak bardzo, że mogła się w niej przejrzeć...

Ale w jakiś sposób jej twarz w migoczącej wodzie także ją widziała. I babcia westchnęła.

— Do licha, a jutro miał być o wiele lepszy dzień.



Rozdział 2

GŁOS W CIEMNOŚCI

Dzień był słoneczny. Wręcz perfekcyjny, uznała babcia Weatherwax. Nie spała całą noc, sprzątając przedpokój i kuchnię w swojej chatce. Teraz wszystko lśniło — piec wypolerowany, chodnik wytrzepany, posadzka wyszorowana.

Potem po spiralnych schodach weszła na pięterko i skoncentrowała wysiłki na podłodze sypialni. Tego roku przygotowała bardzo dobre mydło[[8]](#footnote-8), więc dzbanek i umywalka koło łóżka aż błyszczały. Pająkom w kątach, którym się wydawało, że mają prawo mieszkać tu aż do końca świata, stanowczo pokazano okno i musiały się wynieść razem z pajęczynami i całą resztą. Nawet materac wyglądał czysto i zdrowo. Od czasu do czasu Ty, kotka babci, pojawiała się, by sprawdzić, co się dzieje, i poleżeć na pozszywanej z łat kołdrze, tak płaskiej, że wyglądała, jakby ktoś rozdeptał olbrzymiego żółwia.

Następnie babcia raz jeszcze wyszorowała wygódkę, na wszelki wypadek. Nie było to zadanie pasujące do tego pięknego dnia, ale Esmeralda Weatherwax była pod tym względem niezwykle skrupulatna. Wygódka uległa jej wysiłkom i lśniła. Zadziwiająco.

Skupienie na pyszczku obserwującej ją kotki było doprawdy niezwykłe. Ty wyczuwała, że ten dzień jest inny od pozostałych. Jest dniem, jakiego jeszcze nie przeżyła. Dniem krzątania się tak, jakby kolejne miały już nie nadejść. I kiedy wnętrze chatki było gotowe, Ty podążyła za babcią do spiżarni.

Tutaj sprawę załatwiło wiadro wody, napełnione z pompy przy studni. Babcia uśmiechnęła się. Lubiła spiżarnię i ten zapach ciężkiej pracy, wykonanej jak należy. Tu także mieszkały pająki. Kryły się głównie za butlami i słojami na półkach, ale babcia uważała, że spiżarniowe pająki tak naprawdę się nie liczą. Żyj i daj żyć innym.

Potem babcia wyszła na zewnątrz, na ogrodzony wybieg na tyłach, by zobaczyć, jak się czują kozy. Harmonogram myśli informował ją po raz kolejny, że wszystkie rzeczy znajdują się na przynależnych sobie miejscach.

Zadowolona — a przynajmniej tak zadowolona, jak to tylko możliwe dla czarownicy — babcia Weatherwax podeszła do swoich uli.

— Jesteście moimi pszczołami — powiedziała. — Dziękuję wam. Od lat dajecie mi miód i proszę, żebyście się nie złościły, kiedy przyjdzie ktoś nowy. Mam nadzieję, że dacie jej tyle miodu, co mnie. A teraz, po raz ostatni, zatańczę z wami.

Ale pszczoły brzęczały cicho i tylko tańczyły dla niej, delikatnie wypychając z ula jej umysł. A babcia Weatherwax powiedziała:

— Byłam młodsza, kiedy ostatnio z wami tańczyłam. Teraz jestem już stara. Tańce się dla mnie skończyły.

Ty trzymała się z daleka od pszczół, ale skradała się po ogrodzie w ślad za babcią, która przeszła między ziołami, dotykając po drodze liści i łodyg, a cały ogród zdawał się jej odpowiadać. Rośliny jakby kłaniały się z szacunkiem.

Ty zmrużyła oczy i z ukosa zerkała na zioła, z czymś, co można by nazwać kocią niełaską. Niekiedy można by przysiąc, że babcine zioła są świadome; często poruszały się mimo braku wiatru. W jednym przypadku, ku przerażeniu kotki, obróciły się, by ją obserwować, kiedy przemykała obok w drodze na polowanie. Ty wolała rośliny, które robią to, co im wypada, to znaczy na ogół tkwią całkiem nieruchomo, by ona mogła spokojnie zasnąć.

Na końcu zagonów z ziołami rosła jabłoń, którą w zeszłym roku dał babci stary pan Parson — wsadził ją w ziemię mniej więcej w tym miejscu, gdzie wszyscy inni mieliby płot wokół ogródka, bo przecież żadna chatka czarownicy nie potrzebowała prawdziwego płotu czy muru. Kto chciałby się narazić czarownicy? Starej i złej wiedźmie z lasu? Takie legendy bywają użyteczne, zwłaszcza dla czarownicy — co trzeba zaznaczyć — pozbawionej wszelkiego talentu do stawiania płotów. Babcia przyjrzała się małym jabłuszkom, pojawiającym się na gałęzi — dopiero zaczynały rosnąć, ale cóż, czas naglił. Ruszyła więc z powrotem do drzwi chatki, kłaniając się po drodze każdemu mijanemu korzeniowi, łodydze i owocowi.

Nakarmiła kozy, które zerkały na nią podejrzliwie szczelinowymi oczami. Podążały za nią wzrokiem, kiedy zajęła się kurami — te zawsze przepychały się do karmy, ale dzisiaj były spokojne i patrzyły na starą czarownicę, jakby jej tu nie było.

Kiedy nakarmiła zwierzęta, zniknęła w komórce, a po chwili wróciła z pękiem wikliny. Wzięła się do pracy, układając każdą giętką witkę na właściwym miejscu. Potem, kiedy ukończony przedmiot był wyraźnie doskonały i odpowiedni dla swego celu, babcia Weatherwax zostawiła go u stóp schodów, gdzie będzie zauważony przez tych, co mają oczy do patrzenia.

Pozbierała resztki wikliny, wyniosła do komórki i wyszła znowu, niosąc w ręku mały biały woreczek. I zwiniętą w drugiej ręce czerwoną wstążkę. Spojrzała na niebo. Czas uciekał.

Dziarskim krokiem ruszyła do lasu; Ty biegła za nią, tak ciekawa, jak może być tylko kot, dopóki nie zużyje przynajmniej pierwszych ośmiu ze swych żywotów.

Po wykonaniu zadania babcia wróciła tą samą drogą aż do pobliskiego strumienia, który płynął przez las, pluskał i szemrał.

Znała te drzewa. Znała każdy pień. Każdy konar. Wszystkie stworzenia, jakie tu żyły. Znała lepiej, niż mógłby poznać ktokolwiek inny, kto nie jest czarownicą. I kiedy nos powiedział jej, że dookoła nie ma nikogo, jedynie Ty, otworzyła woreczek, wyjęła kostkę swojego mydła i rozebrała się.

Weszła do wody i umyła się możliwie dokładnie. Potem, kiedy się wytarła i tylko czarnym płaszczem okryła czyste ciało, wróciła do chatki. Dała Ty dodatkową porcję jedzenia, pogładziła po głowie i po skrzypiących schodach weszła na pięterko, nucąc pod nosem starą pieśń żałobną.

Następnie Esmeralda Weatherwax wyszczotkowała swoje długie siwe włosy i armią szpilek spięła w typowy koczek; znów się ubrała, tym razem wybierając najlepszą suknię czarownicy i najmniej pocerowaną parę reform. Zatrzymała się, by otworzyć drewniane okiennice w małym okienku i wpuścić do sypialni ciepłe wieczorne powietrze. Na stoliku przy łóżku, obok szpiczastego kapelusza z wbitymi niewykorzystanymi szpilkami, ułożyła starannie dwa pensy.

Zanim się położyła, sięgnęła jeszcze po dobrze znaną kartkę, na której już wcześniej napisała co trzeba.

Jakiś czas później, kiedy Ty wskoczyła na łóżko, miała wrażenie, że dzieje się coś niezwykłego. Usłyszała pohukiwanie sowy i lis szczeknął w ciemności.

A potem była już tylko kotka. Ty, sama jedna.

Ale jeśli koty potrafią się uśmiechać, ten właśnie to robił.

\* \* \*

To była dziwna noc. Sowy pohukiwały prawie bez przerwy, a wiatr na dworze jakimś sposobem gwałtownie kołysał płomykami świec wewnątrz, aż wreszcie pogasły. Ale babcia Weatherwax, ubrana w najlepszą suknię, była gotowa na wszystko.

I wreszcie, w ciepłym mroku, kiedy świt zaczął ukradkiem wykradać noc, jej dusza miała gościa, osobnika z kosą — kosą o ostrzu tak cieniście cienkim, że potrafiło oddzielić duszę od ciała.

Ciemność przemówiła.

ESMERALDO WEATHERWAX, WIESZ, KTO PRZYBYWA. I MUSZĘ ZAZNACZYĆ, ŻE SPOTKANIE Z TOBĄ TO DLA MNIE ZASZCZYT.

— Wiem, że to ty, panie Śmierć. W końcu my, czarownice, zawsze wiemy, co nadchodzi — odparła babcia, spoglądając na swoje ciało w łóżku.

Przybysz nie był kimś obcym, a kraina, do której teraz zmierzała, była tą samą, do której przez lata pomogła przejść wielu osobom. Ponieważ czarownica stoi na samej granicy: pomiędzy światłem i ciemnością, pomiędzy życiem a śmiercią, dokonuje wyborów i podejmuje decyzje, by inni mogli udawać, że żadne decyzje nie były potrzebne. Czasami czarownice muszą pomóc jakiejś nieszczęsnej duszy w ostatnich godzinach, ułatwić jej odszukanie drzwi, by nie zagubiła się w mroku.

A babcia Weatherwax była czarownicą już od bardzo, bardzo dawna.

ESMERALDO WEATHERWAX, WIELE RAZY SPOTYKALIŚMY SIĘ PRZED OBECNĄ CHWILĄ, PRAWDA?

— Zbyt wiele, by to zliczyć, panie Kosiarzu. I wreszcie mnie dorwałeś, stary draniu. Miałam swój czas, nie zaprzeczę, ale nigdy nie należałam do takich, co pchają się naprzód albo narzekają.

Z ZACIEKAWIENIEM OBSERWOWAŁEM TWE ŻYCIE, ESMERALDO WEATHERWAX, odezwał się znowu głos w ciemności. Był stanowczy, ale och, jakże uprzejmy. A teraz zabrzmiały w nim pytające tony. WYJAŚNIJ MI, PROSZĘ, CZEMU ZADOWALAŁAŚ SIĘ MIESZKANIEM W TYM MALEŃKIM KRAIKU, CHOCIAŻ, JAK PRZECIEŻ WIESZ, MOGŁAŚ BYĆ KAŻDYM, KIM BYŚ CHCIAŁA, NA CAŁYM ŚWIECIE?

— Nie znam się na świecie, nie za bardzo. Ale w mojej części tego świata mogłam dokonywać maleńkich cudów dla zwyczajnych ludzi — odparła ostro babcia. — Nigdy nie chciałam całego świata, tylko jego małego kawałka, któremu mogłam dać bezpieczeństwo, uchronić przed burzami. Ale nie takimi z nieba, rozumiesz. Są też inne rodzaje.

A CZY MOŻESZ POWIEDZIEĆ, ŻE TWOJE ŻYCIE NIOSŁO POŻYTEK MIESZKAŃCOM LANCRE I REJONU?

Po dłuższej chwili dusza babci Weatherwax odpowiedziała:

— Bez przechwałek, ale uważam, że robiłam, co należy. Dla Lancre, przynajmniej. Nigdy nie byłam w Rejonie,

PANI WEATHERWAX, SŁOWO „REJON” OZNACZA W TYM PRZYPADKU BLISKIE OKOLICE.

— Rozumiem. Owszem, bywałam rzucić okiem tu i tam, niekiedy wcale nie tak blisko.

BARDZO DOBRE ŻYCIE, ESMERALDO.

— Dziękuję. Starałam się, jak mogłam.

BARDZIEJ NIŻ MOGŁAŚ, przyznał Śmierć. Z ZACIEKAWIENIEM BĘDĘ OBSERWOWAŁ WYBRANĄ PRZEZ CIEBIE NASTĘPCZYNIĘ. JUŻ SIĘ KIEDYŚ SPOTKALIŚMY.

— Jest dobrą czarownicą, to pewne — zapewnił cień babci Weatherwax. — Nie mam żadnych, ale to żadnych wątpliwości.

PRZYJMUJESZ TO ZADZIWIAJĄCO SPOKOJNIE, ESME WEATHERWAX.

— To niedogodność, na pewno, i wcale mi się nie podoba. Ale wiem, że robisz to dla wszystkich, Kosiarzu. Czy jest jakiś inny sposób?

NIESTETY, NIE MA, OBAWIAM SIĘ. WSZYSCY UNOSIMY SIĘ W PODMUCHACH WIATRÓW CZASU. ALE TWOJA ŚWIECA, ESMERALDO WEATHERWAX, BĘDZIE MIGOTAŁA JESZCZE PRZEZ DŁUŻSZY CZAS, NIM ZGAŚNIE — NIEWIELKA NAGRODA ZA ŻYCIE DOBRZE PRZEŻYTE. POTRAFIĘ OCENIĆ BILANS I WIEM, ŻE ZOSTAWIŁAŚ ŚWIAT O WIELE LEPSZYM, NIŻ GO ZASTAŁAŚ. I GDYBY MNIE KTO PYTAŁ, oświadczył Śmierć, NIKT NIE MOŻE OSIĄGNĄĆ WIĘCEJ...

Nie było żadnego światła, żadnego punktu odniesienia oprócz dwóch maleńkich błękitnych punkcików, jarzących się w oczodołach samego Śmierci.

— No cóż, podróż warta była podjęcia i widziałam po drodze wiele cudownych rzeczy, łącznie z tobą, mój niezawodny przyjacielu. Pójdziemy już?

JUŻ ODESZLIŚMY, MADAM.

\* \* \*

W świetle poranka, w wiejskiej sadzawce niedaleko Kromki, na powierzchni ukazały się bąbelki, a po nich panna Tyk, poszukiwaczka czarownic. Nie było nikogo, kto mógłby zaobserwować to niezwykłe zjawisko, oprócz jej muła Josepha, spokojnie skubiącego trawę na brzegu. Oczywiście, pomyślała ze smutkiem, sięgając po ręcznik. Ostatnio wszyscy zostawiają mnie samą.

Westchnęła. To smutne, kiedy dawne zwyczaje ulegają zapomnieniu. Porządne kąpanie czarownicy to coś, w czym za dawnych ciężkich czasów lubiła uczestniczyć — nawet szkoliła się do tego. Wszystkie te lekcje pływania i praktyczne ćwiczenie węzłów w Quirmskiej Pensji dla Młodych Panien... W razie konieczności mogłaby pod wodą walczyć z tłumem, a przynajmniej spróbować pobić własny rekord rozwiązywania prostych węzłów, o których wszyscy myśleli, że wobec złej czarownicy będą skuteczne.

Teraz zanurzanie w stawie bardziej przypominało hobby; miała też nieprzyjemne wrażenie, że inni ją naśladują, kiedy już opuszczała ich wioski. Słyszała nawet o klubie pływackim, który powstał w małej osadzie w pobliżu Szynki Zbożowej[[9]](#footnote-9).

Wytarła się porządnie i wróciła do małego obozowiska. Założyła Josephowi śniadaniowy worek z obrokiem i postawiła czajnik na ognisku. Potem usiadła pod drzewem, żeby coś zjeść — chleb ze smalcem, dowód wdzięczności żony farmera za popołudniową naukę czytania. Panna Tyk uśmiechała się, wychodząc, bo oczy starszej już kobiety aż się skrzyły.

— Teraz — powiedziała na pożegnanie — przekonam się, co jest w tych liścikach, co je Alfred dostaje, zwłaszcza tych pachnących lawendą.

Panna Tyk uznała, że rozsądnie będzie wyruszyć niezwłocznie — w każdym razie zanim Alfred dostanie kolejny list.

Z napełnionym żołądkiem, gotowa na nadchodzący dzień, wyczuła jakiś niepokój w powietrzu, więc nie miała innego wyjścia, niż zbudować mobil.

Mobil pomaga czarownicy osiągnąć wewnętrzną koncentrację; by uchwycić moment, zawsze musi być wykonany na miejscu i wtedy, gdy jest potrzebny. Można go zbudować właściwie ze wszystkiego, ale musi zawierać coś żywego. Wystarczy jajko, choć większość czarownic jajko woli zachować na kolację, bo może wybuchnąć.

Panna Tyk przeszukała kieszenie. Jakiś żuk, brudna chustka do nosa, stara skarpeta, pradawny kasztan, kamień z dziurką i muchomor, którego panna Tyk nie całkiem potrafiła zidentyfikować, a zatem nie ryzykowała jedzenia. Fachowo powiązała to wszystko sznurkiem i zapasowym kawałkiem gumki do majtek.

Pociągnęła za sznurek. Ale coś było nie tak jak trzeba: z głośnym brzdęknięciem, które odbiło się echem na polanie, cała konstrukcja wyleciała w powietrze i zawirowała, skręcając się i obracając.

— No, to skomplikuje sprawy — jęknęła panna Tyk.

\* \* \*

Zaraz za lasem od chatki babci Weatherwax, niania Ogg niemal upuściła gąsiorek najlepszego domowego cydru na swojego kota, Greeba. Gąsiorki z cydrem trzymała w ocienionej szopie koło chaty. Kocur zastanowił się nad syknięciem. Ale po jednym spojrzeniu na swoją panią natychmiast postarał się być grzecznym kotkiem, gdyż pogodna zwykle twarz niani Ogg tego ranka przypominała chmurę burzową.

Usłyszał też, jak mruczy gniewnie:

— To powinnam być ja.

\* \* \*

W Genoi, gdzie wraz ze swym mężem Verence’em składała oficjalną wizytę, królowa Magrat z Lancre, była czarownica, odkryła nagle pewien fakt: choć wydawało jej się, że zostawiła magię za sobą, magia jej nie zostawiła. Zadrżała, kiedy sięgnęła jej fala uderzeniowa, pędząca przez świat niczym tsunami — wskazówka, że teraz sprawy będą wyglądać... inaczej.

\* \* \*

W Centrum Humoru i Żartu „Boffo” w Ankh-Morpork wszystkie pierdzące poduszki zatrąbiły w smętnej harmonii. Tymczasem w Quirmie Agnes Nitt, czarownica i śpiewaczka, zbudziła się z nieprzyjemnym uczuciem, że wczoraj wieczorem, na przyjęciu po premierze, mogła zrobić z siebie idiotkę[[10]](#footnote-10). Stanowczo miała wrażenie, że impreza toczy się nadal, z tyłu głowy, za oczami. I wtedy nagle usłyszała zawodzenie wewnętrznej Perdity...

\* \* \*

Daleko od Quirmu, w wielkiej metropolii Ankh-Morpork, na Niewidocznym Uniwersytecie, Myślak Stibbons wstał właśnie po obfitym śniadaniu i zszedł do piwnicy budynku Magii Wysokich Energii. Zdumiony zatrzymał się w progu. Zobaczył, że HEX prowadzi obliczenia z szybkością, jakiej Myślak nigdy jeszcze nie widział. A przecież nie wprowadził nawet pytania... Ani nie pociągnął za Wielką Ważną Dźwignię... Mrówki biegające przez szklane rury i dokonujące w ten sposób obliczeń aż rozmywały się od pędu. Czy to... zaraz... to zderzenie mrówek przy kółku zębatym?

Myślak wprowadził do HEX-a pytanie: Co wiesz, czego ja nie wiem? Proszę, Hex.

W mrowiskach wystąpiło krótkie zamieszanie i HEX wypluł odpowiedź: Praktycznie wszystko.

Myślak zmienił budowę pytania, dodając odpowiednią liczbę warunków JEŚLI i ZANIM. Zdanie było długie i skomplikowane — ciężkie zadanie dla maga po jednym tylko posiłku. Nikt inny pewnie by nawet nie zrozumiał, o co Myślakowi chodzi, ale HEX — po potężnym czknięciu strumieni mrówek — odpowiedział: Mamy do czynienia ze śmiercią babci Weatherwax.

Wtedy Myślak udał się na spotkanie z nadrektorem Mustrumem Ridcullym, który z pewnością będzie chciał poznać te wieści...

\* \* \*

W Podłużnym Gabinecie lord Vetinari, Patrycjusz Ankh-Morpork, patrzył zdumiony, jak krzyżówka w jego „Pulsie” sama się wypełnia...

\* \* \*

Wysoko w Ramtopach, w klasztorze Oi Dong, opat mnichów historii polizał swój mistyczny ołówek i zanotował ten fakt...

\* \* \*

Kotka zwana Ty mruczała, jakby była kocim wiatrakiem.

\* \* \*

Obecnie w podróży, Eskarina, kobieta, która była kiedyś magiem, trzymała rękę syna i czuła żal...

\* \* \*

Ale w świecie połyskującym tuż po drugiej stronie Dysku, w świecie, gdzie sny mogą się stać rzeczywistością — którego mieszkańcy lubili przeskakiwać do innych światów, by krzywdzić, niszczyć, kraść i zatruwać — elf imieniem Groszek wyczuł potężną wibrację w powietrzu, podobnie jak pająk wyczuwa, że w jego sieci wylądowała ofiara.

Z radością zatarł ręce. Bariera zniknęła, szepnął do siebie. Będą słabi...

\* \* \*

W Kredzie kelda Wolnych Ciut Ludzi patrzyła, jak migoczą płomienie ogniska i myślała: Czarownica czarownic odeszła do dalekich krain.

— Uwazaj na siebie, wiedźmo wiedźm. Bedzie cie nam brakować.

Westchnęła i zwróciła się do męża, Wielkiego Gościa klanu.

— Rob, boje sie o nasą wielką ciut wiedźme. Weź paru chłopców i rusaj do niej.

Zakrzątnęła się i wyjęła kociołek.

— Granice nasego świata nie bedą takie mocne — szepnęła do siebie. — Tsa mi widzieć, co moze sie zblizac w nasą strone...

\* \* \*

A bardzo daleko, w miejscu nie do pomyślenia, czarna postać z kosą zdejmowała siodło białemu rumakowi, czując przy tym — trzeba zaznaczyć — pewien smutek.



Rozdział 3

ŚWIAT DOŁEM DO GÓRY

W małym domku w niewielkiej osadzie wśród falujących wzgórz pełnej owiec Kredy Tiffany Obolała, z podwiniętymi rękawami, była mokra od potu, tak samo jak przyszła matka — młoda dziewczyna, ledwie parę lat starsza od niej — której starała się pomóc. Tiffany przyjęła już na świat ponad pięćdziesięcioro dzieci, plus mnóstwo, naprawdę mnóstwo owiec, i ogólnie uważano ją za świetną akuszerkę.

Niestety, była tu też matka panny Milly Standish oraz kilka innych kobiet w różnym wieku, i wszystkie twierdziły, że są krewnymi, a zatem mają prawo przebywać w tym bardzo ciasnym pokoiku. One także uważały się za specjalistki i wielkodusznie tłumaczyły Tiffany, co robi źle.

Do tej pory jedna czy dwie udzieliły jej przestarzałej porady, błędnej porady i potencjalnie niebezpiecznej porady. Tiffany jednak zachowywała spokój, starała się na nikogo nie krzyczeć i skupić na tym, że Milly rodziła bliźniaki. Miała nadzieję, że kobiety słyszą, jak zgrzyta zębami.

Poród zawsze jest trudny, kiedy para niesfornych noworodków przeciska się i walczy o to, który pierwszy się wydostanie. Tiffany skupiła się więc na tych dwóch małych istnieniach, gdyż nie miała zamiaru wpuszczać do małego pokoiku pana Śmierci. Jeszcze jedno pchnięcie spoconej matki i najpierw pierwsze, potem drugie dziecko wyszło z krzykiem na świat, by trafić na ręce swojej babci i jej sąsiadki.

— Dwaj chłopcy! To cudownie! — zawołała starsza matka Standish z wyraźną satysfakcją w głosie.

Tiffany wytarła ręce, otarła pot z czoła i nadal przyglądała się młodszej matce, podczas gdy zebrane kobiety gaworzyły nad dwójką nowo przybyłych. I wtedy zauważyła coś niezwykłego: w tej pojemnej młodej kobiecie kryło się jeszcze jedno dziecko. Tak, trzeci maluch, praktycznie niezauważony z powodu walczących o pierwszeństwo braci.

W tym momencie Tiffany spojrzała w dół i w dziwnej seledynowej poświacie zobaczyła kotkę — śnieżnobiałą i pełną rezerwy, niczym księżna. To była kotka babci Weatherwax, Ty — Tiffany znała ją dobrze, ponieważ kilka lat temu sama ją babci podarowała. I ku jej przerażeniu, jedna z kobiet wyraźnie miała zamiar ją stąd przepędzić. Tiffany niemal krzyknęła.

— Drogie panie, ta kotka należy do babci Weatherwax — oznajmiła surowo. — To nie jest najlepszy pomysł, żeby rozgniewać bardzo ważną czarownicę.

Cała gromadka kobiet odstąpiła nagle. Nawet tutaj, w Kredzie, imię pani Weatherwax budziło szacunek. Jej reputacja sięgała szeroko i daleko — szerzej i dalej, niż babcia Weatherwax miała w zwyczaju podróżować. Krasnoludy z Równin Sto określały ją nawet specjalnym imieniem — oznaczającym „Obejdź Górę z Drugiej Strony”.

Tiffany, na nowo zlana potem, zastanawiała się niespokojnie, co tutaj robi kotka babci. Ty zwykle kręciła się w pobliżu babcinej chatki w Lancre, a nie kawał drogi stamtąd, tu w Kredzie. Oczywiście, czarownice wszędzie widziały wróżby i znaki. Czy to był jakiś omen? Powiązany jakoś z tym, co mówiła Jeannie?

Nie po raz pierwszy Tiffany zastanowiła się, jak to możliwe, że koty są zdolne, by w jednej chwili przebywać w jakimś miejscu, a potem — prawie w tym samym czasie — pojawiać się gdzie indziej...[[11]](#footnote-11)

Młoda matka krzyknęła z bólu, więc Tiffany zacisnęła zęby i wróciła do pracy. Czarownice zawsze zajmują się tym, co najpilniejsze, a dla niej w tej chwili najpilniejsza była zmęczona młoda dziewczyna i kolejna mała główka.

— Jeszcze jedno pchnięcie, Milly. Postaraj się. Masz trojaczki.

Milly stęknęła.

— Jeszcze jedna. Malutka — oznajmiła pogodnie Tiffany, kiedy na świat wyszła dziewczynka, cała i zdrowa, całkiem ładna jak na noworodka, i drobna. Oddała dziecko kolejnej krewnej, a potem wróciła rzeczywistość.

Gdy Tiffany zaczęła sprzątać, zauważyła — ponieważ zauważanie było jej stanem podstawowym jako czarownicy — że nad parą chłopców rozbrzmiewa o wiele więcej gaworzenia niż nad ich siostrą. Zawsze dobrze jest dostrzegać takie rzeczy i zachowywać w pamięci, żeby drobne kłopoty nie stały się pewnego dnia większymi kłopotami.

Zgromadzone damy przysunęły Milly rodzinny fotel, żeby mogła usiąść dumnie i przyjmować gratulacje. Przy okazji damy pilnie gratulowały sobie nawzajem, mądrze kiwając głowami nad radami, których udzielały — a były to najwyraźniej właściwe rady, jak tego dowodzili dwaj zdrowi chłopcy. Aha, no i jeszcze dziewczynka.

Otworzono butelki i jakiegoś dzieciaka posłano przez pole, żeby poszukał ojca, pracującego przy jęczmieniu ze swoim ojcem. Babcia dzieci promieniała, zwłaszcza że młoda Milly już wkrótce miała się stać panią Robinsonową — ponieważ wspomniana babcia mocno tupnęła nogą i dopilnowała, żeby młody pan Robinson stanowczo spełnił swoje zobowiązanie wobec jej córki. Nie było z tym większych problemów; w końcu wszystko działo się na wsi, gdzie chłopiec spotykał dziewczynę — tak jak Milly spotkała swego ukochanego w czasie Strzeżenia Wiedźm — po czym natura podążała zwykłym kursem aż do chwili, kiedy matka dziewczyny zauważała wypukłość. Wtedy mówiła o tym mężowi, który przy kufelku zamieniał kilka słów z ojcem chłopca, a ten potem rozmawiał z chłopcem. Zwykle to działało.

Tiffany podeszła do trzymającej dziewczynkę staruszki.

— Mogę ją obejrzeć? Chciałabym sprawdzić, wie pani. Zobaczyć, czy nic jej nie dolega.

Nieco szczerbata dama skwapliwie oddała dziewczynkę. Wiedziała przecież, że Tiffany jest nie tylko akuszerką, ale też czarownicą, a nigdy nie wiadomo, co może człowieka spotkać, jeśli się takiej narazi. Potem odeszła, żeby nie stracić drinka. Tymczasem Tiffany wzięła małą na ręce i wyszeptała jej do ucha obietnicę — głosem tak cichym, że nikt nie mógł usłyszeć. Ta dziewczynka wyraźnie będzie potrzebowała w życiu szczęścia, i dostanie je przy odrobinie szczęścia.

Potem zaniosła malutką do matki, na której chyba nie zrobiła wielkiego wrażenia.

Do tej pory, jak zauważyła Tiffany, chłopcy mieli już imiona, ale dziewczynka nie.

— Co z twoją małą? — zapytała niespokojnie. — Czy nie powinnaś nadać jej imienia?

Matka spojrzała na nią.

— Nazwijmy ją po tobie. Tiffany to ładne imię.

Tiffany była zaszczycona, ale nie przestała się martwić o swoją małą imienniczkę. Ci duzi, żwawi chłopcy na pewno wypiją prawie całe mleko, myślała. Ale nie wtedy, gdy ona będzie mogła coś na to poradzić... Postanowiła więc, że ta szczególna rodzina przez dłuższy czas będzie co tydzień przyjmować jej odwiedziny.

Potem nie miała już nic do roboty, powiedziała więc:

— Wszystko wygląda dobrze, w razie czego wiecie, gdzie mnie szukać, zajrzę w przyszłym tygodniu. A teraz proszę o wybaczenie, moje panie, ale muszę zadbać o innych.

Uśmiechała się aż do chwili, kiedy wyszła przed dom i chwyciła miotłę, a biała kotka wskoczyła na kij niczym galion. Świat się zmienia, pomyślała Tiffany; czuję to.

I nagle dostrzegła błysk czerwieni, dowodzący, że za maselnicą schował się jeden czy dwóch Feeglów. Kiedyś Tiffany, choć tylko przez kilka dni, była keldą tutejszego klanu Nac Mac Feeglów. A to stworzyło między nimi więź, jakiej nie można zerwać. Zawsze byli przy niej — zawsze ją obserwowali, zawsze pilnowali, żeby żadna krzywda nie spotkała ich wielkiej ciut wiedźmy.

Ale dzisiaj było w tym coś innego. Ich czajenie jakoś się różniło od zwykłego czajenia...

— Oj, bida, bida — zabrzmiał głos.

Należał do Tępaka Wulliego, który był chyba gdzie indziej, kiedy rozdawano Feeglom mózgi, i tak niezbyt duże. Ucichł nagle z krótkim whmpf, kiedy Rob trzepnął go w szczękę.

— Zamknijze pascę, Wullie. Wis psecie, ze to wiedźmie sprawy.

Wyszedł z kryjówki i stanął przed Tiffany, przestępując z nogi na nogę i obracając w dłoniach hełm z króliczej czaszki.

— To wielka wiedźma — oświadczył. — Jeannie kazała mi cie sprowadzić...

\* \* \*

Wszystkie aktywne za dnia ptaki, ale też żyjące nocą nietoperze i sowy znały Tiffany Obolałą i nie wlatywały jej w drogę, kiedy się spieszyła. Kij miotły rozcinał powietrze, pędząc ku Lancre. Małe królestwo leżało daleko od Kredy, a Tiffany miała wrażenie, że jej umysł zasnuwa niewidoczna szara mgła, niosąca uczucie bólu. Zdawało się jej, że próbuje cofnąć czas, ale tego nie potrafią nawet najlepsze czary. Usiłowała nie myśleć, ale trudno jest skłonić mózg, by przestał działać, choćby człowiek naprawdę się starał. Tiffany była czarownicą, a czarownice uczą się respektować swoje przeczucia, nawet jeśli mają nadzieję, że to, czego się obawiają, nie jest prawdą.

Zbliżał się wieczór, kiedy wylądowała lekko przed chatką babci Weatherwax i zauważyła charakterystyczną zaokrągloną sylwetkę niani Ogg. Stara czarownica trzymała w ręku kufel i wyglądała na smutną. Kotka Ty natychmiast zeskoczyła z miotły i skierowała się do chatki. Nac Mac Feeglowie ruszyli za nią, przez co Ty pobiegła trochę szybciej, w taki sposób, jak zwykle koty, kiedy chcą pokazać, że oczywiście całkiem same postanowiły przyspieszyć kroku i nie ma to nic wspólnego z małymi rudowłosymi figurkami, znikającymi w cieniu koło chaty.

— Dobrze, że jesteś, Tiff — powitała dziewczynę niania Ogg.

— Ona nie żyje, prawda? — spytała Tiffany.

— Tak — potwierdziła niania. — Esme odeszła we śnie, zeszłej nocy, sądząc po wyglądzie.

— Wiedziałam — oświadczyła Tiffany. — Jej kotka przyszła, żeby mnie zawiadomić. A kelda wysłała Roba...

Niania Ogg spojrzała Tiffany prosto w oczy.

— To dobrze, że nie płaczesz, moja droga; na to przyjdzie jeszcze pora. Sama wiesz, jak babcia lubiła załatwiać sprawy: bez zamieszania. Bez krzyków, i stanowczo bez płaczu. Najpierw trzeba zadbać o inne rzeczy. Pomożesz? Ona leży na górze, a sama wiesz, jakie są te schody.

Tiffany zauważyła zrobiony przez babcię długi, wąski wiklinowy kosz, czekający u stóp schodów. Miał wymiary prawie dokładnie takie jak babcia. Bez kapelusza, oczywiście.

— Cała Esme — mruknęła niania. — Zawsze musiała sama wszystko zrobić.

Chatka babci Weatherwax zbudowana była w większej części ze zgrzytów i skrzypnięć; gdyby ktoś chciał, mógłby ułożyć z nich melodię. Przy akompaniamencie tej stolarskiej symfonii Tiffany ruszyła za nianią, która, sapiąc i dysząc, wspinała się na schody, wijące się niczym wąż — zawsze powtarzała, że do wejścia potrzebny jest korkociąg. W końcu dotarły do sypialni i stanęły przed wąskim i smutnym śmiertelnym łożem. Właściwie mogłoby służyć za łóżko dla dziecka, pomyślała Tiffany. Na nim, wyprostowana, leżała babcia Weatherwax i wyglądała, jakby tylko zasnęła. Tam również, na łóżku obok swej pani, leżała kotka Ty.

Na piersi babci leżała znajoma kartka i nagle pewna myśl zabrzmiała w umyśle Tiffany niczym gong.

— Nianiu, a nie sądzisz, że babcia może teraz Pożyczać? Że chociaż jej ciało tu leży, to ona sama jest... gdzie indziej? — Spojrzała na zwiniętą w kłębek białą kotkę. — W Ty? — dodała z nadzieją.

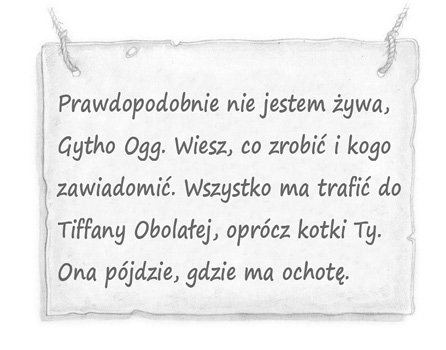
Babcia Weatherwax była specjalistką od Pożyczania — przenosiła świadomość do umysłu innego stworzenia, korzystała z jego ciała, dzieliła jego doświadczenia[[12]](#footnote-12). Była to magia niebezpieczna dla początkującej czarownicy, która ryzykowała, że zatraci się w cudzej jaźni i nigdy nie powróci. I oczywiście, kiedy już opuściła swe ciało, ludzie mogli mylnie uznać, że...

Niania bez słowa wyjęła kartkę z dłoni babci.



Niania odwróciła ją, gdy tymczasem dłoń Tiffany przesunęła się dyskretnie do przegubu babci; nawet teraz, kiedy każdy atom czarownicy krzyczał, że babci Weatherwax już tu nie ma, ta część, która była młodą dziewczyną, próbowała wyczuć choćby najlżejszy puls życia.

Jednak na odwrocie kartki babcia nabazgrała wiadomość, która tak jakby wplotła końcową gałązkę w wiklinowy kosz na dole:



— Już nie „prawdopodobnie” — stwierdziła cicho Tiffany. A potem dalsza część listu trafiła w jej umysł jak rakieta. — Co? O co chodzi z tym „Wszystko ma trafić do Tiffany...”?

Umilkła, patrząc ze zgrozą na nianię.

— No tak — mruknęła niania. — To pismo Esme, zgadza się. Jak dla mnie, wystarczy. Dostajesz po niej chatkę i ziemię dookoła, zioła i pszczoły, i wszystko inne, co tu jest na miejscu. Aha, tylko że zawsze obiecywała mi ten różowy komplet do mycia, wiesz, dzbanek i miskę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko...

Czy mam, myślała Tiffany. Niania Ogg mnie pyta, czy mam coś przeciwko?

A potem pociąg myśli przejechał dalej: dwa gospodarstwa? Nie będę już musiała mieszkać z rodzicami... Ale częste podróże...

I myśl, która uderzyła ją niczym piorun: Przecież nie zdołam zastąpić babci Weatherwax! Jest... była... niezastąpiona!

Ale niania nie została starą i doświadczoną czarownicą, nie ucząc się po drodze kilku rzeczy.

— Jeszcze majtek na supeł nie zawiązuj, Tiff — rzekła energicznie. — W niczym to nie pomoże i tylko zaczniesz dziwacznie chodzić. Będzie dość czasu, żeby pogadać o... o tym wszystkim. Na razie musimy wziąć się za to, co trzeba zrobić...

\* \* \*

Tiffany i niania Ogg często miały do czynienia ze śmiercią. W Ramtopach to czarownice robiły co trzeba, aby zmarły dobrze wyglądał na tamtym świecie — rzeczy trochę brudne i krępujące, o jakich się nie mówiło, oraz inne drobiazgi, jak choćby otworzenie okna, żeby dusza mogła odlecieć. Tymczasem babcia Weatherwax sama otworzyła okno, choć jej dusza — zdaniem Tiffany — prawdopodobnie potrafiłaby wydostać się zewsząd i dotrzeć wszędzie, gdzie zechce.

Niania Ogg podniosła z nocnej szafki dwie monety.

— Zostawiła je dla nas. Taka już była Esme, przewidująca do końca. Zaczniemy?

Nieszczęśliwie, niania znalazła w spiżarni babciną butelkę potrójnie destylowanej brzoskwiniowej brandy — wyłącznie do zastosowań medycznych. Wyjaśniła, że pomoże jej to dopełnić wszelkich rytuałów dla ich siostry w sztuce. Choć jednak obchodziły się z babcią Weatherwax, jakby była bezcennym klejnotem, popijanie niani Ogg wcale nie pomagało.

— Dobrze wygląda, prawda? — uznała niania, kiedy skończyły już te nieprzyjemne czynności; dzięki bogom, babcia wciąż miała wszystkie swoje zęby. — To przykre. Zawsze myślałam, że to ja odejdę pierwsza, bo przecież lubiłam wypić i różne takie. Zwłaszcza różne takie. Tego sobie nie żałowałam.

Prawdę mówiąc, niania Ogg nie żałowała sobie niczego. Powszechnie uważano ją za osobę o tak szerokich horyzontach umysłowych, że ten umysł można by wyciągnąć jej uszami i przywiązywać nim kapelusz.

— Będziemy urządzać pogrzeb? — spytała Tiffany.

— Przecież znasz Esme. Nie lubiła takich rzeczy, nie była z tych, co pchają się do przodu[[13]](#footnote-13). A my, czarownice, niespecjalnie lubimy pogrzeby. Ona uważała, że to tylko niepotrzebne zamieszanie.

Tiffany pomyślała o jednym pogrzebie czarownicy, w jakim uczestniczyła — zmarła panna Spisek, u której terminowała, życzyła sobie wielkiego zamieszania. Nie chciała też stracić takiej imprezy, więc wysłała zaproszenia z wyprzedzeniem. Pogrzeb był... niezapomniany.

Kiedy ułożyły już babcię na spoczynek — jak sama to określała — niania powiedziała:

— Trzeba zawiadomić królową Magrat. Wyjechała z królem do Genoi, ale myślę, że wróci tu jak najszybciej, bo przecież są już te koleje i wszystko. Ktokolwiek jeszcze powinien wiedzieć, pewnie już wie, możesz mi wierzyć. Ale zaraz rano, zanim się zjawią, pogrzebiemy Esme tak, jak sobie życzyła: szybko i bez hałasu, w tym wiklinowym koszu na dole. Tanie są takie kosze, Esme zawsze mówiła, i szybko się je robi. A znasz Esme, była oszczędna: nic się u niej nie marnowało.

\* \* \*

Tiffany spędziła noc na rozsuwanym łóżku, zwykle chowanym, kiedy nie było potrzebne. Niania Ogg zadowoliła się bujanym fotelem na dole — skrzypiał i jęczał za każdym razem, kiedy przechylała się na nim do tyłu. Ale Tiffany i tak nie spała. Pamiętała tylko serię półuśnięć, kiedy blask księżyca wpadał do pokoju, a za każdym razem, kiedy spojrzała, widziała Ty, kotkę, śpiącą u stóp łóżka babci, zwiniętą, jakby sama była małym księżycem.

Tiffany oczywiście wiele już razy pilnowała zmarłych — obyczaj nakazywał, by odchodząca dusza miała towarzystwo w noc przed pogrzebem czy pochówkiem, jakby dla pokazania wszystkiemu, co może... no, może się czaić, że ta osoba była ważna, że jest tu ktoś, kto dopilnuje, by żadne zło się nie zakradło w tej chwili zagrożenia. I teraz, kiedy nocne skrzypienia drewna wypełniły pokój, całkiem przytomna Tiffany słyszała, jak babcia Weatherwax także wydaje dźwięki, kiedy jej ciało się uspokaja.

Często to robiłam, myślała Tiffany. Czarownice robią takie rzeczy. Nie mówimy o tym, ale robimy. Pilnujemy zmarłych, żeby żadne zło nie wypełzło do nich z ciemności. Chociaż, jak mówiła niania, może to żywych trzeba pilnować — bo wbrew temu, co sądzi większość ludzi, zmarli nikomu nie robią krzywdy.

Ale co teraz, myślała w tych godzinach przed świtem. Co się stanie jutro? Świat wywrócił się dołem do góry. Nawet za sto lat nie zdołam zastąpić babci.

A potem pomyślała: co powiedziała młoda Esmeralda, kiedy niania Gripes wyjaśniła, że jej gospodarstwem jest cały świat?

Tiffany odwróciła się, otworzyła oczy, spojrzała w górę i nagle zobaczyła sowę, wpatrującą się w nią z parapetu — wielkie oczy zawieszone w ciemności niczym latarnie z innego świata. Jeszcze jeden omen? Babcia lubiła sowy...

Teraz włączyły się jej Drugie Myśli, myśląc o tym, o czym myślała. Nie możesz powiedzieć, że nie dasz rady, żadna czarownica nigdy tego nie powie, tłumaczyły Drugie Myśli. Znaczy, jesteś przecież całkiem dobra, tak; starsze czarownice wiedzą, że kiedyś przepędziłaś z naszego świata królową elfów, widziały też, jak przechodzisz z ulnikiem przez drzwi. I wszystkie widziały, jak wracasz.

Ale czy to wystarczy, wtrąciły się Pierwsze Myśli. Kiedy... kiedy już zrobimy, co trzeba zrobić, mogę zwyczajnie wciągnąć swoje reformy numer dwa i na miotle wrócić do domu. Zresztą i tak muszę wrócić, nawet jeśli przyjmę gospodarstwo. Muszę powiedzieć rodzicom. I będę potrzebowała pomocy w Kredzie... To koszmar, jeśli będę musiała przebywać w dwóch miejscach równocześnie. Nie jestem przecież jak kot...

Kiedy to pomyślała, spojrzała w dół i zobaczyła, że patrzy na nią Ty. Ale nie tak zwyczajnie patrzy — to było przenikliwe spojrzenie, do jakiego tylko koty są zdolne, i Tiffany miała wrażenie, że oznacza: Bierz się do roboty, bo jest jej wiele. Nie myśl o sobie. Myśl za wszystkich.

Zmęczenie okazało się wreszcie jej przyjacielem i Tiffany Obolała zyskała kilka godzin snu.

\* \* \*

Sekary klekotały, kiedy o poranku wieści o babci Weatherwax płynęły wzdłuż linii i ludzie odbierali je — każdy na swój sposób.

W gabinecie swego wiejskiego domu pani Skorek[[14]](#footnote-14) dostała wiadomość, kiedy właśnie pisała swoją kolejną książkę o „magyi kwiatów”, i nagle doznała wrażenia niewłaściwości skrzywionego świata. Przybrała na twarz odpowiedni wyraz żalu i poszła powiedzieć o wszystkim swojemu mężowi, starszemu wiekiem magowi. Starała się nie okazywać radości, kiedy zrozumiała, co to oznacza: że teraz stanie się jedną z najpoważniejszych czarownic w Lancre. Może uda się wprowadzić do chaty w lesie swoją najnowszą dziewczynę?

Ostre rysy pani Skorek stały się jeszcze ostrzejsze, kiedy wyobraziła sobie, jak „magyczny” nada jej wygląd za pomocą kilku sieci klątw, talizmanów, symboli runicznych, srebrnych gwiazd, czarnych aksamitnych zasłon i... a tak, kluczowej szklanej kuli.

Posłała najnowszą uczennicę, by przyniosła jej pelerynę i miotłę, po czym wciągnęła najlepszą parę czarnych koronkowych rękawiczek, tych z magicznymi symbolami haftowanymi srebrną nitką na czubkach palców. Musi mieć odpowiednie Wejście...

\* \* \*

W Boffo — Centrum Humoru i Żartu, ul. Dziesiątego Jajka 4, Ankh-Morpork, Czarownica w sekundę — pełen asortyment — pani Proust westchnęła ciężko.

— Szkoda, bardzo. Ale dziewczyna miała dobre życie.

Czarownice nie mają przywódczyń, ale wszystkie wiedziały, że babcia Weatherwax była najlepszą przywódczynią, jakiej nie miały, więc teraz ktoś inny musi wystąpić naprzód, by ogólnie nimi kierować. I mieć na oku każdą nadmiernie skłonną do chichotu. Pani Proust odłożyła sztuczny chichot, który wyjęła z witryny „Porównaj chichoty”, i spojrzała na swego syna, Dereka.

— Teraz zaczną się kłócić, albo nie nazywam się Eunice Proust. Ale z pewnością to młoda Tiffany Obolała dostanie po niej gospodarstwo. Wszystkie widziałyśmy, do czego jest zdolna. Słowo daję, widziałyśmy dobrze!

A w myślach dodała: Działaj, Tiffany, zanim ktoś cię wyprzedzi.

\* \* \*

W pałacu Drumknott, sekretarz, spiesznie dostarczył „Puls Ankh-Morpork” do Podłużnego Gabinetu, gdzie lord Vetinari, Patrycjusz Ankh-Morpork, czekał na swą codzienną krzyżówkę.

Vetinari znał już wszystkie ważne wiadomości.

— Będą pewne kłopoty, Drumknott, przekonasz się. Oczekuję kłótni po kądzieli. — Westchnął. — Jakieś domysły, Drumknott? Kto może wznieść się ponad resztę?

Postukał w uchwyt swej hebanowej laski, rozważając postawione przez siebie pytanie.

— No cóż, panie — odparł Drumknott. — Po sekarach krążą pogłoski, że pewnie będzie to Tiffany Obolała. Całkiem młoda.

— Całkiem młoda, rzeczywiście. A zdolna?

— Wydaje się, że tak, panie.

— Co z tą drugą kobietą, tą Skorek?

Drumknott skrzywił się.

— Wszystko tylko na pokaz, sir, i nie lubi brudzić sobie rąk pracą. Dużo biżuterii, czarne koronki... znasz ten typ, panie. Ustosunkowana, ale tyle tylko umiem powiedzieć.

— A tak, kiedy ją opisałeś, rzeczywiście sobie przypominam. Poznałem ją. Arogancka i zadufana. Typ kobiety, która bywa na bankietach.

— Ty też bywasz, panie.

— To prawda, ale jestem tyranem, więc należy to do moich obowiązków, niestety. Ale wróćmy do młodej panny Obolałej: co jeszcze o niej wiemy? Było chyba jakieś zamieszanie, kiedy ostatnio odwiedziła miasto?

— Panie, Nac Mac Feeglowie bardzo ją lubią, a ona ich. Uważają się za jej gwardię honorową na różne okazje.

— Drumknott...

— Tak, panie?

— Zamierzam użyć słowa, jakiego dotąd nie używałem: Łojzicku! Nie chcemy tu znowu Feeglów. Nie możemy sobie na to pozwolić.

— Mało prawdopodobne, panie. Panna Obolała trzyma ich krótko i nie wydaje się, by chciała powtórzyć wydarzenia z ostatniej wizyty, które zresztą nie spowodowały trwałych zniszczeń.

— A czy Królewska Głowa nie zmieniła się w Królewski Kark[[15]](#footnote-15)?

— W rzeczy samej, panie, ale w rzeczywistości zmiana ta spodobała się wielu osobom, zwłaszcza oberżyście, który wciąż się bogaci dzięki turystom. Gospoda jest w przewodnikach.

— Jeśli ma po swojej stronie Nac Mac Feeglów, to należy się z nią liczyć — uznał Vetinari.

— Ta młoda dama znana jest także jako osoba rozważna, pomocna i inteligentna.

— Nie będąc przy tym nieznośną? Chciałbym móc powiedzieć to samo o pani Skorek. Hm... — mruknął Vetinari. — Sądzę, że powinniśmy bacznie ją obserwować.

\* \* \*

Mustrum Ridcully, nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu, wpatrywał się w ścianę swojego pokoju. Zaszlochał jeszcze raz, po czym wziął się w garść i posłał po Myślaka Stibbonsa, maga będącego jego prawą ręką.

— Sekary potwierdzają to, co przekazał HEX, panie Stibbons — rzekł ze smutkiem. — Czarownica Esme Weatherwax z Lancre, znana wielu jako babcia Weatherwax, umarła. — Nadrektor wydawał się nieco zakłopotany. Obracał w dłoniach pakiet listów. — Wiele nas łączyło, kiedy oboje byliśmy młodzi. Ale ona chciała zostać najlepszą ze wszystkich czarownic, a ja miałem nadzieję, że pewnego dnia będę nadrektorem. Niestety, nasze marzenia się spełniły[[16]](#footnote-16).

— Tak mi przykro... Czy mam dostosować pański terminarz, żeby mógł pan uczestniczyć w pogrzebie? Bo zakładam, że przecież będzie pogrzeb...

— Niech demony porwą terminarze, panie Stibbons. Wyruszam zaraz. Natychmiast.

— Z całym szacunkiem, nadrektorze, muszę przypomnieć, że obiecał pan spotkać się z Gildią Księgowych i Lichwiarzy.

— Tymi skąpiradłami? Przekaż im, że musiałem się pilnie zająć sprawą o zasięgu międzynarodowym.

Myślak zawahał się.

— W ścisłym sensie nie jest to prawdą, nadrektorze.

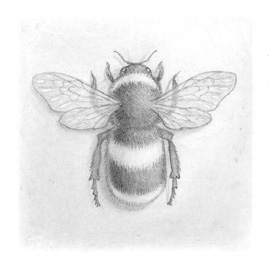
— Ależ jest — odparł spokojnie Ridcully. Reguły były dla innych, nie dla niego. Ani też, pomyślał ze smutkiem, nie dla Esme Weatherwax... — Jak długo pracujesz na Uniwersytecie, młody człowieku? — zwrócił się do Stibbonsa. — Powinieneś już wiedzieć, że maskowanie to nasze zwykłe narzędzie. A teraz idę po miotłę, Stibbons, a uczelnię zostawiam w pańskich kompetentnych rękach.

\* \* \*

Natomiast w tym... innym świecie, który jak pasożyt zaczepił swe groźne haczyki w kamiennym portalu, pewien elf opracowywał swoje plany. Zamierzał wyrwać Krainę Baśni spod władzy królowej, która nigdy w pełni nie odzyskała mocy po porażce z rąk młodej dziewczyny, niejakiej Tiffany Obolałej. Planował przekroczyć, czy raczej przeskoczyć, przez barierę, która — przynajmniej przez jakiś czas — będzie cienka jak pajęczyna. To dlatego, że potężna wiedźma nie stoi im już na drodze. I żyjący w tamtym świecie będą słabi...

Oczy lorda Groszka błysnęły, a jego umysł wypełniły cudowne wizje ofiar, rozkoszy okrucieństwa, splendoru krainy, gdzie elfy raz jeszcze będą mogły igrać z nowymi zabawkami.

Kiedy nadejdzie właściwy moment...



Rozdział 4

POŻEGNANIE... I POWITANIE

Następnego ranka zniosły ciało babci Weatherwax po wąziutkich schodkach. Nie ułatwił im zadania solidny gąsiorek cydru, opróżniany pospiesznie przez nianię Ogg. Udało się jednak bez wstrząsów.

Delikatnie ułożyły babcię w wiklinowej trumnie, po czym Tiffany poszła do szopy po taczki i łopaty, gdy tymczasem niania Ogg starała się złapać oddech. Potem razem ostrożnie uniosły trumnę na taczki, a łopaty wsunęły po obu stronach.

Tiffany złapała uchwyty.

— Zostań tu, Rob — powiedziała do Feegla, gdy wraz z kolegami wynurzyli się z rozmaitych kryjówek i ustawili za nią. — To jest wiedźmia robota. Nie możesz mi pomóc.

Rob przestąpił z nogi na nogę.

— Ale ty ześ jest nasom wiedźmom i sama wis, co Jeannie... — zaczął.

— Robie Rozbóju. — Stalowe spojrzenie Tiffany przybiło Feegla do ziemi. — Pamiętasz główną wiedźmę? Babcię Weatherwax? A chciałbyś, żeby jej cień wrócił i... i już zawsze mówił ci, co masz robić? Zawsze? — Zabrzmiał chóralny jęk, a Tępak Wullie cofnął się o krok, popiskując cicho. — A więc spróbuj zrozumieć: to jest coś, co my, wiedźmy, same musimy załatwić. — Zwróciła się do niani. — Dokąd idziemy? — spytała.

— Esme wyznaczyła takie miejsce w lesie, gdzie chce być złożona. Chodź za mną, Tiff, wiem, gdzie to jest.

Ogród babci Weatherwax przylegał do lasu, ale Tiffany miała wrażenie, że idą bardzo długo. Wreszcie dotarły do serca lasu, gdzie sterczał wbity w ziemię kij z zawiązaną na czubku czerwoną wstążką.

Niania podała dziewczynie łopatę i w chłodzie poranka zaczęły kopać. Praca była ciężka, ale babcia dobrze wybrała sobie miejsce, więc ziemia okazała się miękka i podatna.

Kiedy dół był gotów — trzeba zaznaczyć, że głównie dzięki Tiffany — spocona z wysiłku (według własnych słów) niania Ogg oparła się na trzonku łopaty i pociągnęła z gąsiorka, a Tiffany podjechała taczkami. Razem złożyły w dole wiklinową trumnę i odstąpiły na chwilę. Bez jednego słowa, z powagą, skłoniły się przed grobem babci. A potem znów chwyciły łopaty i zaczęły zakopywać trumnę. Szur... szur... Ziemia zakrywała plecionkę, aż wreszcie nic już nie było widać; Tiffany patrzyła, jak ziemia się zsypuje, jak w końcu nieruchomieje ostatnia drobinka.

Kiedy wygładzały świeży kopiec, niania wyjaśniła Tiffany, że babcia nie życzyła sobie żadnych pomników, żadnych kapliczek i stanowczo żadnych nagrobków.

— Ale powinien być jakiś kamień — przekonywała Tiffany. — Wiesz przecież, nianiu, jak borsuki, myszy i inne stworzenia potrafią rozkopywać ziemię. Chociaż wiemy, że te kości to przecież nie ona, ja osobiście wolałabym wiedzieć, że niczego tu nie wygrzebią, dopóki...

Zawahała się.

— Dopóki sam czas nie dobiegnie końca? — dokończyła niania. — Posłuchaj, Tiff. Esme kazała mi powtórzyć, że jeśli chcesz zobaczyć Esmeraldę Weatherwax, po prostu się rozejrzyj. Jest tutaj. My, czarownice, niedługo nosimy żałobę. Wystarczą nam szczęśliwe wspomnienia. To one są cenne.

W umyśle zajaśniało nagle Tiffany wspomnienie o własnej babci. Nie była czarownicą — choć Esme Weatherwax z wielkim zainteresowaniem słuchała opowieści o niej — ale kiedy umarła, spalono jej pasterską chatę na kołach, a jej kości zakopano na wzgórzach, sześć stóp pod powierzchnią, w kredzie. Potem przykryto grób dawną murawą i tylko żelazne koła chaty znaczyły to miejsce. Tyle że stało się ono święte, odpowiednie dla wspominania. I nie tylko dla Tiffany — żaden pasterz nie przeszedł tędy, nie spoglądając przez chwilę w niebo i nie poświęcając kilku myśli babci Obolałej, która kiedyś, często nocami, przemierzała te wzgórza, a jej lampka zygzakowała w ciemności. Aprobujące skinienie babci było w Kredzie najwyższą nagrodą.

I to miejsce w lesie, zrozumiała Tiffany, będzie takie samo. Błogosławione. I na dodatek dzień jest piękny, uznała, jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak piękny dzień, by umrzeć, dobry dzień, by zostać pogrzebanym.

W górze zaczęły śpiewać ptaki, zaszeleściło poszycie, i wszystkie odgłosy lasu, dowodzące, że życie wciąż jest przeżywane, zabrzmiały w chóralnym requiem z duszami umarłych.

Cały las śpiewał dla babci Weatherwax.

Tiffany zauważyła, że lis podszedł ostrożnie, skłonił się i odbiegł, ponieważ przybył dzik z rodziną warchlaków. Następnie zjawił się borsuk, nie zwracając uwagi na tych, co byli tu wcześniej — i już został. Tiffany patrzyła oniemiała, a wokół grobu sadowiło się jedno stworzenie po drugim — jakby były zwierzętami domowymi.

Gdzie jest teraz babcia, zastanowiła się. Czy może jakaś jej cząstka wciąż przebywa... tutaj?

Podskoczyła, kiedy coś dotknęło jej ramienia, ale to był tylko liść. A potem, głęboko w sercu, odkryła odpowiedź na pytanie: Gdzie jest babcia Weatherwax?

Ta odpowiedź brzmiała: Jest tutaj — i wszędzie.

Ze zdziwieniem zauważyła, że niania cicho płacze. Niania raz jeszcze pociągnęła z gąsiorka i otarła oczy.

— Płacz czasem pomaga — wyjaśniła. — Nie ma się co wstydzić łez po tych, cośmy ich kochali. Czasem wspominam któregoś ze swoich mężów i ronię jedną czy drugą łzę. Wspomnienia są po to, żeby trzymać je w sercu, i nie ma co robić ponurych min.

— A ilu mężów właściwie miałaś, nianiu? — zainteresowała się Tiffany.

Niania jakby liczyła w pamięci.

— Trzech swoich, i powiem tyle, że na resztę by mi zabrakło palców. — Ale już się uśmiechała, może wspominając szczególnie drogiego męża, a potem, kiedy wróciła myślami do teraźniejszości, znowu była zwykłą, pogodną nianią. — Chodźmy, Tiff. Wracajmy do twojej chatki. Zawsze powtarzam, że porządna stypa sama się nie zrobi.

\* \* \*

A kiedy szły już do chaty, Tiffany zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju.

— Jak myślisz, nianiu, co teraz będzie?

Niania przyjrzała się jej zaskoczona.

— O co ci chodzi?

— No wiesz, babcia nie była tak naprawdę główną czarownicą... tylko ludzie zwykle uważali, że jest...

— Nie ma czegoś takiego jak główna czarownica, Tiff. Wiesz przecież.

— No tak, ale... skoro babci już nie ma, czy to ty zostaniesz tą nie-główną czarownicą?

— Ja? — Niania Ogg parsknęła śmiechem. — Nie, kochana. Miałam dobre życie, dużo dzieci, dużo mężczyzn, dużo zabawy, i tak, jako czarownica jestem całkiem niezła. Ale nigdy nie myślałam, żeby zastąpić Esme. Nigdy.

— No więc kto? Bo ktoś musi.

Niania zmarszczyła czoło.

— Babcia nigdy nie mówiła, że jest lepsza od innych — stwierdziła. — Po prostu robiła swoje, pokazywała im, a ludzie już sami mogli ocenić. Nie ma co, starsze czarownice na pewno niedługo się zbiorą, żeby się w tej sprawie rozmówić. Ale ja wiem, kogo babcia by wybrała. I ja też. — Przystanęła i spoważniała na chwilę. — To ty, Tiff. Esme zostawiła ci chatkę. Ale to nie wszystko. Musisz zastąpić babcię Weatherwax albo spróbuje tego ktoś gorzej wykwalifikowany.

— Ale ja... ja nie mogę! A czarownice nie mają przywódczyń! Sama przed chwilą powiedziałaś, nianiu!

— No fakt — przyznała niania. — A ty musisz być tą absolutnie najlepszą przywódczynią, której nie mamy. I nie patrz na mnie tak spode łba, Tiffany Obolała. Zastanów się tylko. Nie starałaś się na to zasłużyć, ale zasłużyłaś, a jeśli mi nie wierzysz, to może uwierzysz babci. Esme mówiła, że jesteś jedyną czarownicą, która może poważnie zająć jej miejsce. Powiedziała to tamtej nocy, kiedy pobiegłaś z zającem.

— Mnie nigdy nic nie mówiła — poskarżyła się Tiffany, czując się nagle bardzo młodo.

— No, przecież nic by nie powiedziała, to jasne, że nie powiedziałaby — odparła niania. — Esme tak nie robiła, wiesz o tym. Mruknęłaby coś tylko, może rzuciła: „Dobra robota, dziewczyno”. Po prostu chciała, żeby ludzie poznali własne możliwości, własne moce. A twoja moc jest niebywała.

— Ależ nianiu, ty jesteś starsza, bardziej doświadczona ode mnie... O wiele więcej wiesz!

— I część z tego wolałabym zapomnieć — westchnęła niania.

— Jestem jeszcze za młoda — jęczała Tiffany. — Gdybym nie była czarownicą, nadal myślałabym tylko o chłopcach!

Niania Ogg prawie na nią naskoczyła.

— Wcale nie jesteś za młoda — oświadczyła gniewnie. — Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Esme mówiła mi nieraz, że to ty będziesz sobie radzić z przyszłością. A że jesteś młoda, to masz tej przyszłości dużo. — Pociągnęła nosem. — O wiele więcej niż ja, to pewne.

— Przecież to nie tak... — upierała się Tiffany. — To powinna być starsza czarownica. Na pewno...

Ale jej Drugie Myśli zaatakowały wtedy: A dlaczego? Dlaczego nie załatwić tego inaczej? Dlaczego mamy wszystko robić tak jak przedtem?

I przyjemny dreszcz przeszył Tiffany na myśl o nowym wyzwaniu.

— Ha! — rzekła niania. — Tańczyłaś z zającem, żeby ratować życie swoim przyjaciołom, dziewczyno! Pamiętasz, byłaś kiedyś tak... rozgniewana, że chwyciłaś krzemień i sprawiłaś, że spłynął ci między palcami jak woda? I że kiedyś wszystkie starsze czarownice zdjęły przed tobą kapelusze? Przed tobą! Kapelusze! — Ruszyła w stronę chatki, rzucając jeszcze ostatnią uwagę: — I pamiętaj, Ty wybrała. Ta kotka, znaczy. Pobiegła do ciebie, kiedy Esme wzięła i odeszła.

Biała kotka siedziała niedaleko, na pniu starej brzozy, i myła się. A Tiffany się zastanawiała. O tak, głęboko się zastanawiała.

\* \* \*

Akurat wróciły do chatki, kiedy trochę rozczochrany, ale bardzo wielki mag próbował wylądować miotłą obok szopy dla kóz.

— Dobrze, że się zjawiłeś, Mustrumie — krzyknęła niania Ogg ze skraju ogrodu.

Nowo przybyły dżentelmen wygładził szatę, ostrożnie wyminął zioła i uchylił kapelusza — rozbawiona Tiffany zauważyła, że przywiązał go sobie sznurkiem.

— Tiff, to jest Mustrum Ridcully, nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu.

Tiffany poznała dotąd jednego czy dwóch magów, i obaj należeli do typu, który opierał swój autorytet głównie na szatach, szpiczastym kapeluszu i lasce. Oraz nadziei, że nigdy nie będą musieli zrobić niczego naprawdę magicznego. Ridcully właśnie na takiego wyglądał — broda, solidna laska z gałką na czubku, szpiczasty kapelusz... zaraz... szpiczasty kapelusz z zatkniętą za wstążkę kuszą?

Ta jej część, która była czarownicą, odstąpiła na bok i przyglądała się z zaciekawieniem, ale Ridcully wyraźnie nie zwracał na nią uwagi. Ku swemu zdumieniu, Tiffany zauważyła, że chyba płacze...

— Czy to prawda, nianiu? Ona naprawdę odeszła?

Niania podała mu chusteczkę, a Ridcully głośno wytarł nos.

— On i Esme, byli, no wiesz... — szepnęła do Tiffany. — Byli bardzo zaprzyjaźnieni. W młodości.

Mrugnęła.

Nadrektor opanował się chyba, a niania wręczyła mu gąsiorek.

— To moje słynne lekarstwo, wasza cencjo. Najlepiej wypić do dna jednym haustem. Świetnie działa i od razu pomaga na melancholię. Kiedy tylko jestem trochę nie za pewna siebie, piję jak najwięcej. Tylko w celach leczniczych, oczywiście.

Nadrektor chwycił gąsiorek, pociągnął kilka solidnych łyków, a potem wzniósł go jak w toaście.

— To za Esmeraldę Weatherwax i utracone przyszłości — powiedział zduszonym od żalu głosem. — Obyśmy wszyscy powrócili znowu!

Zdjął kapelusz, odkręcił czubek i wyjął małą buteleczkę brandy z kieliszkiem.

— Pani zdrowie, pani Ogg! — powiedział gromkim głosem. — A teraz... czy mogę ją zobaczyć?

— Pogrzebałyśmy ją już tam, gdzie chciała spocząć — odparła niania. — Wiesz, jak to jest. Nie lubiła zamieszania. — Przyjrzała mu się. — Bardzo mi przykro z tego powodu, Mustrumie. Ale zaprowadzimy cię do miejsca, gdzie jest teraz. Może ty pokażesz drogę, Tiffany?

I tak najważniejszy mag na świecie z szacunkiem podążył za Tiffany i nianią Ogg przez las, na miejsce spoczynku najważniejszej czarownicy na świecie. Drzewa otaczające małą polankę pełne były ptaków, śpiewających na całe gardła. Obie kobiety zostały z tyłu, by pozwolić magowi na chwilę samotności nad grobem.

Westchnął ciężko.

— Dziękuję, pani Ogg. Panno Obolała.

Podszedł do Tiffany i przyjrzał się jej uważnie.

— Przez pamięć Esmeraldy Weatherwax, moja droga, gdybyś potrzebowała kiedyś przyjaciela, możesz na mnie liczyć. Bycie najważniejszym magiem na świecie musi się czasem przydać. — Zastanowił się. — Słyszałem o tobie — oświadczył, a słysząc jej zdumione syknięcie, dodał: — Nie, nie bądź taka zaskoczona. Musisz wiedzieć, że my, magowie, mamy... na oku to wszystko, co robicie wy, czarownice. Wiemy, kiedy magia jest zakłócona, kiedy... kiedy coś się dzieje. Dlatego słyszałem o krzemieniu. To prawda?

Głos maga brzmiał teraz szorstko — jak u człowieka, który nie uznaje pogawędek, tylko wygłaszane potężnym głosem przemowy.

— Tak — potwierdziła Tiffany. — Wszystko.

— Coś podobnego... Teraz jestem przekonany, że twoja przyszłość będzie... jak by to ująć... nakrapiana. Dostrzegam w tobie oznaki, panno Tiffany Obolała... a znam wiele osób obdarzonych mocą, osób mających tyle mocy, że nie muszą jej używać. Nie jesteś jeszcze w kwiecie wieku, ale już widzę to w tobie, żyję więc w zadziwieniu, co możesz jeszcze uczynić.

Posmutniał nagle.

— Drogie panie, czy zechcecie mnie teraz zostawić samego z moim bólem? Z pewnością potrafię znaleźć drogę powrotną do chatki.

Sporo później nadrektor podszedł do swojej miotły, a Tiffany i niania Ogg obserwowały, jak znika mniej więcej w kierunku Ankh-Morpork. Sama miotła kiwała się trochę, kiedy w ostatnim pożegnaniu przeleciał nad lasem.

Niania uśmiechnęła się.

— Jest magiem. Może być trzeźwy, jeśli zechce, a jeśli nie, to sama widzisz, potrafi całkiem dobrze latać na miotle, nawet gdy ma w sobie jedną czy drugą brandy. Zresztą na górze nie bardzo ma się z czym zderzyć.

\* \* \*

Mijały godziny poranka i coraz więcej osób przybywało do chatki, by wyrazić swój szacunek. Wiadomości docierały coraz dalej i nagle zdawało się, że każdy ma ochotę zostawić podarek dla babci Weatherwax — dla czarownicy, która zawsze była tam dla nich, nawet jeśli tak naprawdę jej nie lubili. Esme Weatherwax nie robiła tego, co miłe. Robiła to, co potrzebne. Wychodziła do nich, kiedy stawali przed chatką i wołali, wyruszała o każdej porze dnia i nocy, kiedy prosili (czasem też, kiedy nie, co nie zawsze było wygodne). W jakiś sposób sprawiała, że czuli się... bezpieczniej. A teraz przynosili szynki i sery, mleko i marynaty, dżemy, piwo, chleb i owoce...

Wydawało się też, że przez las ze wszystkich stron nadlatują miotły, a prawdziwa czarownica niczego nie ceni tak bardzo, jak darmowego jedzenia — Tiffany przyłapała jedną ze starszych, jak usiłuje wcisnąć sobie w reformy całego kurczaka.

Ale kiedy zjawiły się czarownice, okoliczni mieszkańcy zaczęli znikać. Wiadomo: nie warto tkwić w pobliżu tylu czarownic. Po co ryzykować? Nikt nie chce zmienić się w żabę — kto by wtedy dopilnował żniw? Zaczęli więc usprawiedliwiać się i wycofywać ukradkiem, przy czym ci, którzy korzystali ze słynnych koktajli niani Ogg, wycofywali się w sposób raczej chwiejny.

Żadna z czarownic nie była tu zaproszona, ale Tiffany miała wrażenie, że coś je ściągnęło, tak jak nadrektora. Przybyła nawet pani Skorek — właściwie przyjechała czarną karocą zaprzężoną w dwa konie z czarnymi kitami, a na rękach dzwoniły jej amulety i uroki — jakby sekcja perkusyjna orkiestry spadła nagle z urwiska. Kapelusz przyozdobiła girlandami srebrnych gwiazd.

Męża przywlokła ze sobą. Tiffany żal się zrobiło mężczyzny.

— Witajcie, siostry, i niech runy ochraniają nas przy tej doniosłej okazji — zawołała pani Skorek.

Mówiła akurat tak głośno, by usłyszeli ją pozostali tu jeszcze wieśniacy — lubiła reklamować swoje czarownictwo.

Potem przez dłuższą chwilę przyglądała się Tiffany, co zirytowało nianię Ogg. Wykonała więc najkrótszy z możliwych ukłonów i odwróciła się.

— Patrz, Tiffany, to Agnes Nitt — powiedziała. — Hej, Agnes!

Agnes — czarownica, której talia sugerowała takie podejście do jedzenia, jakie prezentowała kelda Nac Mac Feeglów — była trochę zdyszana.

— Byłam w trasie z Wiele hałasu o wszystkich Stackpole’a. Akurat graliśmy w Quirmie, kiedy się dowiedziałam. Przybyłam jak najszybciej.

Tiffany nie poznała jeszcze Agnes, ale jedno spojrzenie na jej spokojną twarz i szczery uśmiech przekonało ją, że bez trudu się dogadają. Zaraz potem z radością zobaczyła lądującą chwiejnie miotłę i usłyszała znajome „Um” swojej przyjaciółki Petulii.

— Um, Tiffany, słyszałam już, że tu jesteś. Um, chcesz może, żeby ci pomóc przy kanapkach? — zaoferowała się Petulia zaraz po lądowaniu, machając wielkim połciem bekonu.

Petulia wyszła za hodowcę świń i uznawano ją za najlepszą zanudzaczkę[[17]](#footnote-17) w Lancre. Była też jedną z najlepszych przyjaciółek Tiffany.

— Dimity też tu jest, i, um, Lucy Warbeck — mówiła dalej Petulia.

Jej „um” zawsze się pogarszało w towarzystwie innych czarownic. Co ciekawe, nigdy nie używała tego słowa, kiedy zwracała się do świń, co wiele mówi o Petulii i świniach.

Tiffany i wnukowie niani Ogg ustawili kilka prowizorycznych stołów. W końcu każdy zdawał sobie sprawę, czemu naprawdę służy pogrzeb, zresztą większość ludzi lubi jeść i pić niezależnie od okazji. Grała też muzyka, a ponad gwarem wznosił się niebiański głos Agnes. Śpiewała Lament Colombiny, a spokojna melodia płynęła ponad dachem i dalej w głąb lasu.

— Ten głos mógłby drzewa skłonić do płaczu — westchnęła niania Ogg.

Były i tańce, do których bez wątpienia przyczyniły się wytwory niani. Gytha Ogg każde spotkanie potrafiła doprowadzić do etapu śpiewów i tańca. To dar, pomyślała Tiffany. Niania potrafiłaby rozweselić nawet cmentarz, gdyby tylko się przyłożyła.

— Żadnych smętnych min dla Esme Weatherwax, jeśli można — zarządziła stanowczo. — Miała dobrą śmierć w swoim domu, czego każdemu można życzyć. Czarownice wiedzą, że ludzie umierają, a jeśli uda im się umrzeć po bardzo długim czasie i zostawić świat lepszym, niż go zastały, to powód do radości. Cała reszta to tylko porządkowanie. A teraz tańczmy! Tańce kręcą światem! A kręci się jeszcze szybciej, jeśli macie w sobie kropelkę mojej domowej nalewki.

Nad dachem chatki, na gałęziach małego drzewka, które wyros­ło z babcinej strzechy, bujali się Nac Mac Feeglowie — Rob Rozbój, Tępak Wullie, Duży Jan oraz gonagiel Super Ciut Billy Bródek. W pełni się zgadzali z końcową częścią przemowy, choć trzeba zaznaczyć, że tańce zostawili sobie na później. Starali się nie rzucać w oczy i zauważyły ich jedynie jedna czy dwie bardziej spostrzegawcze czarownice. Lecz teraz zsunęli się do spiżarni, gdzie Tiffany zaczynała to, czego starsze wiekiem i doświadczeniem czarownice zawsze oczekiwały od młodszych dziewcząt — to znaczy sprzątanie. Tymczasem te starsze powoli gromadziły się na zewnątrz — zbliżał się czas, by omówić wyznaczenie nowej rezydentki dla gospodarstwa babci Weatherwax. Tiffany wolała trzymać się na uboczu i zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć.

Kiedy przenikliwe tony mysich dud Super Ciut Billy’ego Bródka zabrzmiały w pieśni żałobnej za duszę wiedźmy wiedźm, pozostali Feeglowie zaczęli porywać ze stołów wszystkie przeoczone przez czarownice resztki.

— Skoda bidnej babci. Dobzem ją znał — rzekł Duży Jan, pociągając z flaszki domową gorzałkę niani.

— Nie, wcale nie znałeś — oburzyła się Tiffany. — Tylko babcia Weatherwax naprawdę znała babcię Weatherwax.

Ból był jeszcze zbyt świeży, a w dodatku czarownice na zewnątrz budziły jej nerwowość.

— Ha, ha — zaśmiał się Tępak Wullie. — Terozki to zem nie był jo, Rob! Nie ja zem w to wdepnął! Ino mi sie widziało, co wiedźma je nerwowa. Tak było, Rob?

— W twojom gębe wdepne, jak się zaro nie zamknies — warknął Duży Jan.

Mieli już za sobą jedzenie i picie, tańce odłożyli na później, ale czy nie przyszła pora na ciut bójkę? Zacisnął pięści, ale zaraz musiał się gwałtownie cofnąć, gdyż do spiżarni wbiegły przyjaciółki Tiffany.

— Myślę, że to chyba będziesz ty, Tiffany — pisnęła Dimity i stuknęła ją palcem w plecy. — Niania Ogg właśnie wstała i spytała o ciebie. Lepiej wyjdź tam do nich.

— No idź, Tiff — ponagliła Petulia. — Wszyscy wiedzą, um, co babcia Weatherwax o tobie myślała...

I tak, ciągnięta i popychana przez koleżanki, Tiffany wyszła ze spiżarni, ale zawahała się przy kuchennych drzwiach, niechętna, by uczynić końcowy krok. Wysunąć żądanie. To przecież była chatka babci — wciąż to czuła. A ta bez-babciność zaczynała sprawiać wrażenie ogromnej dziury w powietrzu dookoła.

Tiffany spojrzała w dół: Ty okrążała jej nogi, wyginała grzbiet i pocierała małym łebkiem o but.

Na zewnątrz niektóre czarownice wpatrywały się w nianię Ogg.

— Tak, moje panie — tłumaczyła. — Esme powiedziała nam, kim ma być jej następczyni. — Odwróciła się i skinęła, by Tiffany podeszła bliżej. — Żałuję, że nie było mnie przy tym... — dodała — ...kiedy Esme Weatherwax została czarownicą dzięki niani Gripes. Myślicie, że ta, która uczyni was czarownicą, jest taką czarownicą, jaką same się staniecie, ale to nie tak. Wszystkie musimy odnaleźć własną ścieżkę. Babcia Weatherwax zawsze była prawdziwą czarownicą samą w sobie, a nie kolejną nianią Gripes.

Zastanowiła się.

— Uważam, że każda z nas może mówić za siebie, ale tacy ludzie jak nadrektor czy lord Vetinari... czy nawet ktoś taki jak dolna królowa krasnoludów... chcieliby wiedzieć, że mogą rozmawiać z kimś, kto przemawia, tak oficjalnie znaczy, w imieniu wszystkich czarownic. I jestem pewna, że w Esme widzieli głos całego czarownictwa. No więc my także powinnyśmy słuchać tego głosu. Ona powiedziała mi, kto ma być jej następczynią. Tak jest; i napisała to na tej oto kartce.

Niania pomachała kartką, pozostawioną przez babcię na szafce koło łóżka.

Najwyraźniej ktoś zgłosił pomysł, by to pani Skorek przejęła gospodarstwo — czy może pani Skorek zasugerowała, by do chatki wprowadziła się jej ostatnia uczennica. Teraz bowiem niania patrzyła na nią gniewnie i nie pozostał w niej żaden ślad tej wesołej czarownicy, jaką zwykle była. Żaden.

— Letycja Skorek robi tylko błyskotki dla przyszłych czarownic — oświadczyła. Zignorowała gniewne „Humf!” pani Skorek i mówiła dalej. — Ale Tiffany Obolała... Tak jest, siostry. Tiffany Obolała... wszystkie widziałyśmy, co potrafi. Nie chodzi o błyszczące amulety. Ani o książki! Chodzi o bycie czarownicą do szpiku kości, o radzenie sobie z lamentem i łzami! O bycie prawdziwą. Esme Weatherwax wiedziała o tym, wiedziała każdą kosteczką swego ciała. Tak samo wie Tiffany Obolała i to gospodarstwo jest jej!

Tiffany nabrała tchu, kiedy czarownice spojrzały wszystkie w jej stronę. A kiedy zaczęły mruczeć między sobą, z wahaniem ruszyła naprzód.

Ty zamiauczała, słyszalna mimo pomruków, i zajęła miejsce u jej boku. W powietrzu rozległo się brzęczenie i nagle nadleciały pszczoły — cały rój wypłynął z uli babci Weatherwax i krążył nad głową Tiffany jak aureola, jak korona. Rój i dziewczyna znieruchomieli na progu chatki. Tiffany wyciągnęła ręce, a pszczoły usiadły na nich, witając ją w domu.

Potem — tego strasznego dnia, kiedy pożegnano czarownicę czarownic — nie było już dalszych dyskusji i w oczach wszystkich Tiffany Obolała stała się czarownicą, za którą należy podążać.



Rozdział 5

ŚWIAT SIĘ ZMIENIA

Królowa elfów siedziała dumnie na diamentowym tronie w swoim pałacu, otoczona przez dworzan, znajdy i zgubionych chłopców, a także obrzydliwe bezimienne kreatury — wszelkie odpadki i męty magicznego ludu.

Dzisiaj postanowiła błyszczeć. Niegasnące słoneczne światło wpadało przez pięknie rzeźbione kamienne okna dokładnie tak, by trafiać w maleńkie klejnoty na jej skrzydłach, a przy każdym ruchu w sali tronowej tańczyły delikatne tęcze. Stojący wokół dworzanie w aksamitach, koronkach i piórach byli prawie, ale jednak nie całkiem, równie pięknie odziani.

Zerkała na boki, jak zawsze czujnie obserwując zachowanie swych panów i dam. Czy to lord Lankin stoi tam w kącie z lordem Gorczyczką? Szepczą między sobą... A gdzie jest lord Groszek? Pewnego dnia, pomyślała, każe nabić na drąg jego głowę. Nie ufała mu wcale, a jego urok wydawał się ostatnio wspaniały, prawie tak silny jak jej... A raczej, poprawiła się z goryczą, tak wspaniały, jak jej był... przedtem.

Przedtem, zanim młoda czarownica, Tiffany Obolała, przybyła do Krainy Baśni i poniżyła królową...

Ostatnio wyczuwała drżenia pomiędzy ich dwoma światami, co dowodziło, że granice się przesuwają, krawędzie są coraz bardziej rozmyte. Słabsze. Kilku co silniejszych elfów prześlizgiwało się nawet od czasu do czasu, by trochę pofiglować. Może już niedługo uda się poprowadzić elfy na prawdziwą wyprawę łupieżczą... Porwać jakieś inne dziecko do zabawy. Zemścić się na tej Obolałej czarownicy.

Królowa uśmiechnęła się na tę myśl i oblizała wargi, wyobrażając sobie przyszłą zabawę.

Teraz jednak docierały do niej mniej pomyślne wieści. Gobliny! Zwykłe glisty; powinni być wdzięczni, jeśli jakiś elfi pan czy dama choćby spojrzy w ich stronę. A jednak ostatnio idiotycznie odmawiali spełnienia jej żądań. Pokaże im, pomyślała. Lankinowi, Gorczyczce, Groszkowi... Wszyscy się przekonają, jaka znów jest potężna. Zobaczą, jak porazi te goblinie męty...

Ale gdzie jest Groszek?

\* \* \*

Gobliniego więźnia wprowadzono do sali pod strażą. Wyglądają dość oszałamiająco, myślał z ironią. Akurat tak, jak wyglądałby dwór elfów w książeczce z bajkami ludzkiego dziecka... dopóki nie spojrzało się na ich twarze i nie dostrzegło, że coś jest nie w porządku, coś w oczach, w minach tych pięknych istot...

Królowa przez chwilę przyglądała się goblinowi, wspierając drobny podbródek na palcach cudownie szczupłej dłoni. Zmarszczka przecięła alabastrowe czoło.

— Goblinie, twoje imię to Z Rosy Blask Słońca, o ile pamiętam. Ty i twoja rasa od dawna korzystacie z ochrony tego dworu. A mimo to słyszę pogłoski o rebelii. Zanim oddam cię moim gwardzistom dla... rozrywki, powiedz mi, czemu tak się dzieje.

Melodyjny głos rozbrzmiewał czarownie przy każdym słowie, jednak goblin wydawał się nieporuszony. Powinien paść na kolana i błagać ją o wybaczenie, zahipnotyzowany mocą jej uroku. Zamiast tego stał spokojnie i uśmiechał się. Uśmiechał się do królowej!

— No więc, królewno, to wygląda tak. Gobliny są teraz w ludzkim świecie uczciwymi obywatelami. Ludzie mówią, że gobliny użyteczne. I lubimy być użyteczni. Dostałem wypłatę za bycie użytecznym, za odkrywanie różnych rzeczy i robienie różnych rzeczy.

Cudowne oblicze królowej rozmyło się trochę, kiedy patrzyła na bezczelnego stwora przed sobą.

— To niemożliwe! — zawołała. — Gobliny to męty, wszyscy o tym wiedzą!

— Ha, ha! — zaśmiał się. — Królewna nie taka mądra, jak myśli. Gobliny teraz siedzą w siodle. Gobliny wiedzą, jak powozić tymi żelaz­nymi końmi!

Dreszcz przebiegł po dworze, gdy goblin wymówił słowo „żelazny”; magiczne lśnienie przygasło. Suknia królowej zmieniła się ze srebrzystej i cienkiej jak pajęczyna w aksamitną i czerwoną jak krew; blond loki stały się prostymi, kruczymi pasmami. Dworzanie poszli za jej przykładem: pastelowe jedwabie i koronki ustąpiły skórzanym spodniom, szkarłatnym szarfom, skrawkom futer na barwionych torsach. Zgrzytnęły wydobywane elfie kamienne noże, błysnęły wyszczerzone zęby.

Ale mały goblin nawet nie drgnął.

— Nie wierzę ci — oświadczyła królowa. — Jesteś przecież tylko goblinem.

— Tylko goblin, tak jest, wasza królewskość — odparł spokojnie. — Goblin, co rozumie żelazo i stal. Stal, co jeździ wkoło i wkoło, i sapie. Zabiera ludzi w dalekie miejsca. I goblin, co jest obywatelem Ankh-Morpork, a ty wiesz, co to znaczy, pani. Czarny władca denerwuje się, kiedy zabijają obywatela.

— Kłamiesz — stwierdziła. — Lord Vetinari nie dba, co się z tobą stanie. Wy, gobliny, zawsze kłamiecie, Z Rosy Blasku Słońca.

— To nie jest już moje imię. Jestem teraz Z Tokarni Opiłki.

— Opiłki? Co to takiego?

— Takie malutkie kawałki żelaza, królewno. — Goblin spoglądał z godnością. — Z Tokarni Opiłki nie jest kłamcą. Powiesz tak jeszcze raz, wasza magicznowatość, a otworzę kieszenie. Wtedy zobaczymy, co to są opiłki.

Królowa wyprostowała się, wpatrzona w dłonie goblina, nieruchome nad kieszeniami ciemnoniebieskiej kurtki, spiętej drewnianymi kołkami na chudej piersi.

— Ośmielasz się mi grozić? — zdziwiła się. — Tutaj, w mojej dziedzinie, ty glisto? Kiedy od jednego mojego słowa serce może ci zwiędnąć w piersi? Kiedy mogę powalić cię na miejscu?

Skinęła na gwardzistów, którzy stali nieruchomo z wymierzonymi w goblina kuszami.

— Nie jestem glistą dla ciebie, królewno. Mam opiłki. Malutkie kawałki stali, co mogą fruwać w powietrzu. Ale jestem tu, żeby przekazać wiadomość. I ostrzeżenie. Z Tokarni Opiłki ciągle jeszcze ma upodobanie do dawnych czasów. Lubi patrzeć, jak ludzie się wiją. Lubi widzieć, jak baśniowy lud miesza im w głowach. Oj, lubi. Niektóre gobliny myślą jak ja, ale teraz już ich niedużo. Niektóre gobliny wcale nie są już gobliny. Prawie ludzie. Nie podoba mi się, ale mówią, że czas wszystko zmienia. Pieniądze są dobre, królewno, rozumiesz.

— Pieniądze? — Królowa parsknęła. — Dam wam goblinom pieniądze, bez... — Urwała, widząc, jak ręce więźnia sięgają do kieszeni.

Czy ta okropna mała kreatura naprawdę ośmieliła się przynieść żelazo do jej królestwa? Żelazo: dla elfów straszna substancja. Bolesna. Niszczycielska. Czyniła elfa ślepym, głuchym i bardziej samotnym, niż mógłby czuć się dowolny człowiek. Zaciskając zęby, dokończyła zdanie:

— ...wątpienia wam należne.

— Złoto, co znika ze wschodem słońca — mruknął goblin. — Oni... my... zarabiają teraz prawdziwe pieniądze. Ja tylko chcę, żeby gobliny były goblinami. Goblinami ze statusem. Z szacunkiem. Nie jakieś popychadła, twoje czy kogoś innego.

Spojrzał niechętnie na Groszka, który stanął nagle u boku królowej.

— Nie wierzę ci — rzekła królowa.

— Twój pogrzeb, królewno — odparł goblin. — Nie musisz wierzyć. Idź do bramy. Teraz nietrudno, kiedy stara czarownica odeszła. Sama zobaczysz. Świat się zmienił, królewno.

Zmienił się, pomyślała. To prawda. Czuła drżenia, wiedziała, że dzieje się coś ważnego, ale nie miała pojęcia, co dokładnie. Czyli starej czarownicy już nie ma... A skoro wiedźma ich nie powstrzyma, to przecież mogą znowu wjechać tam w chwale...

Nagle posmutniała.

Tylko te opiłki... To żelazo...

— Zwiążcie temu robakowi ręce z tyłu — rozkazała strażnikom, wskazując goblina. — Chcę się przekonać, czy mówi prawdę. Pojedzie z nami... — Uśmiechnęła się. — Jeśli nas okłamał, wyrwiemy mu język.

\* \* \*

Następnego ranka, samotna w chatce babci Weatherwax... w swojej chatce... Tiffany zbudziła się wcześnie, wiedząc, że jej świat się zmienił. Ty przyglądała się jej niczym jastrząb.

Tiffany westchnęła. Czekał ją pracowity dzień. Bywała już w domach, które widziały śmierć, i zawsze pani na gospodarstwie — o ile taka była — pilnie polerowała wszystko, co dało się wypolerować, i szorowała wszystko, co można szorować. Uzbrojona w szmaty i ściereczki, wzięła się za to, co i tak wyglądało już na nieskazitelnie czyste. To było jak milcząca mantra: źle się dzieje ze światem, ale przynajmniej krata na kominku jest wyczyszczona i polana wewnątrz czekają, by je rozpalić.

Ty siedziała przy niej przez cały czas niczym posąg. Przyglądała się. Czy koty wiedzą o śmierci, zastanowiła się Tiffany. A może tylko koty czarownic? Zwłaszcza kotka babci Weatherwax?

Tiffany na razie zmiotła tę myśl do kąta umysłu i zabrała się za kuchnię, szorując wszystko, co się do szorowania nadawało, aż — tak jest — zaczynało błyszczeć. Czyściła, co było już wyczyszczone, ale algebra żałoby wymagała trudu, by usunąć z domu całą śmierć. Nie dało się tego uniknąć — człowiek szorował, trzeba czy nie.

Skończyła w kuchni i spiżarni, zostawiając je tak lśniące, że aż oczy łzawiły, a potem nie miała już innej możliwości, niż pójść na pięterko.

Na kolanach i rękach, z wiadrem i szczotką, szmatami i mydłem, Tiffany myła i szorowała, aż kostki jej poczerwieniały i wreszcie była zadowolona.

Ale to jeszcze nie koniec — pozostała nieduża szafa babci Weatherwax, gdzie wisiało kilka znoszonych praktycznych sukni oraz płaszcz. Wszystkie czarne, oczywiście. Z boku, na półce, leżał drugi płaszcz, Podmuch Zefiru, który Tiffany sama dała kiedyś babci w prezencie — nienoszony, o ile mogła to ocenić, ale przechowywany starannie, jak coś bardzo specjalnego...

Poczuła kłucie pod powiekami...

Obok łóżka stały buty babci. Dobre, solidne buty, pomyślała Tiffany. A babcia nie znosiła marnotrawstwa. Ale... czy może je naprawdę nosić? Wystarczająco trudne będzie podążanie śladami babci...

Przełknęła ślinę. Z pewnością znajdzie butom przyjazny dom. A tymczasem... Wysunęła stopę i pchnęła je pod łóżko.

Potem, oczywiście, czekał na nią ogródek, przede wszystkim zioła. Znalazła w spiżarni parę grubych rękawic — do ziół babci nikt się nie zbliżał bez grubych rękawic, chyba że już go znały. Babcia wyszukiwała, wymieniała i dostawała zioła praktycznie zewsząd; miała obrotowy szpinak, wątpiącą śliwę, Ginny-przyjdź-z-piekła, zakręcacza, połaskocz-mój-korzonek, skok-do-miski i jack-idź-do-łóżka-i-nigdy-nie-wstawaj, stopkrotki i korzeń starucha. Obok Jacka-pod-księżycem rosła kępka oślizłych-kłamstw-miłości i bardzo aktywne wytchnienie dziewicy. Tiffany nie znała wszystkich zastosowań tych ziół — musiałaby spytać nianię Ogg. Albo Magrat Garlick, która — podobnie jak jej mąż Verence, król Lancre — w kwestii ziół przejawiała niezwykły entuzjazm[[18]](#footnote-18). Chociaż — w przeciwieństwie do męża — potrafiła odróżnić kłopotliwego Karola od wielokorzenia.

Praca czarownicy nigdy nie była łatwa. Jasne, latanie na miotle jest świetne, ale poza tym czarownica musi być rozsądna — czasem rozsądna do bólu. Musi sobie radzić z tym, co realne, nie z tym, czego ludzie by chcieli.

A realna stała się nagle Ty, która miauczała i stukała łebkiem o nogi Tiffany, domagając się jedzenia — które zresztą całkowicie zignorowała, kiedy Tiffany wróciła już do kuchni i postawiła jej miskę pod stołem.

Tiffany znów wyszła na zewnątrz, nakarmiła kury, wypuściła kozy na pastwisko, zamieniła słowo z pszczołami, a potem pomyślała: Zrobiłam, co do mnie należy. Chata jest absolutnie czysta, nawet w szopie posprzątałam. Jeśli niania zgodzi się przyjść, nakarmić zwierzęta i mieć na oku Ty, mogłabym na parę dni wrócić do domu...

\* \* \*

Na Kredę dotarła po locie, który był długi, smutny i bardzo mokry, ponieważ lał deszcz[[19]](#footnote-19). Feeglowie trzymali się za nią, z dołu, a nawet na niej, jak to mieli w zwyczaju. A Tiffany poleciała najpierw do domu młodej Milly Robinson.

Dwaj mali chłopcy Milly wydawali się dobrze odżywieni, ale dziewczynka — mała Tiffany — wcale nie. Niestety, czarownica Tiffany była przyzwyczajona do takich odkryć, zwłaszcza w sytuacji, kiedy młode matki nie są zbyt mądre albo mają własne apodyktyczne matki i uważają, że karmienie chłopców jest ich głównym życiowym celem. Dlatego właśnie zaraz po narodzinach Tiffany wyszeptała do ucha dziewczynki zaklęcie — prosta magia kontrolna, żeby wiedzieć, czy małej nie dzieje się krzywda. Zwykły środek ostrożności, jak sobie wtedy tłumaczyła.

Nie warto było robić scen z tego powodu, więc tylko wzięła młodą kobietę na stronę i powiedziała:

— Posłuchaj mnie, Milly. Owszem, kiedy twoi synowie dorosną, muszą być silni i sprawni, ale moja mama zawsze mi powtarzała: Twój syn jest synem, dopóki nie znajdzie sobie żony, ale twoja córka jest córką przez całe życie. I uważam, że miała rację. Wciąż jeszcze pomagasz swojej mamie, prawda? I ona ci pomaga. Dlatego mała powinna dostawać sprawiedliwą porcję. Proszę.

A że niekiedy marchewce — czy też, w tym przypadku, matczynemu mleku — powinien towarzyszyć kij, Tiffany dodała surowo:

— Będę ją pilnie obserwować.

Przekonała się, że delikatna groźba często może pomóc. A w szpiczastym kapeluszu Tiffany wydawała się starsza i mądrzejsza, niż wyglądała normalnie.

No i naprawdę zamierzała obserwować.

\* \* \*

Była tylko jedna osoba, z którą koniecznie chciała porozmawiać. Deszcz padał coraz gęściej, kiedy jej miotła spłynęła na ziemię koło kopca Feeglów na wzgórzu. Rob i inni zeskakiwali, kiedy tylko się zbliżyła. Tępak Wullie zaliczył wyjątkowo nieudane lądowanie głową naprzód w ciernie, i gromada młodych Feeglów radośnie rzuciła się go wyciągać.

Kilku starszych synów Roba czekało przy wejściu. Byli chudzi, nawet jak na Feeglów, mieli najwyżej jeden kosmyk na brodzie do spółki, a niepraktycznie nisko zwisające spogi obijały się im o kolana. Kilty opadały na chudych biodrach i ku swemu zdumieniu, Tiffany zauważyła nad nimi wystające kolorowe pasy spodni. Spodnie? U Feeglów? Rzeczywiście, czasy się zmieniły.

— Podciągnijcie se kilty, chopcy — mruknął Rob, kiedy z Tiffany przeciskał się do środka.

Kelda czekała w swojej komorze, otoczona Feeglowymi maluchami, tarzającymi się radośnie po podłodze pokrytej skórami owiec, które odeszły do innego świata. A jej pierwsze słowa brzmiały:

— Wim... — Westchnęła ciężko. — Załuję cięzko, ale na kazdego psychodzi cas. — Jej twarz pokryły zmarszczki, kiedy uśmiechnęła się szeroko. — Ale scęśliwa jestem, co moge cie łoglądać jako najpirwsom wiedźme, Tiffan.

— Dziękuję — odparła Tiffany.

Przez moment zastanawiała się, skąd właściwie Jeannie wiedziała. Ale każda kelda używała jakichś tajułek, by zobaczyć rzeczy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe... I był to sekret znany jedynie keldom, przekazywany jednej przez drugą.

Rozumiała też, że choć Jeannie jest bardzo mała, można bez problemów powierzyć jej każdy sekret i mieć pewność, że nikt więcej go nie pozna.

— Jeannie — zaczęła niepewnie. — Nie sądzę, żebym zdołała ją zastąpić.

— Naprawdę? — odparła ostro kelda. — A nie myślis se, co Esmeralda Weatherwax takos sie tego bała, kiedy dostała te robote? Myślis, ze łona wiedźma zekła wtedy: Nie ja, ja zem nie jest taka dobra?

Mądra mała piktalka przyjrzała się Tiffany, jakby miała przed sobą jakiś eksponat, może nieznaną roślinę. Zniżyła głos.

— Wim, ze bedzie z ciebie dobra psywódcyni.

— Choć raczej pierwsza wśród równych niż przywódczyni — sprostowała Tiffany. — A przynajmniej jestem pewna, że tak uważają pozostałe...

Umilkła, nagle przejęta wątpliwościami.

— Tako jest? — spytała kelda. Milczała przez chwilę, nim podjęła cichym głosem: — Ty ześ pocałowała ducha zimy i musiał pakować manatki, tak. Ale wim, ze ceka na ciebie trudniejse zadanie, Tiffan. Zblizo sie zmiana w niebiosach i tseba, cobyś tam była.

Głos keldy zabrzmiał jeszcze poważniej. Małe oczka wpatrywały się w Tiffany w skupieniu.

— Scez sie, Tir-fan-thóinn: to cas psejścia. Pani Weatherwax ni ma jus psy nos, a jej łodejście zostawiło... łotwór, co go inni na pewno nie psegapią. Tsa nam pilnować wrót, a tobie tsa bardzo uwazać. Bo ci, co to byś nie chcioła ich znać, mogą cie sukoć...

\* \* \*

Dobrze jest być w domu, myślała Tiffany, kiedy wreszcie tam dotarła. Znowu na farmie rodziców — nazywanej wręcz Farmą Rodzinną — gdzie mama co wieczór szykowała gorącą kolację. Gdzie można usiąść w kuchni przy wielkim drewnianym stole, porysowanym przez pokolenia Obolałych. Gdzie znowu można być małą dziewczynką…

Tylko że nie była już dziewczynką. Była czarownicą. Taką, która ma pod opieką dwa gospodarstwa. Przez cały tydzień latała tam i z powrotem, z Kredy do Lancre i z Lancre do Kredy, a kolejne dni wyraźnie cieszyły się szansą na tytuł najbardziej wilgotnego jak na tę porę roku; miała wrażenie, że zawsze przybywa spóźniona, przemoczona i zmęczona. Ludzie zachowywali się prawie zawsze uprzejmie — przynajmniej w jej obecności, a na pewno wobec szpiczastego kapelusza. Ale po tym, czego nie mówili, poznawała, że w jakiś nieokreś­lony sposób, cokolwiek zrobiła, nie całkiem wystarczało. Codziennie wstawała wcześniej i później kładła się spać, ale wciąż było tego mało.

Musiała być dobrą czarownicą. Silną czarownicą. I wśród tego całego dostarczania, uzdrawiania, pomagania i wysłuchiwania czuła niekiedy przebiegające po ciele nerwowe dreszcze. Jeannie uprzedzała, że może się zbliżać coś okropnego... Czy da sobie z tym radę? Zdawało jej się, że nie radzi sobie nawet z całkiem zwykłymi obowiązkami.

Nie potrafiła być babcią Weatherwax dla Lancre. I coraz trudniej i trudniej przychodziło jej być Tiffany Obolałą dla Kredy.

Nawet w domu. Nawet tam. Pewnego wieczoru wróciła wykończona, tęskniąc za jedzeniem, spokojem i łóżkiem. A kiedy mama zdjęła z czarnego pieca wielki garnek i postawiła go na środku stołu, rodzinna kłótnia właśnie się zaczynała.

— Przed Herbem Barona spotkałem dziś Sida Pigeona — powiedział Wentworth, młodszy brat Tiffany, chłopak na schwał, choć jeszcze trochę za młody, żeby bywać w pubach. Lecz z pewnością dość duży, żeby kręcić się w ich pobliżu.

— Sida Pigeona? — Pani Obolała zastanowiła się.

— Młodszego z dwóch braci Pigeonów — wyjaśnił ojciec.

Młodszy, pomyślała Tiffany. Na terenach wiejskich to ważne określenie. Oznacza, że jego starszy brat odziedziczy farmę. Chociaż, jeśli dobrze pamiętała, farma Pigeonów była dość biedna i nie za dobrze prowadzona, a pan Pigeon regularnie bywał pod Herbem Barona. Spróbowała sobie przypomnieć panią Pigeon, ale bez skutku. Ale tak, Sida pamiętała. Widziała go ledwie parę tygodni temu, w Dwukoszulu — drobny chłopak, który dorósł do nazwiska, kiedy ktoś dał mu czapkę z daszkiem i zawiesił na szyi gwizdek.

— Opowiadał mi o robocie na kolei — mówi Wentworth z wyraźnym entuzjazmem. — Zarabia niezłe pieniądze. Sid, znaczy. I mówi, że potrzebują ludzi. To jest przyszłość, tato. Drogi żelazne, a nie owce!

— Tylko niech ci żadne głupoty nie przychodzą do głowy — ostrzegł ojciec. — Drogi żelazne są dla tych, co nie mają ziemi do uprawiania. Nie jak my, Obolali. Nie jak ty. Wiesz, jaką przyszłość los ci przeznaczył. Tutaj, jak to zawsze dla chłopaka Obolałych.

— Ale... — Wentworth nie był tym zachwycony.

Tiffany rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Wiedziała, co czuje. Ona przecież także nie robiła tego, czego oczekiwali rodzice. W przeciwnym razie pewnie szykowałaby się teraz, by wyjść za mąż — jak zrobiły jej siostry — i urodzić kilkoro dodatkowych wnuków, żeby mama miała kogo rozpieszczać.

Mama wyraźnie myślała o tym samym.

— Ostatnio bez przerwy gdzieś latasz — powiedziała, zmieniając temat rozmowy z Wentwortha na Tiffany i starając się, by nie wyglądało to na narzekanie. — Chciałabym, żebyś częściej bywała w domu, Tiff — dodała ze smutkiem.

— Nie męcz dziewczyny — upomniał ją ojciec. — Jest teraz taką jakby główną czarownicą. Nie może być wszędzie.

Tiffany znów poczuła się jak dziewczynka.

— Staram się bywać tu, ile tylko mogę — powiedziała. — Ale tak naprawdę za mało mamy czarownic jak na tyle pracy.

Mama uśmiechnęła się nerwowo.

— Wiem, że ciężko pracujesz, skarbie. Mnóstwo ludzi zatrzymuje mnie na drodze, żeby powiedzieć, jak to moja córunia pomogła ich dziecku albo ich ojcu. Wszyscy widzą, że biegasz dookoła i w ogóle nie odpoczywasz. I wiesz, co mówią? Mówią mi, że rośniesz na kogoś takiego jak babcia. W końcu ona mówiła baronowi, co ma robić, i ty też.

— Ale wiesz, babcia Obolała nie była czarownicą — zauważyła Tiffany.

— To zależy — stwierdził ojciec.

Zirytowany Wentworth wyszedł i trzasnął za sobą kuchennymi drzwiami. Joe Obolały spoglądał za nim przez chwilę, po czym westchnął i mrugnął do Tiffany.

— Z pewnością istnieją różne rodzaje czarownic — powiedział. — Pamiętasz, jak twoja babcia chciała, żeby spalić jej pasterską chatę, kiedy już umrze? „Spal wszystko”, przykazała. — Uśmiechnął się. — I niewiele brakowało, żebym jej posłuchał. Ale było coś, co do niej należało i nie nadawało się do spalenia, więc zapakowałem to i schowałem. I teraz, skoro cię widzę, malutka, oto drobna pamiątka po babci Obolałej.

Ku swemu zdumieniu, Tiffany zauważyła, że mimo tych uśmiechów tato ma łzy w oczach, kiedy wręcza jej małą paczuszkę owiniętą w pomarszczony papier i zawiązaną kawałkiem starej wełny. Rozwinęła ją i obróciła w dłoniach mały prążkowany przedmiot.

— To pasterska korona — stwierdziła. — Widziałam już takie. Całkiem łatwo je znaleźć.

— Nie takie. — Joe Obolały się roześmiał. — Twoja babcia mówiła, że ta jest szczególna. To korona koron. A jeśli podniesie ją pasterz pasterzy, zmieni się w złoto. Przyjrzyj się: pod szarością widać złote błyski.

Tiffany przyglądała się podarkowi, jedząc potrawkę przyrządzoną tak, jak tylko mama potrafiła, i myślała o tamtych dniach, kiedy babcia Obolała schodziła na farmę na posiłek.

Niektórym się wydawało, że staruszka żyje tylko tytoniem Wesoły Żeglarz; nikt też nie miał wątpliwości, że jeśli chodzi o owce, babcia wie wszystko.

Ale wtedy umysł zaczął się rozpędzać i Tiffany myślała o wszystkim, co robiła babcia Obolała, i o wszystkim, co mówiła. A po chwili wspomnienia nadbiegły całą kawalkadą, czy ich szukała, czy nie. I osiadały na niej jak płatki śniegu.

Wspominała te okazje, kiedy chodziła z babcią na hale. Na ogół w milczeniu, czasem z biegnącymi obok Gromem i Piorunem — babcinymi owczarkami. Wiele się od staruszki nauczyła.

Tyle mi pokazała, myślała teraz. Ukształtowała mnie, kiedy chodziłyśmy tak za owcami, i powiedziała wszystkie te rzeczy, które powinnam wiedzieć. Pierwszą z nich było, żeby opiekować się ludźmi. Oczywiście ta druga, to żeby opiekować się owcami.

A wszystko, czego chciała dla siebie, to ta pasterska chata i jakiś okropny tytoń.

Tiffany upuściła łyżkę. Mogła spokojnie zaszlochać w tej znajomej kuchni, całkiem jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką.

Tato natychmiast znalazł się przy niej.

— Dużo możesz zrobić, dżygicie, ale nikt nie da rady zrobić wszystkiego.

— Właśnie — zgodziła się mama. — Codziennie szykujemy ci łóżko. Wiemy, że robisz dużo dobrego, i jestem dumna, kiedy widzę, jak fruwasz nad nami. Ale nie zdołasz zrobić wszystkiego dla wszystkich. Nie wychodź już dziś w nocy. Proszę.

— Lubimy oglądać naszą córeczkę, ale przyjemnie byłoby czasem zobaczyć ją normalnie, a nie jako pędzącą smugę — dodał tato i objął ją ramieniem.

Kolację skończyli w ciszy, ciepłej ciszy. A kiedy Tiffany miała już iść na górę do swojej sypialni z dzieciństwa, pani Obolała wstała i wyjęła kopertę z miejsca, gdzie odłożyła ją bezpiecznie w kredensie, pomiędzy niebieskimi i białymi dzbankami, które — co niezwykłe w kuchni na farmie — stały tam tylko na pokaz.

— Przyszedł list do ciebie. Od Prestona, przypuszczam.

Jej głos brzmiał teraz całkiem po matczynemu. Wystarczyło jej powiedzieć „Preston”, a już było w tym pytanie.

Tiffany powlokła się schodami na górę, czując, jak opływa ją miłość i czułość rodziców. Weszła do swojego pokoju, rozkoszując się znajomym skrzypieniem podłogi, i umieściła pasterską koronę obok swych nielicznych książek — nowy skarb. Ze znużeniem wciąg­nęła nocną koszulę. Dziś w nocy, postanowiła, spróbuje zapomnieć o swych lękach, pozwoli sobie przez pewien czas być po prostu Tiffany Obolałą. A nie Tiffany Obolałą, czarownicą Kredy.

Potem, póki wciąż jeszcze było dość widno, przeczytała list od Prestona i znużenie ulotniło się na chwilę, zastąpione falą czystej radości. List Prestona był cudowny! Zapisany nowym językiem, pełen nowych słów... Dziś pisał, że wziął do ręki skalpel — „takie ostre, mocne słowo” — i jak nauczył się nowego sposobu zakładania szwów.

— Szwy... — powiedziała cicho Tiffany.

Miękkie słowo, o wiele bardziej gładkie niż skalpel, niemal kojące. A w pewnym sensie potrzebowała ukojenia. Ukojenia po stracie babci Weatherwax, od świadomości, że ma zbyt wiele do zrobienia, a także od starań dorównania oczekiwaniom innych czarownic.

Starannie przeczytała każde słowo, dwa razy, a potem złożyła kartkę i odłożyła ją do drewnianej szkatułki, w której trzymała wszystkie jego listy, a także piękny złoty wisiorek w kształcie zająca, który kiedyś od niego dostała. Nie warto było z powrotem listu zaklejać — niczego nie mogła zachować w tajemnicy przed Feeglami, a wolała nie mieć w szkatułce ślimaczego śluzu, którego używali do klejenia wszystkiego, co wcześniej otworzyli.

A potem zasnęła w sypialni swego dzieciństwa. A obok niej leżała kotka Ty.

I Tiffany znowu stała się dzieckiem. Dzieckiem mającym rodziców, którzy bardzo ją kochają.

Ale też młodą dziewczyną. Dziewczyną mającą chłopca, który posyła jej listy.

I czarownicą. Czarownicą mającą kota, który jest bardzo... wyjątkowy.

Tymczasem rodzice leżeli w łóżku i rozmawiali o córce...

— Dumny jestem z naszej małej, nie ma co — zaczął Joe Obolały.

— I rzeczywiście jest dobrą akuszerką — przyznała jego żona. I dodała ze smutkiem: — Zastanawiam się tylko, czy będzie kiedyś miała własne dzieci. Nie rozmawia ze mną o Prestonie, a ja wolę nie pytać. Całkiem inaczej niż jej siostry. — Westchnęła. — Ale tak wiele się zmienia... Nawet Wentworth dziś wieczorem...

— O niego się nie martw — uspokoił ją mężczyzna. — To normalne, że chłopak chce stanąć na własnych nogach. Najpewniej pozłości się trochę, pokrzyczy i pokłóci, ale będzie tu, kiedy odejdziemy, i zadba o ziemię Obolałych. Nic nie przeważy ziemi. — Pociągnął nosem. — A już na pewno nie jakieś żelazne koleje.

— Ale Tiffany jest inna — mówiła dalej kobieta. — Co ze sobą zrobi, tego naprawdę nie wiem, choć mam nadzieję, że w odpowiednim czasie ona i Preston mogliby osiąść gdzieś tutaj. Skoro on jest doktorem, a ona czarownicą, nie ma przeszkód, żeby byli razem, prawda? I wtedy Tiffany też mogłaby mieć dzieci, jak Hanna i Fastidia...

Oboje pomyśleli o innych córkach i o wnukach.

Joe westchnął.

— Ona nie jest jak tamte nasze córki, kochanie — rzekł. — Mam przeczucie, że może nawet przewyższyć swoją babcię.

A potem zdmuchnął świece i zasnęli, myśląc o swojej Tiffany, skowronku pośród wróbli.



Rozdział szósty

WIZYTY DOMOWE

Maszerując wytrwale drogą do Lancre — z truchtającym obok, zaprzężonym do wózka Mefistofelesem i śmigającymi w górze jaskółkami — Geoffrey uświadomił sobie, że jego dom jest już bardzo daleko. Minął dopiero mniej więcej tydzień, ale kiedy wspinali się coraz wyżej w Ramtopy, zaczynał rozumieć, co „geografia” oznacza w rzeczywistości, nie w książkach, które dawał mu do czytania pan Kretall. Lancre i wioski dookoła miały mnóstwo geografii.

Pod koniec długiego, ale satysfakcjonującego marszu chłopiec i kozioł dotarli do oberży na skraju jakiejś wioski. Szyld głosił, że nazywa się „Pod Gwiazdą”, oraz obiecywał znakomite piwo i jedzenie.

Zobaczymy, jak znakomite, pomyślał Geoffrey. Wyprzągł wózek i wszedł do środka, z biegnącym tuż za nim kozłem.

Oberża pełna była ludzi pracy, którzy jednak w tej chwili nie pracowali, ale zajrzeli tu na kufelek czy drugi przed kolacją. Wnętrze wydawało się nieco duszne, z typowym wiejskim odcieniem rolniczej pachy. Stali klienci byli przyzwyczajeni do ludzi wprowadzających swoje psy, ale zdumieli się, widząc przybysza z kozłem.

— Wpuszczamy tu tylko psy, mój panie — oznajmił dość chudy barman.

Wszystkie oczy wpatrywały się już w Mefistofelesa.

— Mój kozioł jest czyściejszy i mądrzejszy od dowolnego psa — odparł Geoffrey. — Umie liczyć do dwudziestu, a kiedy nadchodzi jego czas, wychodzi na zewnątrz i załatwia co trzeba. Więcej, mój panie: gdybym mu teraz pokazał wygódkę, skorzysta z niej, jeśli będzie miał potrzebę.

Jeden z klientów wyraźnie się zirytował.

— Myślisz, chłopcze, że obrabiamy ziemię, więc na niczym się nie znamy? Mam tu przed sobą kufel i on mi mówi, że twój kozioł niczego takiego nie potrafi.

— Ma pan więc bardzo mądry kufel, drogi panie — stwierdził niewinnie Geoffrey i wszyscy goście wybuchnęli śmiechem. Patrzyli wyczekująco na chłopca, który powiedział: — Mefistofelesie, ilu ludzi jest w tej oberży?

Kozioł popatrzył na gości wzdłuż nosa — a miał nos, jakiego by się nie powstydziła żadna matrona — i zaczął liczyć, delikatnie stukając kopytkiem o podłogę. I ten odgłos nagle stał się jedynym słyszalnym w całej sali.

Uderzył o podłogę osiem razy.

— Widziałem już coś takiego — oświadczył jeden z gości. — Był taki wędrowny cyrk. No wiecie, klauni, linoskoczkowie, jacyś ludzie bez rąk i podróżni doktorzy[[20]](#footnote-20). Mówili na to „karnawał”. I mieli tam konia, co umiał liczyć. Ale to była tylko sztuczka.

Geoffrey uśmiechnął się lekko.

— Jeśli kilku z was, panowie, zechce wyjść stąd na chwilę, poproszę mojego kozła, by policzył znowu, i przekonacie się, że nie ma tu żadnych sztuczek.

To ich zaintrygowało. Paru mężczyzn rzeczywiście wyszło, a pozostali zaczęli robić zakłady.

— Panowie, mój kozioł powie wam teraz, ile osób zostało w sali — obwieścił Geoffrey.

I znowu Mefistofeles delikatnie wystukał właściwą liczbę.

Słysząc oklaski, ci, którzy wyszli, znowu wrócili zaciekawieni — a kopytko Mefistofelesa zarejestrowało wejście każdego z nich. Barman roześmiał się głośno.

— Tą sztuczką zasłużyliście na posiłek, i ty, i twój niezwykły kozioł. Co on lubi?

— Zapewniam, że to żadna sztuczka, ale dziękuję. Mefistofeles je właściwie wszystko, to przecież kozioł. Na pewno ucieszą go jakieś resztki. Co do mnie, będę wdzięczny za trochę chleba.

Przyniesiono miskę resztek jedzenia dla kozła, a Geoffrey usiadł przy nim z kuflem piwa i pajdą chleba z masłem. Rozmawiał z kilkoma mężczyznami, wyraźnie zainteresowanymi zwierzęciem. Ich ciekawość wzrosła jeszcze, kiedy Mefistofeles oddalił się w stronę wygódki i po chwili wrócił.

— Naprawdę go tego nauczyłeś? — zapytał ktoś zdumiony.

— Tak — potwierdził Geoffrey. — Zacząłem go szkolić, kiedy był jeszcze całkiem mały. Jest bardzo posłuszny. No, przynajmniej kiedy jestem w pobliżu.

— To znaczy?

— To znaczy, że robi, co mu każę, ale ma też własny rozum. Za nic bym go nie oddał.

Właśnie wtedy na końcu sali rozległy się podniesione głosy. Jeden z pijących, zdjęty brawurą, jaką daje piwo, zaczął bójkę z kimś, kto właśnie wszedł. Rozsądniejsi klienci odsunęli się szybko, gdy ta dwójka okładała się pięściami, jakby próbowali zatłuc się wzajemnie na śmierć. Barman krzyczał coś o niszczeniu mebli i groził, że zaraz im przyłoży maczugą po dziadku, pamiątką z kampanii klatchiańskiej.

Mefistofeles stanął czujnie u boku Geoffreya i wszyscy trzeźwi klienci pojęli w głębi duszy, że nie jest to odpowiednia chwila, by być dla chłopca niemiłym. Nie mieli pojęcia, skąd to wiedzą, ale wyczuwali jakąś wewnętrzną moc, czekającą tylko na uwolnienie.

— Czemu się biją? — zapytał sąsiada Geoffrey. — Co się stało?

— Stara kłótnia o pewną pannę. — Mężczyzna przewrócił oczami. — Paskudna sprawa. Ktoś tu solidnie oberwie, zapamiętaj moje słowa.

Ku powszechnemu zdumieniu, Geoffrey przeszedł przez salę — a kozioł bacznie śledził każdy jego krok — uchylił się przed szerokimi ciosami i stanął między dwoma walczącymi.

— Zrozumcie, nie ma powodu, żeby się bić — oznajmił.

Barman skrzywił się — wiedział, jaki los spotyka ludzi, którzy próbują wejść między dwóch idiotów, kiedy wyczuli krew. A potem ledwie potrafił uwierzyć własnym oczom: obaj mężczyźni nagle zaprzestali walki i stali tylko z nieco głupimi minami.

— Może byście obaj spotkali się z tą młodą damą i przekonali się, co ona o tym myśli, zanim zaczniecie się tłuc? — zaproponował spokojnie Geoffrey.

Mężczyźni spojrzeli na siebie nawzajem.

— Wiesz, on ma rację — stwierdził większy z nich.

Goście w karczmie ze śmiechem patrzyli, jak obaj przyglądają się szczątkom mebli, jakby zdziwieni, że zniszczenia mają z nimi cokolwiek wspólnego.

— Proszę... To nie było trudne — stwierdził Geoffrey, wracając do baru.

— No... — Barman był zdumiony, że nie musi podnosić z podłogi pobitego chłopaka. — Nie jesteś może magiem?

— Nie — odparł Geoffrey. — To talent. Zwykle mnie nie zawodzi, kiedy jest potrzebny. — Uśmiechnął się. — Głównie ze zwierzętami, ale czasem z ludźmi.

Szkoda, że nie z ojcem, pomyślał. Z ojcem nigdy.

— Moim zdaniem musisz być jakimś magiem — uznał barman. — Przerwałeś bójkę między dwójką najpaskudniejszych awanturników. — Zerknął na winowajców. — A co do was, to nie wracajcie, dopóki nie wytrzeźwiejecie. Patrzcie, ile zniszczyliście.

Po czym chwycił obu i wypchnął za drzwi.

Potem znów zwrócił się do Geoffreya i przyjrzał mu się chytrze.

— Szukasz może roboty, chłopcze? — zapytał. — Bez zapłaty, ale dostaniesz tu utrzymanie.

— Nie mogę przyjąć posady, ale chętnie zostanę kilka dni — odparł skwapliwie Geoffrey. — Jeśli znajdzie pan dla mnie jakieś warzywa, bo nie jem mięsa. I czy będzie też miejsce dla Mefistofelesa? Nie cuchnie za bardzo.

— Pewnie nie bardziej niż niektórzy z bywalców — zaśmiał się barman. — Coś ci powiem. Ty i twój kozioł możecie mieszkać w stajni, a ja dam ci kolację i śniadanie. Co potem, zobaczymy. — Wyciągnął niezbyt czystą rękę. — Stoi?

— Tak, dziękuję panu. Nazywam się Geoffrey.

Mężczyzna zawahał się.

— A ja jestem Darling. Darling Gołębica. — Spojrzał smętnie. — Możesz się teraz pośmiać. Wszyscy się z tego śmieją. Miejmy to za sobą.

— Czemu? — zdziwił się Geoffrey. — Darling to miłe słowo, podobnie jak Gołębica. Nie rozumiem, czemu się pan przejmuje.

Tej nocy Darling Gołębica powiedział żonie:

— Przyjąłem nowego chłopaka do baru. Dziwny z niego typ. Ale wydaje się, no wiesz, nieszkodliwy. I dobrze się z nim gada.

— Ale czy nas na to stać, Darling? — spytała.

— Och, chce tylko wyżywienia, a nawet nie je mięsa. No i miejsca do spania. I ma kozła. Całkiem sprytnego, naprawdę. Robi różne sztuki i w ogóle. Może ściągnie więcej klientów.

— Jeśli uważasz, że to dobry pomysł... A jak jest ubrany? — zainteresowała się pani Gołębicowa.

— Całkiem dobrze — przyznał jej mąż. — I wyraża się elegancko. Myślę sobie, że może przed czymś ucieka. Pewnie lepiej za dużo nie pytać. Ale coś ci powiem: z nim i tym jego kozłem nie będziemy mieli żadnych kłopotów przy barze.

I rzeczywiście. Geoffrey został Pod Gwiazdą jeszcze dwa dni, po prostu dlatego, że pan Gołębica lubił, kiedy kręcił się po sali. A pani Gołębicowa stwierdziła, że było jej smutno, kiedy powiedział jej mężowi, że musi ruszać dalej.

— Dziwny chłopak z tego Geoffreya. Tak jakby budził uczucie, że wszystko jest jak należy, chociaż nie wiem, co właściwie jest jak należy. Takie jakby unoszące się w powietrzu wrażenie należności. Naprawdę żałuję, że odchodzi.

— To prawda, kochanie — zgodził się oberżysta. — Prosiłem, żeby został, naprawdę prosiłem. Ale powiedział, że musi ruszać do Lancre.

— To tam, gdzie mają czarownice — stwierdziła jego żona i skrzywiła się.

— Ale tam chce dotrzeć — odparł pan Gołębica. Zastanowił się i dodał: — Mówił, że pcha go tam wiatr.

\* \* \*

Walcząc z przeciwnymi podmuchami w długim locie do farmy rodziców, Tiffany pomyślała, że w ogóle za dużo jest wiatru w Lancre i dookoła. Dobrze, że przynajmniej nie pada, pocieszyła się. Wczorajszy deszcz był okropny — rodzaj takiej radosnej ulewy, gdzie każda chmura postanawia dołączyć do zabawy, kiedy tylko pierwsza chlus­nęła wodą.

Na początku była bardzo dumna, że ma pod opieką dwa gospodarstwa; co kilka dni latała między Lancre i Kredą, ale miotły nie są zbyt szybkie. Ani ciepłe[[21]](#footnote-21). Całe szczęście, że wracała do domu, gdzie to mama zajmowała się kuchnią. Ale nawet tam nie miała czasu na wypoczynek. Przez pół tygodnia przebywała w Lancre i po powrocie do Kredy zawsze czekało na nią mnóstwo spraw. Ludzie nie narzekali za bardzo — w końcu była czarownicą, a Lancre miało więcej mieszkańców niż Kreda. Pojawiały się jednak drobne tarcia. Jakieś szemrania. A Tiffany miała okropne wrażenie, że te szemrania pochodzą od innych czarownic — czarownic, które widziały długie kolejki przed swymi drzwiami. Widziały czekających ludzi, którzy poszli szukać babci Weatherwax i zastali pustą chatę.

Źródłem części problemów w obu gospodarstwach byli starzy mężczyźni, którzy zostali sami po śmierci swych żon. Wielu z nich nie umiało nawet gotować. Od czasu do czasu pomagały jakieś starsze damy — i widywało się je, jak niosą sąsiadowi garnek zupy. Jednak czarownicza część umysłu Tiffany nie mogła nie zauważyć, że dzieje się to o wiele częściej, jeśli starsza dama sama jest wdową, a staruszek ma ładny dom i odłożone trochę pieniędzy...

Zawsze było coś do zrobienia — a zdarzały się dni, kiedy wydawało się, że to głównie paznokcie u nóg. Był taki staruszek w Lancre — bardzo sympatyczny — który miał te paznokcie ostre jak śmiercionośna broń. Tiffany musiała poprosić Jasona Ogga, kowala, by zrobił dla niej odpowiedni sekator, który potrafiłby je przeciąć. Zawsze zamykała oczy, dopóki nie usłyszała stuku uderzających o sufit paznokci. Ale staruszek zawsze nazywał ją swoją piękną panną i próbował dawać pieniądze. No i przynajmniej wiedziała, że Feeglowie wykorzystują ścinki.

Czarownice lubią rzeczy użyteczne, myślała Tiffany, by jakoś odwrócić uwagę od przenikliwie zimnego wiatru. Czarownica nigdy nie musi o nic prosić — bo przecież nikt nie chce mieć u niej długu — i nigdy nie bierze pieniędzy. Przyjmuje natomiast rzeczy, które mogą się przydać: jedzenie, używaną odzież, kawałki materiału na bandaże i niepotrzebne buty.

Buty... Tego dnia znowu potknęła się o buty babci Weatherwax. Odstawiła je do kąta pokoju; stały tam i niemal gapiły się na nią, kiedy była zbyt zmęczona, by myśleć. Nie jesteś jeszcze dość dobra, by nas nosić, zdawały się mówić; musisz robić o wiele więcej.

Oczywiście, pracy zawsze było o wiele więcej. Tak wiele osób zdawało się nigdy nie zastanawiać nad konsekwencjami swoich codziennych czynności... A potem czarownica musiała zrywać się z łóżka i ruszać na miotle wśród nocy, z powodu „Ja tylko” i jego małych przyjaciół, „Nie wiedziałem” i „To nie moja wina”.

— Ja tylko chciałem sprawdzić, czy kocioł jest gorący...

— Nie wiedziałem, że garnek z wrzątkiem jest niebezpieczny.

— To nie moja wina! Nikt mnie nie uprzedził, że pies, który głoś­no szczeka, może też gryźć.

No i jej ulubione „Nie wiedziałem, że wybuchnie”, chociaż na opakowaniu napisane jest wielkimi literami „uwaga, wybucha”. Tak było w przypadku małego Teda Coopera, który wsadził wybuchową świecę[[22]](#footnote-22) do zwłok kurczaka po przyjęciu urodzinowym mamy i o mało nie pozabijał wszystkich przy stole. Owszem, obandażowała i opatrzyła rannych, łącznie z samym dowcipnisiem, ale miała ogromną nadzieję, że ojciec spuści mu potem lanie.

A kiedy czarownicy nie było na miejscu, wtedy cóż, co złego w samodzielnym wypróbowaniu paru sposobów? Wielu ludzi wie, że do leczenia używa się rozmaitych roślin. Czasem jednak zapominają, że niektóre rośliny wyglądają całkiem podobnie do innych, więc pani Holland, żona młynarza z Kredy, potraktowała nieprzyjemną wysypkę męża oślizłymi-kłamstwami-miłości zamiast świątecznym-korzeniem, a teraz jego skóra nabrała barwy fioletowej.

Tiffany pomogła mężczyźnie, ale potem musiała już wracać do Lancre, więc wystartowała i odleciała na miotle, mając tylko nadzieję, że oboje zapamiętali tę lekcję.

Była zadowolona, że niania Ogg mieszka niedaleko od babci... nie, od chatki babci. Tiffany dobrze sobie radziła z wieloma czynnościami, ale gotowanie do nich nie należało; w Kredzie jadła posiłki u rodziców, natomiast w Lancre polegała na niani. Ściśle mówiąc, znaczy to, że polegała na armii synowych niani, które jak mogły, starały się pomagać w pewnych pracach[[23]](#footnote-23).

Ale gdziekolwiek jadły posiłek — czy to w małej chatce Tiffany, czy w Tir Niani Ogg, zatłoczonym, ale bardzo wygodnym domu, gdzie niania sprawowała rządy — zdawało się, że Ty zawsze im towarzyszy. Żaden kot nie mógłby się poruszać tak szybko, jak ona, tyle że nigdy nie widziały, jak się porusza — po prostu się pojawiała. To było zadziwiające. Podobnie jak reakcja Greeba — starego kocura niani, który drobne drapanie po oczach uważał za przyjazne powitanie; kiedy przybywała Ty, oddalał się pospiesznie.

Biała kotka najwyraźniej podjęła decyzję i teraz stała się nieodłączną towarzyszką Tiffany w Lancre. Kiedy Tiffany szykowała się do popołudniowych wizyt domowych, Ty wskakiwała na miotłę, zanim jeszcze dziewczyna na nią spojrzała.

— Poznała cię doskonale, moja droga — śmiała się niania. — Pewnie sama mogłaby teraz chodzić po domach.

Prawdę mówiąc, niania podziwiała Tiffany. Ale też martwiła się o nią.

— Zastanów się — powiedziała kiedyś, kiedy jadły coś na szybko. — Wiesz, że jesteś dobra. Ja wiem, że jesteś dobra. Babcia, gdziekolwiek teraz przebywa, też wiedziała. Ale nie musisz ciągle próbować robić wszystkiego sama. Pozwól, żeby jakieś młode dziewczyny, uczennice, przejęły niektóre obowiązki. — Milczała chwilę, przeżuwając porcję potrawki. Po czym dodała: — Pamiętasz tego drwala w górach, co go Esme pozszywała dzień przed śmiercią? No więc młoda Henrietta Bilk chodzi tam do niego i bardzo dobrze sobie radzi. Wiem, Tiff, że chcesz wszystko robić po swojemu, ale nie jesteś jedyną czarownicą w Lancre. Czasami musisz wyciągnąć wygodnie nogi i patrzeć, jak parada przechodzi przed tobą.

Tiffany ledwie miała czas, by jej wysłuchać, nim znowu siedziała na miotle i leciała w stronę Kredy — zapracowana czarownica na dwóch gospodarstwach nie ma chwili wytchnienia. Ale kiedy w górze wiatr świszczał ogłuszająco, myślała nad słowami niani. To prawda, w Lancre mieszkały inne czarownice, ale w Kredzie — o ile Letitia nie postanowi, by stać się nie tylko baronową — Tiffany była jedyna. A jeśli przeczucia jej nie myliły, jeśli słowa Jeannie są prawdą, to jedna czarownica na całą Kredę absolutnie nie wystarczy.

Zadrżała. Bardzo by chciała ukryć się przed lodowatym wiatrem w cieple matczynej kuchni, ale najpierw musiała się spotkać z kimś jeszcze.

Sporo czasu zajęły jej poszukiwania panny Tyk, ale w końcu wylądowała w niewielkim zagajniku niedaleko Szynki Zbożowej, gdzie wędrowna czarownica i poszukiwaczka zatrzymała swój domek na kołach, by napić się herbaty. Uwiązany w pobliżu nieduży muł pożywiał się z worka z obrokiem; spojrzał na zbliżającą się Tiffany i zarżał.

— Ma na imię Joseph — przedstawiła go panna Tyk. — Prawdziwy muł czarownicy.

Znowu zaczęło padać i obie szybko weszły po drewnianych schodkach do wnętrza wozu. Tiffany z radością odkryła, że na piecu bulgocze imbryk. Przysiadła na ławie obok drzwiczek i z wdzięcznością przyjęła kubek herbaty.

Wnętrze wozu wyglądało tak, jak Tiffany się spodziewała. Panna Tyk utrzymywała wojskowy porządek, choć z wojskiem nie chciała mieć nic wspólnego. Na ścianach wisiały liczne wąskie półki, zastawione rozmaitymi przedmiotami, starannie opisanymi nauczycielskim charakterem panny Tyk. Tiffany przyjrzała się bliżej... i tak, były w porządku alfabetycznym. Gdzie indziej stały małe słoiczki bez etykiet, żeby nikt nie widział, co zawierają, a na ścianie koło posłania wisiała plansza przedstawiająca najrozmaitsze węzły — eskapologia to dla czarownicy bardzo użyteczne hobby.

— Będę wdzięczna, jeśli zechcesz nie dotykać moich słoiczków — poprosiła panna Tyk. — Niektóre mieszanki mogą nie działać właściwie i rezultaty często bywają nieprzewidywalne. Ale rozumiesz, trzeba eksperymentować.

Więc to jest w tych wszystkich naczyniach, pomyślała Tiffany: eksperymenty.

— Miło cię widzieć — mówiła dalej panna Tyk. — Ciągle o tobie słyszę. Bo wiesz, prawie każda dziewczyna, jaką spotykam, chciałaby być tobą. Widzą cię, jak śmigasz na miotle po okolicy, i wszystkie chcą być takie jak panna Obolała. Czarownictwo stało się nagle atrakcyjnym wyborem kariery.

— O tak — zgodziła się Tiffany. — Tak to się zaczyna. A potem tłumaczy im pani, co będą robiły przez całe życie, więc całkiem sporo postanawia przenieść się do miasta i zostać fryzjerką czy czymś takim.

— Nie narzekam. Mówię im, żeby się dobrze zastanowiły. Czarownictwo to nie tylko magia, machanie różdżkami i inne głupoty. To pot i brud.

Tiffany westchnęła.

— Czarownictwo to męska robota. Dlatego trzeba do niej kobiet.

Panna Tyk zaśmiała się.

— Wiesz — powiedziała — przypominam sobie taką dziewczynkę, która była bardzo niepewna, a ja obiecałam, że udzielę jej lekcji, jakiej szybko nie zapomni.

Tiffany także się uśmiechnęła.

— Pamiętam. Ale ostatnio wszystko muszę robić szybko. Wie pani, panno Tyk... — Urwała na moment i podjęła trochę ciszej: — Mam wrażenie, że niektóre starsze czarownice zaczynają podejrzewać, że sobie nie poradzę... — Przełknęła ślinę. — Głównie w Lancre. Ale to znaczy, że często muszę tam bywać.

Przygryzła wargę... Nie cierpiała proszenia o pomoc. Może w ten sposób uznawała, że obowiązki ją przerastają? Albo sprawiała zawód babci Weatherwax, bo przecież to babcia ją wskazała? A Tiffany nie pamiętała, żeby babcia kiedykolwiek prosiła o pomoc.

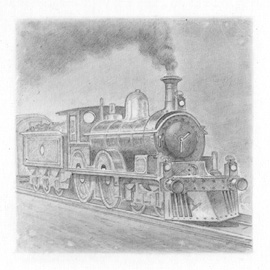
— Tutaj, w Kredzie — powiedziała — będę chyba musiała... ee... wyszkolić uczennicę. Znaleźć kogoś do pomocy.

Nieba nie otworzyły się w gniewie. Sugestia nie wywołała u drugiej czarownicy jęku zgrozy. Panna Tyk po prostu skrzyżowała ręce na piersi i zrobiła surową minę.

— To pewnie Letycja Skorek rozbudza u ludzi takie wątpliwości. Uważa, że wszystko powinno się załatwiać tak, jak wcześniej, a to znaczy, że ona by przejęła gospodarstwo. Jest starszą czarownicą i wierzy, że wie absolutnie wszystko. Tyle że to same błyszczące bzdurki. Głupia kobieta, która napisała Moich baśniowych przyjaciół, powinna się wstydzić, a nie nazywać siebie czarownicą. Na pewno nie może liczyć, że zajmie miejsce babci Weatherwax. Letycja Skorek nie poradzi sobie z dwoma gospodarstwami naraz. Prawdę mówiąc, nawet z jednym sobie nie radzi...

Panna Tyk prychnęła pogardliwie.

— Nie zapominaj, Tiffany, że jestem nauczycielką[[24]](#footnote-24)... A my, nauczyciele, potrafimy być naprawdę niemili, kiedy wymaga tego konieczność. Dziesięć kroków czarownictwa i Urok miotły nie są tym, co nazwałabym prawdziwymi książkami. Och, naturalnie, rozejrzę się za jedną czy drugą dziewczyną dla ciebie, to bardzo dobry pomysł. Ale naprawdę nie musisz się martwić, co o tobie mówi pani Skorek. Na pewno nie...



Rozdział siódmy

SIŁA NATURY

Letycja Skorek nie należała do osób, które spokojnie znoszą to, że ktoś staje im na drodze. Ani nawet niespokojnie. Prawdę mówiąc, przypominała raczej siłę natury i nienawidziła cofać się przed czymkolwiek.

Nie potrzebowała wiele czasu, by się dowiedzieć, że któregoś dnia przed domem niani Ogg stała kolejka. Tiffany Obolała, uznała pani Skorek, po prostu sobie Nie Radzi. I żeby Coś z Tym Zrobić, trzeba czarownicy poważnej i godnej. W opinii Letycji Skorek — a ta nigdy nie była drobnostką — tak naprawdę to ona była jedyną czarownicą odpowiednio poważną i godną, by działać — tym bardziej że ten stary tobół, niania Ogg, najwyraźniej nie zamierzał.

Wiele lat temu pani Skorek wyszła za starszego emerytowanego maga.

— Magom nie wolno się żenić — wyjaśniła Tiffany pogardliwym tonem niania Ogg. — Ale ten głuptas dostał to, co mu się należało. On już nie jest pod pantoflem, jest pod skorkiem. Ludzie mówią, że przepuściła wszystkie jego pieniądze.

Tiffany rozsądnie nie podjęła tego tematu. Było całkiem możliwe, że ci „ludzie” to w rzeczywistości niania Ogg, która nienawidziła pani Skorek z niesłabnącą determinacją.

Dlatego ucieszyła się z nieobecności niani, kiedy pewnego ranka, jakiś tydzień później, pani Skorek zjawiła się w chatce babci na coś, co nazywała „małą pogawędką”. Chociaż zapewne byłoby lepiej, gdyby pani Skorek nie znalazła Tiffany w ogrodzie, z rękami po łokcie w pianie — robiła małe pranie dla starego pana Price’a.

Tiffany zamarło serce, kiedy zobaczyła[[25]](#footnote-25) nadchodzącą kobietę, jednak wytarła ręce ścierką i grzecznie, jak tylko potrafiła, zaprosiła gościa do środka. Pani Skorek miała skłonność, by traktować Tiffany jak dziecko, a ponadto prezentowała złe maniery — na przykład siadała bez zaproszenia. Teraz też usiadła na starym babcinym fotelu na biegunach. Rażąco nieszczerze uśmiechnęła się do Tiffany.

A potem jeszcze pogorszyła sytuację, rozpoczynając:

— Moja droga panno...

— Pani — powiedziała cicho Tiffany, gdy pani Skorek mierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Była też boleśnie świadoma wciąż widocznej na fartuchu piany i rozczochranych włosów.

— Ach, mniejsza z tym — rzuciła pani Skorek, jakby chodziło o drobiazg bez znaczenia, nie o to, kto jest panią na gospodarstwie. — Widzisz, pomyślałam, że powinnam cię odwiedzić jako przyjaciółka i jedna z najpoważniejszych czarownic w okolicy. Zobaczyć, jak się rzeczy mają, i zaoferować ci konstruktywne rady.

Z miną pełną wyższości rozejrzała się po kuchni; szczególnie ostrym spojrzeniem obrzuciła kurz urządzający jakieś wesołe zabawy sam ze sobą nad kamienną podłogą. Tiffany nagle przypomniała sobie wszystkie pająki, które nadal zamieszkiwały w komórce, a ich kolonia powiększyła się o liczne młode — nie miała serca ich wyrzucać.

— Nie sądzisz, że przepracowujesz się, próbując dopilnować dwóch gospodarstw... Moja droga? — dodała pani Skorek z sacharynowym uśmiechem.

— Owszem, droga pani Skorek — odparowała Tiffany dość ostrym tonem. — Rzeczywiście dużo pracuję, ponieważ w obu gospodarstwach jest dużo do zrobienia i niewiele czasu. — Który mi pani zajmuje, dodała w myślach. Ale to gra dla dwóch osób. — Jeśli ma pani jakieś rady... — dodała z uśmiechem dorównującym słodyczą uśmiechowi pani Skorek — ...chętnie ich wysłucham.

Pani Skorek nigdy nie lekceważyła takiego zaproszenia. Zresztą pewnie go nie potrzebowała, bo natychmiast zaczęła wygłaszać przygotowaną mowę.

— Nie sugeruję, że jesteś złą osobą, moja droga. Po prostu nie dajesz sobie rady i ludzie zaczynają o tym mówić.

— Może i tak — zgodziła się Tiffany. — A często mi dziękują. Ale jestem tylko jedną kobietą... to znaczy kobietą, nie dziewczyną... więc nie mogę załatwić wszystkiego od razu. Naprawdę szkoda, że nie ma w pobliżu więcej doświadczonych czarownic...

Ucichła. Wspomnienie babci Weatherwax w jej wiklinowej trumnie wciąż jeszcze było zbyt świeże.

— Rozumiem — rzekła pani Skorek. — To nie twoja wina. — Jej głos był gładki jak jedwab, ale ton odrobinę przekraczał zwykły protekcjonalizm i przechodził w otwartą niegrzeczność. — Istotnie, powierzono ci obowiązki, jakim nie możesz podołać, droga Tiffany, zresztą jesteś wyraźnie za młoda. Aby stawiać właściwe kroki na ścieżce Magyi, niewątpliwie potrzebujesz rady starszej czarownicy. — Pociągnęła nosem. — Poważnej starszej czarownicy z właściwym... podejściem. Bez żadnych... obowiązków rodzinnych.

Stało się jasne, że niani Ogg nie uważa za kandydatkę na tę funkcję.

Tiffany się najeżyła. Jeśli istniało coś, czego nienawidziła bardziej od „moja droga panno”, było to „droga Tiffany”. W dodatku dobrze pamiętała, jakich rad pani Skorek udzielała swojej protegowanej, Annagrammie Hawkin, która przejęła chatkę czarownicy, wiedząc wszystko o runach i efektownych zaklęciach, ale zupełnie nic o rzeczach użytecznych. To Annagramma potrzebowała pomocy Tiffany. A co do sugestii, że niania Ogg nie będzie dobrą nauczycielką...

— No cóż, moja droga — podjęła pani Skorek. — Jako jedna z najbardziej doświadczonych czarownic w tej okolicy uważam, że powinnam zająć miejsce babci Weatherwax. Tak to zawsze było załatwiane i nie bez przyczyny: ludzie chcą, by starsza czarownica była osobą, którą mogą szanować, mogą podziwiać. W końcu, droga panno, poważana czarownica nie będzie widziana przy praniu.

— Doprawdy? — Tiffany zacisnęła zęby. Drugi raz „moja panno”? Jeszcze jeden, a będzie miała ochotę nie tylko wcisnąć głowę pani Skorek do piany, ale i przytrzymać ją tam przez jakiś czas. — Babcia Weatherwax zawsze powtarzała, że trzeba czynić dobro, które mamy przed sobą. I nie obchodzi mnie, kto widzi, że piorę rzeczy jakiegoś staruszka. Wiele jest do zrobienia i duża część tego jest brudna, pani Skorek.

— Skou-riik, moja panno — zaznaczyła wzburzona pani Skorek.

— I nie jestem pani panną — oburzyła się Tiffany. — Pani Skorek... — powiedziała, bez żadnej sugestii Skou-riik. — Pani ostatnia książka nosiła tytuł Latać na złotej miotle. Wytłumaczy mi pani, pani Skorek, jak taka miotła może latać? Złoto jest dość ciężkie. Można wręcz powiedzieć, że jest bardzo ciężkie.

Pani Skorek warknęła. Tiffany nigdy jeszcze nie słyszała, jak warczy, ale dźwięk robił wrażenie groźnego.

— To metafora — oświadczyła krótko.

— Doprawdy? — Tiffany też się rozgniewała. — Ale metafora czego, pani Skorek? Pracuję na samym froncie czarownictwa, a to znaczy, że robię to, co trzeba zrobić, najlepiej jak potrafię. Chodzi o ludzi, pani Skorek, nie o książki. Czy chodziła pani kiedyś po domach, pani Skorek? Pomagała pani dziecku, któremu pupa do połowy wystaje z portek? Czy przynajmniej widuje pani dzieci, które nie mają butów? Kobiety, które co roku mają dzieciaka, a męża stale w oberży? Była pani tak miła, żeby zaproponować mi kilka rad. Ja też dam pani radę: przekona mnie pani, jeśli wybierze się pani do ludzi, przejdzie się po domach... Ale nie wcześniej. To ja zostałam uznana za następczynię babci Weatherwax, którą w czarownictwie kształciła niania Gripes, a ona uczyła się od innych czarownic, i ten łańcuch sięga aż do Czarnej Aliss. I to się nie zmieni, niezależnie od pani przekonań. — Wstała i otworzyła frontowe drzwi. — Jestem wdzięczna, że poświęciła pani czas, by złożyć mi wizytę. A teraz, jak słusznie pani zauważyła, mam bardzo dużo pracy. Którą wykonam na swój sposób. I której pani najwyraźniej nie ma.

Jedno Tiffany musiała pani Skorek przyznać: umiała się żachnąć. Teraz żachnęła się gniewnie tak bardzo, że było to niemal boles­ne. Rozmaite przedmioty na niej zabrzęczały wesoło na pożegnanie, a jeden z talizmanów wyraźnie postanowił zostać, zaczepiając o klamkę, kiedy pani Skorek odwróciła się w progu.

Ostatnie słowa, jakie skierowała do Tiffany, kiedy odczepiała wisiorek, brzmiały:

— Starałam się, naprawdę się starałam. Zaprosiłam cię, byś mogła w pełni korzystać z całej mojej wiedzy o czarownictwie. Ale nie. Moją dobrą wolę cisnęłaś mi prosto w twarz. Wiesz, naprawdę mogłybyśmy zostać przyjaciółkami, gdybyś nie była taka uparta. Żegnaj zatem, moja panno.

I rzuciwszy ostatnie słowo, Letycja Skorek trzasnęła za sobą drzwiami.

Tiffany przyglądała się im przez chwilę.

Robię, co potrzebne, pani Skorek, stwierdziła w myślach; nie to, co bym chciała.

Ale stuk zamykanych drzwi był sygnałem, który skłonił Tiffany do zastanowienia. Pomyślała: chcę to robić po swojemu, nie tak, jak zdaniem innych czarownic powinnam. Nie mogę być dla nich nową babcią Weatherwax, mogę być tylko sobą, Tiffany Obolałą.

Ale uświadomiła sobie coś jeszcze.

— Pani Skorek w jednym ma rację — powiedziała na głos. — Rzeczywiście usiłuję za dużo pracować. A jeśli Jeannie się nie myli i zbliża się coś strasznego... — Zadrżała. — Jeżeli mam sobie z tym czymś poradzić, to liczę, że panna Tyk znajdzie mi jakąś dziewczynę, która się przyda. Bo naprawdę potrzebuję pomocy.

— Ano. Tys mi na to wygląda — odpowiedział jej głos Roba Rozbója.

Tiffany niemal eksplodowała.

— Zawsze mnie pilnujesz, Robie Rozbóju?

— Ano psecie. Pamiętaj, misio je nam powiezona, coby na ciebie uwozać dzionkiem i nocką, a to wielka misio.

Misja. Oparta na tradycji i magii, jak wiedziała Tiffany, misja była zobowiązaniem, przed wykonaniem którego nie cofnie się żaden Feegle. Oprócz Tępaka Wulliego, oczywiście, któremu często myliła się z małym zwierzęciem, niekiedy pluszowym.

Rozumiała to wszystko, oczywiście, ale wciąż ją to drażniło.

— Pilnujecie mnie przez cały czas? — spytała zniechęcona. — Nawet w kąpieli?

To był klasyczny argument. Tiffany — zdaniem Roba, bez żadnego rozsądnego powodu — nie chciała się pogodzić z Feeglami towarzyszącymi jej wszędzie. Zdążyli już porozumieć się w sprawie wygódki[[26]](#footnote-26).

— No psecie. Ale nie patsymy, wis.

— No tak... — westchnęła Tiffany. — A mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

— Isto, ze tak. A chciołabyś, coby łona Skorek chlupneła do stawu albo co?

Tiffany westchnęła.

— Niestety, nie. Nie jestem tego rodzaju osobą.

— Ach, ale my som — oświadczył Rob Rozbój. — Zresztą sama wis, tako tradycja. A my som dobzy w tradycji, jako cąstecka folkloru.

Uśmiechnął się z nadzieją.

— To bardzo miła myśl — przyznała Tiffany. — Ale nie, jeszcze raz nie. Pani Skorek w głębi duszy nie jest zła.

To prawda, pomyślała. Jest głupią, czasem apodyktyczną, pozbawioną uczuć i właściwie wcale nie taką dobrą czarownicą, jeśli uczciwie to oceniać. Ale tkwi w niej stalowe jądro...

Tiffany wiedziała, że niania Ogg rzadko zajmuje się praniem — w końcu, do czego służą synowe? — ale nagle zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała, by babcia Weatherwax prała rzeczy rozmaitych starszych dżentelmenów. Ta myśl na moment ją zatrzymała. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć, uznała, patrząc na stojącego przed nią i gotowego na wszystko Wielkiego Gościa klanu Nac Mac Feeglów. Wiedziała, że będzie to dla nich trudne zadanie.

— Mam tako ciut misio, co chcę ci ją powierzyć — oznajmiła.

— Ano?

— Rob, słyszałeś kiedy o praniu ubrań?

— Ano, wimy, co ono sie cosem wydazo — odparł Rob Rozbój.

Poskrobał swój spog, wyrzucając z niego deszcz martwych owadów, na wpół pogryzionych kostek z nóżki kurczaka i tym podobnych drobiazgów.

— Dobrze więc — rzekła Tiffany. — Wyświadczysz mi przysługę, jeśli zechcesz spędzić nieco czasu w mojej komórce, kiedy ja zajmę się innymi sprawami. Będziesz pomagał pewnemu staruszkowi, bardzo pomagał. Ten staruszek lubi być czysty i mieć czyste ubranie. — Tiffany spojrzała na Roba znacząco. — Którą to okoliczność sam też powinieneś rozważyć.

\* \* \*

Wracając z wizyt domowych, niepewnie zbliżała się do komórki. Wszystko lśniło czystością, a między drzewami wisiały niewymowne starego pana Price’a, tak białe, jak tylko może być biel.

Dopiero wtedy Tiffany przestała wstrzymywać oddech.

— Doskonale — pochwaliła Roba Rozbója.

Uśmiechnął się.

— Ano. Ześmy widzieli, ze to bedzie niełotwa robota.

— I dobze sie złozylo, co zem jest akurat z wami — zabrzmiał nowy głos.

Należał do Ciut Szalonego Arthura, któremu nie przeszkadzało pranie, a to dlatego, że wychowała go gromada szewców-gnomów, a potem został policjantem w wielkim mieście. W duszy Ciut Szalonego Arthura, jak często myślała Tiffany, trwała bitwa między jego feeglową i miastową połową. Ale że każdy Feegle lubi porządne bójki, takie wewnętrzne starcie dawało mu dodatkową przyjemność.

Duży Jan odepchnął Ciut Szalonego Arthura na bok.

— Nic nam pseciwko pomaganiu starym grubymsychom, coby byli cyściuteńcy, az sksypią, ale som my Feeglami i cenimy nas brud. Łod mycia Feegle usycha. Nie mozem znieść mydła, jak wis.

— Ni jo, Rob. Ni jo — zawołał ktoś radośnie i Tępak Wullie odpadł od ściany wybiegu dla kóz. Mydlane bańki płynęły w powietrzu, kiedy turlał się po trawie.

— Psecie zem cie upsedzoł, Wullie — warknął Rob. — Łod tego ino bańki ci wychodzą psez usy.

Tiffany parsknęła.

— Przecież możesz sam robić mydło, Wullie. Przygotuj trochę dla Jeannie. Zabierzesz taki ciut prezent swojej keldzie. To łatwe, potrzebne jest tylko trochę tłuszczu i ługu.

— Ano, we łganiu ześmy som dobzy, scero prawda — wtrącił Rob z dumą. — Sławni z tego, jak wis.

No więc próbowałam, pomyślała Tiffany. A zresztą ich serca są czyste, nawet jeśli niedomyte.

\* \* \*

W Kredzie, na granicy ciemnego lasu porastającego szczyt wzgórza, spoglądającego na Dwukoszul — małe miasteczko zdradzające coraz silniejsze aspiracje, by stać się czymś więcej niż tylko sklepem, zajazdem dla dyliżansów i kuźnią — królowa elfów uśmiechnęła się z satysfakcją.

Noc była ciepła, powietrze pachniało tak jak zawsze, i niebo wyglądało tak jak zawsze. Wydawało się, że do miasteczka prowadzi jakby nowy trakt — czy może strumień. Błyszczał trochę w blasku księżyca, ale poza tym wszystko było praktycznie takie jak podczas ostatniej wizyty.

Obejrzała się na gobliniego więźnia, który ze związanymi rękami siedział w siodle za jednym z gwardzistów. Uśmiechnęła się, ale nie był to miły uśmiech. Odda go Lankinowi, pomyślała. Elf z przyjemnością rozerwie go na strzępy — oczywiście kiedy już mu się znudzi zabawa z ofiarą.

Ale najpierw ten goblini śmieć musiał doprowadzić ich tutaj — na to wzgórze. Królowa i jej oddział przyglądali się uśpionej dolinie przed sobą. Wojownicy nosili skrawki futra i skóry, pióra wetknięte za opaski i zwisające z szyi. Poza tym trzymali łuki ze strzałami nałożonymi już na cięciwę.

Brama między światami właściwie nie sprawiła im kłopotu. Co silniejsze elfy bez trudu zdołały się przecisnąć — bariera rzeczywiście okazała się obecnie bardzo słaba. Wcześniej stara wiedźma z pewnością ją wzmacniała, nie wpuszczała ich. Ponieważ zawsze pilnowała świata przed ludem z Krainy Baśni.

Zwierzęta też ich zauważały. W chwili, kiedy królowa wstąpiła do Kredy, zające na łąkach odwróciły się i zamarły, a polujące sowy wzleciały wyżej, wyczuwając nieproszoną obecność innego drapieżnika.

Ludzie jednak zwykle zauważali cokolwiek jako ostatni. Co czyniło ich tak zabawnymi...

Jeśli nie liczyć blasku nad kopcem na zboczu i dalekiego gwaru kłótni, co królowa uznała za typowe odgłosy Nac Mac Feeglów, nie zauważyła niczego, co mogłoby przeszkodzić pierwszemu od lat wtarg­nięciu do świata Dysku. Elfy zaczęły więc swoje gierki. Przejechały przez kilka wiosek, zabawiając się drobiazgami: wypuszczały krowy, przewracały wozy, sprawiały, że kwaśniało mleko w maselnicach i piwo w antałkach. Ale to rosnące miasteczko przed nimi obiecywało wszelkiego rodzaju rozrywki dla elfów, które zbyt długo już nie zaznały przyjemności rajdu.

Poza delikatnym brzęczeniem miriadów dzwoneczków umocowanych do uprzęży czarnych rumaków oddziału, panowała cisza. Elfy czekały, aż ich królowa da sygnał.

Uniosła rękę.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek zrobić, powietrze rozdarł ryk, jakby ktoś szlachtował gigantyczną świnię. Był to głos docierający do całej Kredy, przeraźliwy gwizd niosący się wokół wzgórz i u wszystkich budzący mrowienie zębów. Powietrze w dolinie zdawało się wypełniać ogniem, gdy wielki żelazny potwór rwał po srebrzystym trakcie w stronę miasteczka, znacząc swoją drogę obłokami pary.

Szyk elfów załamał się, gdy panika ogarniała jednego po drugim. Cofały się przed falą hałasu. Przed dźwiękiem. Przed samym zapachem żelaza w powietrzu.

Z Tokarni Opiłki nonszalancko zeskoczył z siodła, za pomocą zębów ukradł kamienny nóż strażnikowi, który ręce miał chwilowo zajęte zatykaniem szpiczastych uszu, i szybko przeciął więzy.

— Mówiłem przecież. Żelazny koń i tyle — oświadczył z ważną miną. — To znaczy ostatni pociąg do Dwukoszula. Przy takich pracują gobliny. Ze stalą i żelazem.

Królowa nie drgnęła — była tego pewna. Niektórzy z pozostałych owszem, ale zajmie się nimi później — żaden elf nie powinien okazywać lęku w obecności swej królowej. Ale tymczasem myślała: Pociąg? Jest wielki. Jest żelazny i nic o tym nie wiemy. A to, o czym nie wiemy, może nas zabić.

— Jak można go poskromić? — spytała. — A co ważniejsze, jak można go przejąć? Jakież zgryzoty moglibyśmy wzbudzić czymś takim.

Groszek — całkowicie spokojny Groszek, pozornie niewrażliwy na grozę wśród elfów — stanął u boku królowej i się uśmiechnął. Królowej ten uśmiech wcale się nie podobał — burzył dramatyczny styl twarzy, jaką postanowił nosić. Oczy Groszka były zimne i bezlitosne.

— Możemy torturować gobliny, aż nam powiedzą, jak nad tym zapanować. A potem mogą to robić dla nas.

— Ale nie zrobią — oświadczył Z Tokarni Opiłki, rzucając Groszkowi niechętne spojrzenie. — Czemu by miały?

Groszek schylił się, by chwycić goblina, ale Z Tokarni Opiłki zareagował błyskawicznie: wsunął drobne dłonie do kieszeni i wyrzucił nad elfa chmurę srebrzystych drobinek. Groszek krzyknął z bólu i spadł z wierzchowca.

Goblin zaśmiał się głośno, kiedy pozostałe elfy cofnęły się nerwowo.

— Zapomniałeś, co mam w kieszeniach, panie Kwiatku? Mówiłem wam o opiłkach, wyraźnie mówiłem. To część mojego imienia. Boli, co? Kto dzisiaj zaczepia sprytnego goblina, temu zdarzają się paskudne rzeczy. A zwłaszcza elfom.

Wskazał Groszka, którego urok całkiem opuścił pod deszczem skrawków żelaza. Elf wił się na trawie: mała, słaba, żałosna i chlipiąca z bólu kreatura.

— Zabawne, co? — rzekł goblin. — W tym nowym świecie małe rzeczy, jak opiłki... i gobliny... naprawdę się liczą.



Rozdział ósmy

POD HERBEM BARONA

Pod Herbem Barona było tego rodzaju oberżą, gdzie John Parsley — dziedziczny właściciel i barman — chętnie pozwalał bywalcom samodzielnie obsługiwać kurki, kiedy akurat był tłok albo musiał odpowiedzieć na zew natury. Taką, gdzie ludzie przybywali, dumnie niosąc wielkiego ogórka albo inne zabawnie ukształtowane lub sugestywne warzywo ze swego ogrodu, tylko po to, żeby pokazać je wszystkim znajomym.

Często zdarzały się kłótnie, ale kłótnie w celu dojścia do prawdy, nie w celu doprowadzenia do bójki. Od czasu do czasu ktoś stawiał jakieś pieniądze, ale John Parsley nie patrzył na takie rzeczy przychylnie. Palenie było dozwolone — mnóstwo, mnóstwo palenia, ale plucia nie tolerowano. Oczywiście, powszechne było też przeklinanie, językiem tak soczystym i dojrzałym, jak te zabawne warzywa. W końcu nie bywały w karczmie żadne kobiety, z wyjątkiem pani Parsley, która przymykała ucho; z pewnością nie miała problemów z takim określeniem, jak „pieprzyć”, uważanym zaledwie za barwny wykrzyknik, obficie wykorzystywany w takich kontekstach jak „Ależ macie tu rozpieprz” czy „Ja to pieprzę!”.

Baronowie, znając wartość popularnej karczmy i nie gardząc krótkimi wizytami od czasu do czasu, przez pokolenia wprowadzali niewielkie dodatki dla rozrywki swoich dzierżawców. Na przykład wkrótce po swoim ślubie młody baron przekazał oberży wszystko co niezbędne do gry w rzutki. Gra nie okazała się całkowitym sukcesem — podczas pewnego entuzjastycznego meczu Trzęsak Gently, powszechnie uważany za najlepszego oracza w Kredzie, ale niesłynący z głębi intelektu, o mało nie stracił oka. Bywalcy uznali więc rzutki za grę śmiertelnie groźną, a do łask wróciła plansza do pchnij-pensa.

Po całym dniu harówki na polach czy w warsztatach karczma dla wielu była utęsknionym wytchnieniem. Joe Obolały, dzierżawca rodzinnej farmy, obiecywał sobie spokojny kufelek przez cały dzień, wypełniony zmaganiami z krnąbrnymi zwierzakami i popsutym sprzętem. Jeden kufelek, mówił sobie, wprowadzi go w lepszy nastrój przed dyskusją, czekającą go — był tego pewien — przy kolacji, a dotyczącą rocznicy ślubu, o której, ku swemu przerażeniu, całkiem zapomniał. Z doświadczenia wiedział, że oznacza to przynajmniej tydzień zimnych kolacji, zimnego traktowania, a nawet ryzyko zimnego łóżka.

W ten piękny, letni, sobotni wieczór karczma była pełna, choć nie tak, jak życzyłby sobie John Parsley. Joe zajął miejsce przy długim dębowym stole na zewnątrz, pod czystym niebem; jego pies Wesołek ułożył mu się u stóp.

Pochodząc z długiej linii Obolałych, prowadzących farmę w Kredzie, Joe Obolały znał każdego człowieka w okolicy, znał ich rodziny, wiedział, kto pracuje, a kto nie bardzo, kto jest głupi, a kto sprytny. On sam nie był zbyt sprytny, ale był mądry, był dobrym farmerem, a przede wszystkim każdego sobotniego wieczoru, gdziekolwiek usiadł, zajmował honorowe miejsce w karczmie. Tutaj stawał się źródłem wszelkiej wiedzy.

Słyszał, jak dwójka bywalców, przy mniejszym stoliku obok drzwi, dyskutuje na temat różnicy w śladach łap kota i lisa. Jeden z nich przesuwał ręce w niespiesznej pawanie.

— Patrz no — tłumaczył. — Jeszcze raz ci pokażę. Kot, rozumiesz, to chodzi tak, rozumiesz, ale Renart ma chód o taki...

Sposoby stawiania nóg przez kota i lisa zostały należycie zademonstrowane, a Joe się zastanowił, czy nie należy do ostatniego pokolenia, które na lisa mówi Renart.

Wszyscy tutaj mieli za sobą długi dzień pracy z końmi, świniami i owcami, nie wspominając już o dziesiątkach zadań, stale czekających mieszkańca wsi. Mieli swój trzeszczący dialekt, znali nazwy wszystkich ptaków w dolinach, każdego węża i każdego lisa; wiedzieli, w jakich miejscach można je spotkać, a w jakich ludzie barona na ogół nie bywają. Krótko mówiąc, dysponowali szeroką wiedzą, niedostępną uczonym na uniwersytetach. Na ogół, kiedy któryś się odzywał, robił to z namysłem i bardzo powoli, a świat był należycie opisywany, dopóki nie zjawiał się chłopak z wiadomością, że jeśli się nie pospieszą, wystygnie im jedzenie.

W pewnym momencie Dick Handly — grubas z rzadziutką bródką, która wstydziłaby się w towarzystwie nazywać brodą — całkiem nagle oświadczył:

— To piwo jest słabe jak sik dziewicy.

— Jak nazywasz moje piwo? — obruszył się John Parsley, zbierając ze stołu puste kufle. — Czyściutkie jest. Dziś rano otwierałem beczkę.

— Nie mówię, że siki dziewicy są takie złe — zapewnił Dick Handly.

Wzbudził tym śmiech, choć krótki. Wszyscy bowiem pamiętali, jak to zrzędliwy stary pan Tidder, wierząc święcie w tradycyjne leki, poprosił córkę, żeby zachowała trochę swego moczu, którym chciał polać bolącą nogę. Młoda Maisie — słodkie dziewczę, choć nieco ograniczone w zakresie mózgu — źle zrozumiała prośbę i podała ojcu napój o bardzo nietypowym zapachu. Co dziwne, stan nogi i tak się poprawił.

Zaraz jednak nalano kolejny kufel i Dick Handly uznał go za przyzwoity. A John Parsley trochę się zastanawiał, ale nie za bardzo, bo czym jest między przyjaciółmi kufel piwa?

Karczmarz usiadł po chwili obok swych gości i zwrócił się do Joego.

— Jak myślisz, młody baron zaczyna się przyzwyczajać?

Relacja między baronem i panem Obolałym, jego dzierżawcą, nie była na terenach wiejskich niczym niezwykłym. Baron był właścicielem ziemi. Każdy to wiedział. Był też właścicielem wszystkich farm w okolicy, a farmerzy — jego dzierżawcy — uprawiali ziemię dla niego i co kwartał płacili czynsz. Mógłby, gdyby zechciał, odebrać komuś farmę, a farmera z rodziną wyrzucić. W przeszłości zdarzali się baronowie, którzy lubili takie demonstracje władzy, jak palenie domów i wypędzanie ludzi, niekiedy dla kaprysu, ale zwykle dla pokazania, kto tu naprawdę rządzi. Szybko się uczyli. Władza nic nie znaczy bez porządnych plonów w spichrzach i stada niedzielnych obiadów, gryzących trawę na wzgórzach.

Roland, młody baron, miał trochę niepewny start — choć trzeba zaznaczyć, że również z powodu swej teściowej — księżnej, która bardzo się starała, by wszyscy o tym wiedzieli. Ale szybko opanował ważne lekcje. Wiedząc, że nie ma jeszcze doświadczenia w uprawie ziemi, kontynuował rozsądną praktykę ojca: pozwalał farmerom prowadzić swoje farmy i kierować pracami na nich tak, jak uważali za właściwe. I wszyscy byli zadowoleni.

Także całkiem mądrze, Roland prowadził czasem rozmowy z Joem Obolałym — jak przed nim jego ojciec. I Joe, człowiek życzliwy, często mówił mu o sprawach, których zarządca czy poborcy mogli nie zauważyć. Na przykład o wdowie, która popadła w tarapaty, albo matce ledwie dającej sobie radę, kiedy jej mąż został stratowany przez nerwowego młodego byka. Joe Obolały wskazywał, że na miejscu byłby pewien zakres łaskawości. Trzeba też młodemu baronowi przyznać, że stosował się do tych rad, choć często w nietypowy sposób; w efekcie wdowa odkrywała nagle, że jakimś cudem udało jej się zapłacić czynsz z góry, więc przez pewien czas nic nie jest winna, a w małym gospodarstwie samotnej matki zjawiał się chętny chłopak z pałacu, który i tak powinien nauczyć się rolnictwa.

— Nie chcę szybko osądzać — stwierdził Joe. Oparł się wygodnie i spoglądał z powagą, do jakiej ma prawo tylko ktoś, kto może w sobotę zajmować poczesne miejsce. — Ale prawdę mówiąc, radzi sobie całkiem nieźle. Orientuje się po trochu i nabiera praktyki, można powiedzieć.

— To dobrze — stwierdził Thomas Greengrass. — Wychodzi na to, że pójdzie śladem swojego ojca.

— To będziemy mieć szczęście. Stary baron był dobrym człowiekiem. Twardym z wierzchu, ale wiedział, co jest czym.

Parsley uśmiechnął się.

— Ale jego młoda pani, baronowa, opanowała wiele lekcji, choć nikt jej nie uczył. Zauważyliście? Stale kręci się po okolicy, gada z ludźmi i nie zadziera nosa. Żona ją lubi — dodał, kiwając głową z mądrą miną. Jeśli żona aprobowała, to znaczyło, że wszystko jest w porządku. Znaczyło spokój w domu, a każdy na wsi tego właśnie pragnął po całym dniu pracy. — Zjawia się, jak słyszałem, żeby powiedzieć kilka miłych słów, kiedy jakaś kobieta ma dziecko.

Na te słowa odezwał się Robert Thick:

— Moja Józefina będzie miała niedługo.

Ktoś zaśmiał się głośno.

— No to stawiasz wszystkim, sam wiesz.

— Nie zapomnij zamienić słówka z Tiffany Joego — poradził Thomas Greengrass. — Jeśli chodzi o porody, nie znam lepszej. — Sięgnął po kufel. — Wczoraj żem widział, jak śmignęła w górze. Dumny z niej byłem, naprawdę: nasza dziewczyna, z Kredy. Ty na pewno też jesteś, Joe.

Oczywiście, wszyscy znali Tiffany Obolałą; znali ją od czasów, kiedy była jeszcze całkiem mała i bawiła się z ich dziećmi. W Kredzie nie bardzo lubili czarownice, ale Tiffany była ich. I na dodatek była dobra. A najważniejsze, że była dziewczyną z Kredy. Znała się na owcach, widzieli ją biegającą w samych majtkach, kiedy jeszcze była zupełnym maluchem. Czyli nikt nie miał nic przeciwko niej.

Ojciec Tiffany spróbował się uśmiechnąć, kiedy schylił się i podał psu kawałek skórki z boczku.

— Masz tu prezent, Wesołku. — Wyprostował się. — Oczywiście, mama Tiffany chciałaby częściej ją widywać, ale cieszy się. Cały czas opowiada wszystkim, co nasza Tiff robi. I ja też. — Spojrzał na karczmarza. — Jeszcze kufel poproszę, jeśli znajdziesz chwilę, John.

— Się robi, Joe.

John Parsley zniknął wewnątrz i zaraz wrócił, niosąc spieniony kufel. Po chwili piwo dotarło do celu.

— Dziwna sprawa, wiecie — podjął Joe. — Zastanawiam się, ile czasu ostatnio Tiffany spędza w Lancre.

— Szkoda by było, gdyby się tam całkiem przeniosła — uznał Dick Handly.

Ta myśl krążyła, unosiła się w powietrzu, choć nikt nie powiedział nic więcej. Nie do Joego Obolałego, nie w sobotę.

— No, cały czas jest zajęta — stwierdził powoli Joe; komentarz Dicka wcisnął w jakiś zakamarek umysłu, do późniejszego rozważenia. — Dużo dzieciaków ostatnio mamy, chłopcy...

Uśmiechnęli się wszyscy.

— Ale to nie tylko porody — wtrącił Jim Twister. — Odwiedziła też moją matkę staruszkę, kiedy ta odchodziła. Siedziała przy niej całą noc. Zabrała jej ból. Wiecie, że tak umie?

— Tak — przyznał Joe. — Nie tylko dla baronów ten zabieg, chociaż akurat nasz stary też tak odchodził. Wiecie, miał pielęgniarkę, ale to Tiffany się nim zajmowała. Pilnowała, żeby nie czuł bólu.

Przy stole zapadła cisza — pijący zastanawiali się nad licznymi sytuacjami, kiedy na ich drodze stanęła Tiffany Obolała. Po chwili odezwał się Noddy Saunters, niemal szeptem:

— Bo wiesz, Joe, wszyscy mamy nadzieję, że Tiffany zostanie tutaj. Masz dobrą dziewczynę, to pewne. Powiedz jej to, kiedy ją zobaczysz.

— Nie trzeba jej mówić, Noddy — zapewnił Joe. — Matka też by chciała, żeby Tiffany się ustatkowała i osiadła. W Kredzie, to jasne, razem z tym swoim młodym człowiekiem, no wiecie, tym Prestonem, co wyjechał, żeby w wielkim mieście uczyć się na prawdziwego doktora. Ale mnie się wydaje, że nic z tego, przynajmniej na razie. Jak ja to widzę, to żyje tu sporo Obolałych, ale Tiff idzie śladem swojej babci, tyle że bardziej nowocześnie, jeśli chwytacie, o co mi chodzi. I sobie myślę, że spróbuje zmienić świat, a jeśli już nie świat, to przynajmniej ten kawałek, zwany Kredą.

— Bo to akuratnie dobra czarownica dla nas, pasterzy — dodał Thomas Greengrass, budząc ogólny pomruk aprobaty.

— A pamiętacie, chłopcy, jak wszyscy pasterze zjawiali się tu i walczyli w Turnieju? — spytał Dick Handly po przerwie na opróżnienie kufla. — Żeśmy wtedy nie mieli czarownic.

— Ano — zgodził się Joe Obolały. — Tylko pamiętaj, ci dawni pasterze nie walczyli na kije. Siłowali się na rękę. A zwycięzca zostawał głównym pasterzem.

Na to wszyscy się roześmiali. A większość wspomniała babcię Obolałą, ponieważ tak naprawdę to babcia Obolała była ostatnim głównym pasterzem. Wystarczyło, że skinęła głową, a człowiek przez cały dzień chodził dumny jak król, Turniej czy nie.

— No ale teraz nie mamy już głównych pasterzy — odezwał się Robert Thick po jeszcze dłuższej przerwie, podczas której wypito więcej piwa i zapalono fajki. — Za to mamy czarownicę. Twoją Tiffany.

— Ale skoro mamy czarownicę zamiast głównego pasterza... myślicie, że któryś z was powinien spróbować się z nią na rękę? — John Parsley uśmiechnął się szeroko i zerknął z ukosa na ojca Tiffany.

— Z czarownicą? — zaśmiał się Robert Thick. — Nie ma obawy. Dbam o maniery.

Joe parsknął śmiechem, a pozostali pokiwali głowami.

Po czym spojrzeli w górę, kiedy cień przemknął nad nimi.

— Dobry wieczór, tato! — krzyknęła z góry dziewczyna na miotle. — Wszystkim dobry wieczór! Nie mogę się zatrzymać! Mam poród bliźniąt!

\* \* \*

Roland de Chumsfanleigh[[27]](#footnote-27), młody baron Kredy, pod pewnymi względami naprawdę chciał być podobny do ojca. Wiedział, że starzec cieszył się popularnością — znany był jako „baron z dawnej szkoły”, co oznaczało, że każdy wiedział, czego się po nim spodziewać. Gwardziści polerowali zbroje i salutowali, i robili to, czego od nich oczekiwano, a baron robił to, czego oczekiwano od niego, i zwykle zostawiał ich w spokoju.

Ojciec jednak bywał niekiedy wybuchowym tyranem. I te chwile Roland chciałby zapomnieć. Zależało mu, by zachować się właściwie, kiedy odwiedzał Tiffany Obolałą na rodzinnej farmie. Kiedyś byli dobrymi przyjaciółmi, a teraz — co niepokoiło Rolanda — za dobrą przyjaciółkę uważała Tiffany jego żona, Letitia. Każdy rozsądny mężczyzna powinien obawiać się najlepszych przyjaciółek żony. Któż bowiem zgadnie, jakie... małe sekreciki mogą zostać ujawnione? Roland, edukowany w domu i mający ograniczoną wiedzę o świecie poza Kredą, obawiał się, że „mały” to właśnie ten rodzaj komentarza, jaki Letitia może wymieniać z Tiffany.

Wybrał właściwy moment: zobaczył, że jej miotła zniża się do lądowania wczesnym wieczorem, kiedy był pewien, że Joe Obolały siedzi jeszcze w karczmie.

— Witaj, Rolandzie — rzuciła Tiffany, nie odwracając się nawet, kiedy wjechał na podwórze i zeskoczył z siodła.

Roland drgnął. Był baronem. Do niego należała farma jej ojca... I kiedy tylko przyszło mu to do głowy, uświadomił sobie, jak głupia to myśl. Jako baron posiadał kartki papieru świadczące o prawie posiadania. Ale farma była Obolałych. Zawsze była i zawsze będzie. Miał też pewność, że Tiffany wie, co sobie właśnie pomyślał, więc trochę się zarumienił, kiedy się odwróciła.

— Widzisz, Tiffany... — zaczął. — Chciałem się z tobą zobaczyć i... rozumiesz... no więc to jest tak...

— Daj spokój, Rolandzie — przerwała mu. — Po prostu mów, co masz do powiedzenia. Mam za sobą ciężki dzień, a wieczorem muszę wrócić do Lancre.

To było otwarcie, jakiego potrzebował.

— Właśnie w tej sprawie przyjechałem, Tiffany. Były... skargi...

Nie było to właściwe słowo i zdawał sobie z tego sprawę.

Tiffany zesztywniała.

— Co takiego? — spytała groźnie.

— Wiesz, nigdy cię tu nie ma, Tiffany. Powinnaś być naszą czarownicą, być tutaj dla nas. Ale prawie codziennie odlatujesz w Ramtopy. — Wyprostował się, jakby podparł sobie kręgosłup metaforycznym kijem od miotły. Chciał, by jego głos brzmiał oficjalnie, nie błagalnie. — Jestem twoim baronem — rzekł. — I proszę, żebyś pamiętała o swojej odpowiedzialności, swoich obowiązkach...

— Moich obowiązkach? — powtórzyła cicho.

Co on sobie wyobraża, że czym się zajmowała przez ostatnie tygodnie? Bandażowała nogi, leczyła pęcherze, przyjmowała porody, odbierała ból tym, którzy zbliżali się już do końca swej drogi, odwiedzała starych ludzi, miała na oku dzieci i... tak jest, obcinała paznokcie... A co robił Roland? Wydawał przyjęcia? Podziwiał akwarele Letitii? Byłoby lepiej, gdyby zaproponował, że Letitia jej pomoże. Wiedział przecież, tak samo jak Tiffany, że Letitia ma wrodzony talent czarownicy. Mogłaby stać się użyteczna dla Kredy...

A potem pomyślała: to brzydko. Wiedziała przecież, że Letitia odwiedza każde nowo narodzone dziecko. Że rozmawia z kobietami.

Ale była zła na Rolanda.

— Przemyślę to, co powiedziałeś — oświadczyła z demonstracyjną uprzejmością, od czego zaczerwienił się jeszcze bardziej.

Z wyobrażonym kijem wciąż sztywno umocowanym do pleców, Roland podszedł do swego wierzchowca, wskoczył na siodło i odjechał.

Próbowałem, tłumaczył sobie. Ale nie mógł się pozbyć uczucia, że tylko bardziej wszystko popsuł.

\* \* \*

Kiedy królowa z orszakiem wróciła przez kamienny krąg, rozpętało się pandemonium.

Zniknął migoczący pałac z Krainy Baśni, a rada spotkała się na polanie w głębi czegoś, co mogłoby uchodzić za czarodziejską puszczę, gdyby królowa zadbała o niezbędne detale, takie jak motyle, stokrotki i muchomory. Nawet teraz drzewa gorączkowo splatały konary i gałęzie, gdy przechodziła, a kawałki ziemi po obu jej stronach na wyścigi starały się wypuścić źdźbła trawy.

Była wściekła. Więzień — zwykły śmieć — ośmielił się zaatakować jednego z jej dworzan. A ten upadł przed goblinem — goblinem o tak szybkich brudnych stopach, że umknął przed jej gniewem. Ale chociaż to Groszek ucierpiał — królowa była w głębi serca zadowolona, że to właśnie on, nie któryś z pozostałych panów — wiedziała, że to ją elfy obwiniają o tę hańbę. O klęskę. Ponieważ to ona poprowadziła oddział wypadowy i zabrała ze sobą goblina.

Wbrew jej rozkazom, Groszek wciąż im towarzyszył. Z początku był blady i poruszał się chwiejnie, ale teraz, kiedy oczyszczono mu ciało ze strasznego żelaza, urok powrócił prawie do normalnej mocy. Za nim szły szeregi jej gwardzistów i czuła płynącą stamtąd niechęć.

Spojrzała na Groszka lekceważąco.

— Zabierzcie stąd tego słabeusza — poleciła komuś ze straży. — Nie chcę go widzieć!

Ale gwardzista nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego uśmiechnął się tylko zuchwale i zaczął bawić się kuszą; od niechcenia założył na cięciwę pierzasty bełt i ośmielił się wymierzyć w jej stronę.

— Pani moja — rzekł Groszek z lekko tylko maskowaną wzgardą. — Gubimy się. Nasz uchwyt na świecie ludzi słabnie. Nawet gobliny się z nas teraz śmieją. Dlaczego dopiero od nich się dowiadujemy, że ludzie otaczają swój świat żelazem? Dlaczego nie uczyniłaś nic, by ich powstrzymać? Dlaczego nie wyruszaliśmy na łowy? Dlaczego nie pozwoliłaś nam być prawdziwymi elfami? Nie jest już tak, jak za dawnych czasów.

Znów miał urok tak silny, że niemal jej dorównywał, a wolę jeszcze mocniejszą.

Jak mogłam tego nie widzieć, myślała królowa, choć jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Czy on śmie rzucać mi wyzwanie? Jestem przecież królową! Król tkwi sobie w innym świecie, wyleguje się w swej norze i oddaje swoim przyjemnościom, ale ja nadal jestem jego królową. Zawsze przecież rządziła królowa. Nigdy żaden z panów.

Wyprostowała się na całą wysokość i spojrzała na zdradzieckiego dworzanina, przywołując pełną moc swego uroku.

Zabrzmiał jednak chór głosów wspierających Groszka. Rzadko zdarzał się dzień, by jeden elf zgadzał się z innym — niezgoda była bardziej typowym stanem istnienia. Tym razem masa wojowników zdawała się zacieśniać szyk, a ich zimne oczy czujnie obserwowały królową. Bezlitosne. Niebezpieczne. Złe.

Królowa przyjrzała się każdemu z wojowników po kolei, po czym znów zwróciła się do Groszka.

— Ty nędzny robaku — syknęła. — W jednej chwili mogłabym wyrwać ci oczy.

— O tak, pani — podjął Groszek; napięcie rosło. — Ale kto pozwala Feeglom na ich szaleństwa? Teraz, kiedy stara wiedźma odeszła, czarownice są słabe. Podobnie jak wrota między naszymi światami. Ale ty, mimo tego wszystkiego, wciąż wydajesz się lękać tej dziewczyny Obolałych. Ostatnim razem niewiele brakowało, by cię zabiła.

— Wcale nie — odparła królowa.

Ale inne elfy przyglądały się jej, patrzyły tak, jak kot patrzy na swą ofiarę... Zresztą mówił prawdę, Tiffany Obolała istotnie ją zwyciężyła.

Królowa poczuła, że jej urok migocze, rozpływa się...

— Jesteś słaba, pani — rzekł Groszek.

Królowa czuła się słaba. Mała i zmęczona. Drzewa tłoczyły się wokół. Światło przygasało. Spojrzała na twarze dookoła, potem ożywiła się, przywołując tę moc, jaka jej jeszcze pozostała. Wciąż była królową. Ich królową. Muszą jej słuchać.

— Czasy się zmieniają — oświadczyła, prostując się. — Żelazo czy nie, gobliny czy nie, świat nie jest już taki sam.

— I dlatego się ukrywamy, na twój rozkaz — stwierdził pogardliwie Groszek. — Jeżeli świat się zmienia, to właśnie my musimy go zmienić. My musimy zdecydować, jaki się stanie. Tak było zawsze. I tak musi być znowu.

Elfy przy Groszku skrzyły się z aprobatą; oślepiały wytwornością, a lśnienie uroku otaczało ich zimne, wąskie twarze.

Królowa poczuła się zagubiona.

— Nie rozumiesz — próbowała tłumaczyć. — Mamy ten świat obok, dla naszej zabawy. Ale jeśli będziemy postępować tak, jak zawsze dotąd, czas przetoczy się po nas. Będziemy... jak wróżki. To właśnie mówi nam żelazo w tamtym świecie. Nie ma tam dla nas przyszłości.

Groszek parsknął tylko.

— To bzdura — oświadczył. — Co to znaczy: nie ma przyszłości? Sami tworzymy swoje przyszłości. Nie przejmujemy się ludźmi ani goblinami. My się nie przejmujemy. Ale ty... Wydaje się, że jesteś wobec nich dość miękka. Czy to możliwe, że wielka królowa się boi? Brak ci pewności siebie, pani. A to sprawia, że i my nie jesteśmy ciebie pewni.

Lojalność elfów jest delikatna jak pajęczyna, a walutą Krainy Baśni jest urok. I królowa czuła, że kiedy przeciwnik mówił, jej urok odpływał coraz mocniej.

Wtedy zaatakował.

— Stałaś się zbyt miękka, madam — krzyknął. — To się zaczęło... od tamtej dziewczyny! A skończy się... na mnie!

Jego urok nabrał intensywności, oczy mu błyszczały, moc gromadziła się wokół, czyniąc pozostałe elfy czujnymi i posłusznymi. Groszek wskazał królową; patrzył na przebiegające po jej obliczu miriady twarzy i wizerunków: złociste włosy, czarne włosy, włosy długie, krótkie, cienkie, rzadkie, dziecięce. Wysoka, silna... słaba, dziecinna. Wyprostowana, skulona... skamląca.

— Gobliny nie przybiegają już na każde twoje zawołanie — syknął. — A Kraina Baśni nie może przetrwać bez silnego przywódcy. My, elfy, potrzebujemy kogoś, kto odniesie zwycięstwo: nad goblinami, nad ludźmi i nad wszystkimi innymi. Potrzebujemy... nasz król w norze potrzebuje... wojownika.

Groszek przypominał teraz węża: przeszywał wzrokiem ofiarę, a ta cofała się i rozpaczała po straconym uroku.

— Nie może nami rządzić coś takiego — zakończył pogardliwie. Obejrzał się na pozostałe elfy. — Co na to powiecie?

W pustce ich oczu królowa zobaczyła, jak znika jej przyszłość.

— Co mamy z nią zrobić, lordzie Groszku? — To był Gorczyczka, który podszedł, by okazać wsparcie nowemu przywódcy.

— Musi ustąpić z tronu! — krzyknął jakiś elf.

Groszek z wyższością przyjrzał się swej dawnej władczyni.

— Zabierzcie ją stąd i zabawcie się, jak macie ochotę... a potem wyrwijcie jej skrzydła — rozkazał. — Kara czeka tych, co zawiodą. A teraz... — Rozejrzał się. — Gdzie moi muzykanci? Trzeba nam zatańczyć na hańbę tej, która była kiedyś naszą królową. Razem z nią wyrzućcie z Krainy Baśni pamięć o niej. I niech już nigdy nie wraca.

— Dokąd ma pójść? — zawołał Gorczyczka, chwytając królową za jedno z patykowatych ramion.

Ale Groszek już odszedł, sunąc wśród tłumu dworzan, którzy teraz tańczyli w ślad za nim.

A kiedy bezbronna elfka, która niedawno była królową, została odciągnięta na bok, Gorczyczka usłyszał, jak w desperacji powtarza szeptem kilka słów.

— Grom... i Piorun... Obyś poczuł moc Gromu i Pioruna, Groszku, a potem gniew Tiffany Obolałej. Kłujący aż do kości...

Spadł deszcz, który po chwili zmienił się w grad.



Rozdział dziewiąty

RADZI SOBIE Z KOZAMI

Chłopiec stojący w deszczu i patrzący na Tiffany zza kuchennych drzwi jej chatki — już nie chatki babci Weatherwax — nie przypominał typowych gości. Był brudny, owszem, ale był to raczej brud drogi niż ubóstwa. Miał też ze sobą kozła, co nie zdarzało się często. Ale nie wyglądał na potrzebującego. Przyjrzała mu się dokładniej: ubranie nosił dobrej jakości, kiedyś z pewnością kosztowne. Ale w potrzebie, pomyślała jeszcze. I o parę lat młodszy od niej.

— Czy pani Tiffany Obolała, czarownica? — zapytał nerwowo, kiedy otworzyła drzwi.

— Tak — potwierdziła.

Przynajmniej odrobił pracę domową, pomyślała, i nie zapukał do drzwi, żeby zapytać o babcię Weatherwax. No i podszedł do tylnych drzwi, jak należy. Tyle że właśnie przygotowała sobie trochę zupy, która teraz wystygnie.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — spytała. — Jestem pewna, że czegoś potrzebujesz...

Ponieważ czarownica nikogo nie odsyła z niczym.

— Nie, proszę pani, jeśli wolno... Ale po drodze słyszałem, że ludzie mówią o pani... Że jest pani najlepszą czarownicą.

— Wiesz, ludzie różne rzeczy mówią — odparła. — Liczy się, co myślą inne czarownice. W czym mogę pomóc?

— Chcę być czarownicem! — Ostatnie słowo wibrowało w powietrzu, jakby było żywe, ale chłopiec wydawał się bardzo poważny i bardzo nieszczęśliwy. Brnął jednak dalej. — Pan Kretall, to znaczy mój nauczyciel, opowiadał mi o czarownicy, która została magiem. Więc na pewno, proszę pani, może to działać w obie strony, prawda? Mówią, że co dobre dla gęsi, dobre i dla gąsiora.

— Niby tak — przyznała niepewnie Tiffany. — Ale wiele dam nie lubi spotykać się z obcym mężczyzną w okolicznościach, powiedzmy: intymnych. Znaczna część naszej pracy to bycie akuszerkami. Nie akuszerami, podkreślam.

Chłopcu drgała grdyka, ale mówił dalej.

— Wiem, że w wielkim mieście Darmowy Szpital Lady Sybil pomaga tak samo kobietom i mężczyznom. Nie ma wątpliwości, proszę pani, że jeśli chodzi o chirurgię, to niektóre damy cieszą się niekiedy na widok chirurga. — Chłopiec rozpogodził się na chwilę. — Naprawdę uważam, że mogę być czarownicem — zapewnił. — Wiem dużo o sprawach wiejskich i mam bardzo drobne palce, co przydało mi się niedawno w drodze, kiedy trzeba było pomóc rodzącej kozie. Miała kłopoty. Musiałem podwinąć rękawy, ostrożnie w niej pogrzebać i delikatnie ustawić malucha tak, żeby łatwo wyszedł z matki. Brudna robota, to jasne, ale maluch przeżył, a ten staruszek, który był właścicielem kozy, miał w oczach łzy wdzięczności.

— Doprawdy? — rzuciła z kamienną twarzą Tiffany. Zastanawiała się, od kiedy „radzi sobie z kozami” stało się kwalifikacją do bycia czarownicą. Ale chłopiec wyglądał na zagubioną duszę, ustąpiła więc i zaprosiła go do chaty na herbatę. Kozłowi wskazała przerośnięty zagon pełzającej-Minnie, gdzie jabłoń osłaniała go przed deszczem, i wydawał się całkiem zadowolony, że zostaje na zewnątrz. Tiffany zauważyła jednak — jak zauważyłaby każda czarownica — że rzucił jej dziwne spojrzenie, niezbyt często widywane w szczelinach kozich źrenic. Takie spojrzenie sprawia, że człowiek obawia się trochę odwrócić plecami... ale też jest w nim coś więcej.

I kiedy skinęła na chłopca, spostrzegła, jak Ty wymija jabłonkę i nagle nieruchomieje, widząc kozła — pręży grzbiet i stroszy ogon do zaskakujących rozmiarów. Nastąpiła pełna napięcia cisza, kiedy oboje na siebie patrzyli — Tiffany mogłaby przysiąc, że zauważyła krótki błysk fluorescencyjnego światła, zielonkawo-żółto-fioletowego — a potem wszystko się uspokoiło, jakby zawarto porozumienie, podpisano je i opieczętowano. Kozioł wrócił do skubania liści, a Ty zmniejszyła się do zwykłych rozmiarów i przeszła dalej, niemal ocierając się o jego nogi. Tiffany była zdumiona. Widywała już, jak przed Ty uciekał Greebo, kot niani Ogg. Cóż to był za kozioł? A może, pomyślała z zainteresowaniem, ten chłopiec też jest kimś więcej, niż się wydaje...

Kiedy siedzieli przy małym kuchennym stoliku, dowiedziała się, że chłopiec ma na imię Geoffrey i że znalazł się daleko od domu. Zauważyła, że niechętnie rozmawia o rodzinie, spróbowała więc innego podejścia.

— Intrygujesz mnie, Geoffreyu — rzekła. — Dlaczego chcesz zostać czarownicem, a nie magiem, który tradycyjnie uważany jest za stanowisko dla mężczyzny?

— Nigdy nie myślałem o sobie jako o mężczyźnie, pani Tiffany. Nie sądzę, żebym był czymkolwiek. Jestem po prostu sobą — odparł cicho.

Dobra odpowiedź, uznała Tiffany. Zastanowiła się, zresztą nie po raz pierwszy, co różni czarownice od magów. Główna różnica, pomyślała, to ta, że magowie używają ksiąg i lasek, by tworzyć zaklęcia, wielkie zaklęcia działające na wielkie rzeczy; no i są mężczyznami. Tymczasem czarownice — zawsze kobiety — zajmowały się sprawami codziennymi. Też wielkimi, upomniała się stanowczo. Czy może być coś większego niż narodziny i śmierć? Ale właściwie czemu ten chłopiec nie mógłby być czarownicą? Ona, na przykład, sama postanowiła, że nią będzie, więc i on może dokonać tego samego wyboru. I ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że jej decyzja także się tutaj liczy. Jeśli ma zostać kimś w rodzaju głównej czarownicy, powinna podjąć tę decyzję. Nie musi pytać innych. To jej zdanie jest ważne. Jej odpowiedzialność. Być może pierwszy krok w stronę robienia wszystkiego inaczej niż zawsze.

Spojrzała na Geoffreya. Ten chłopiec ma coś w sobie, uznała, a ja nie wiem, co to takiego. Ale wygląda nieszkodliwie, a poza tym wydaje się, że nie miał łatwego życia. No więc podejmę decyzję: postanawiam, żeby dać mu spróbować. A co do kozła...

— Posłuchaj — rzekła. — Pozwolę ci się przespać w szopie, dam też trochę jedzenia i picia na dzisiaj. Za kozła sam odpowiadasz. Ale robi się późno, więc porozmawiamy jutro.

\* \* \*

Następnego ranka, czekając, aż zajrzy do niej niania Ogg, Tiffany zaniosła do szopy trochę jedzenia. Chłopiec spał. Chrząknęła ostrożnie, a on aż podskoczył.

— Dobrze więc, Geoffreyu, teraz powiedz mi prawdę. Uciekasz od czegoś? Od rodziców może?

— Nie, od rodziców nie — odparł Geoffrey.

Ugryzł kawał chleba od Tiffany, ale szynkę odłożył na bok.

Ty mały łgarzu, pomyślała Tiffany, która — jak każda czarownica — potrafiła rozpoznać kłamstwo[[28]](#footnote-28). Westchnęła.

— Czy w takim razie uciekasz z domu?

— Można tak powiedzieć, proszę pani, ale mam szesnaście lat i po prostu chciałem odejść.

— Nie układało ci się z ojcem, zgadza się?

Tiffany zauważyła, że chłopiec niemal podskoczył, jakby trafiła w czułe miejsce.

— Skąd może pani to wiedzieć, proszę pani?

Westchnęła znowu.

— Na drzwiach mam napisane „czarownica”, prawda? Nie jestem wiele starsza od ciebie, ale nie jesteś pierwszym uciekinierem, z jakim mam do czynienia. I jestem pewna, że będzie ich jeszcze wielu. Chociaż — dodała — rzadko spotyka się tak wysoko urodzonych, jak ty. Dobry płaszcz, jak widzę. Teraz powiedz, Geoffreyu, do czego mógłbyś się przydać mnie i mojemu gospodarstwu?

— Och, do wielu rzeczy, proszę pani — zapewnił. Miało to chyba zabrzmieć stanowczo, ale zabrzmiało raczej jak wyrażenie nadziei.

W tej właśnie chwili zza węgła chaty wyłoniła się niania — nie było jej tu przed chwilą, a teraz była. Tiffany wiedziała, że taki właśnie ma styl.

Niania spojrzała na Geoffreya, osądziła go błyskawicznie, po czym mrugnęła porozumiewawczo.

— Co się tu dzieje, Tiff?

Tiffany spostrzegła sugestywny uśmiech na twarzy niani — jakby nagle wyszczerzyło się do niej jabłko. Geoffrey wyglądał, jakby chciał uciekać.

— Nic takiego, nianiu — odparła stanowczo. — To jest Geoffrey. Chce być czarownicem.

— Naprawdę? — Niania parsknęła. — Masz na myśli, że chce rzucać czary? Poślij go do magów.

Teraz Geoffrey przypominał małego jelonka, gotowego, by odskoczyć. Niania Ogg czasem działała tak na ludzi.

— Nie, nianiu. On chce być czarownicem. Rozumiesz?

Dostrzegła złośliwy błysk w oku niani.

— Czarownicem, tak? Może najpierw powinien zobaczyć, co my, czarownice, musimy znosić... A potem zdecyduje, jak należy. Wiesz, może jednak postanowi spróbować u magów, jeśli ma jakieś zdolności. Bo ja wiem... Niech będzie twoim parobkiem.

Parobek był jak służąca — wykonywał wszelkie prace w gospodarstwie, zwykle te brudne. Takie jak zabijanie kur i oprawianie bażantów, czyszczenie butów, obieranie ziemniaków i wszystko inne, co było niezbyt czyste i potencjalnie niebezpieczne. Zwykle mieli takiego na rodzinnej farmie — powoli uczył się, na czym polega ta praca.

— Wiesz, co ci powiem... — Niania przyglądała się drżącemu chłopcu. — Sprawdźmy, jak sobie poradzi u pana Nimleta. Sama wiesz, jakie on ma paznokcie.

Owszem — takie jak wszyscy staruszkowie, pomyślała Tiffany. Popatrzyła na chłopca, który wydawał się przejęty i bardzo chętny, by pomagać. Zlitowała się nad nim.

— Bycie czarownicą to więcej, niż sobie wyobrażasz, Geoffrey. Ale jeśli masz ochotę zostać u mnie parobkiem, zobaczymy, jak ci pójdzie. A przede wszystkim chcę, żebyś zrobił coś ze straszliwymi paznokciami u nóg pewnego staruszka.

— Przyda ci się tarcza — wtrąciła niania.

Chłopiec zerknął zdziwiony na Tiffany.

— No wiesz, paznokcie pana Nimleta bywają zwykle grube, twarde i bardzo, bardzo trudne do obcinania. Potrzebny jest mocny sekator, a i tak ścinki śmigają po całym pokoju. Trzeba uważać na oczy.

Przyglądała się twarzy chłopca. Wyglądał, jakby gotów był zmierzyć się z dowolną przeszkodą, nawet latającymi paznokciami. Niania uśmiechała się szeroko.

— Muszę odebrać poród, nianiu. Więc bądź tak dobra, zaprowadź Geoffreya do pana Nimleta i zobacz, jak sobie radzi. Aha, i niech pamięta, żeby pozbierać te ścinki: Rob Rozbój ma dla nich zastosowanie.

— Mogę zabrać ze sobą Mefistofelesa? — spytał Geoffrey.

Niania odwróciła się błyskawicznie.

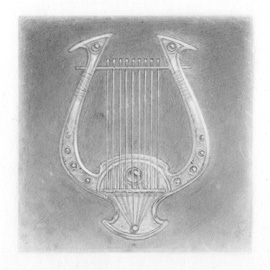
— Mefistoco? — spytała powoli.

— Mojego kozła. — Geoffrey wskazał na zagrodę, gdzie Mefistofeles badał właśnie resztki zagonu mleczy. — To znaczy on należy tylko do samego siebie, ale wędrujemy razem. To bardzo dobry towarzysz.

Niania prychnęła.

— O proszę — rzekł z dumą Geoffrey, kiedy Mefistofeles ostrożnie przeszedł przez dziedziniec i pyszczkiem otworzył sobie drzwiczki do niewielkiej kabiny pod bukiem. — Nauczył się nawet korzystać z wygódki.

A niania — chyba pierwszy raz w życiu — oniemiała.



Rozdział dziesiąty

SKARB

Głęboko w sercu Krainy Baśni zwycięski Groszek mierzył wzrokiem swój dwór.

Lord Lankin — wysoki, elegancki, w narzuconej swobodnie na ogorzałą skórę tunice z mchu i janowca — stał u jego boku i leniwie bawił się spiżowym sztyletem.

— Jestem teraz waszym królem — oznajmił Groszek.

W wielkiej hali zapadła cisza, gdy elfy rozważały nową sytuację i swoje w niej szanse.

— A co z samym królem? — zapytał jakiś śmiałek. — Tym pod kurhanem? Myślisz, że co na to powie?

— Coś w tym rodzaju — odparł Groszek.

I cisnął w elfa pierzastą strzałą. Powalił go i ranił, choć nie zabił. I dobrze, pomyślał. Lepsza zabawa na później.

Skinął na wojowników, którzy odciągnęli rannego.

— Niech demony porwą króla — powiedział i tym razem nikt mu się nie sprzeciwił.

Wszystkie elfy wiedziały, że Groszek chce doprowadzić do rozprawy z ludźmi, krasnoludami, goblinami i wszystkimi innymi ludami, że chce, by elfy ponownie krążyły po tamtym świecie, swobodne i okrutne.

— Jesteśmy elfami od zarania czasu! — zawołał Groszek. — Zbyt długo już ludzie zachowują swoją przewagę! Bezczelne gobliny poczują nasz gniew! Huczące mechaniczne śmieci zostaną wymiecione! Odbierzemy świat, którego nam odmawiano! — Uśmiechnął się i dodał ciszej: — Ci, którzy nie są z nami, będą cierpieć.

W świecie pociągów i opiłków żelazo mogło zabić elfa. Mimo to żaden z nich nie chciał się narażać na wściekłość Groszka, nie próbował mu się sprzeciwić. Doskonale zdawali sobie sprawę z jego talentu, by krótkie słowo, takie jak „cierpieć”, zamienić w bardzo długie doświadczenie.

A gdy urok nowego władcy nabierał mocy, kiedy Groszek stanął nad nimi silny i wysoki, mieli wrażenie, że ich świat budzi się na nowo.

— Jacy głupi są ci śmiertelni! — huknął Groszek. — Myślą, że zdołają nas powstrzymać? Potrzebują nas! Wzywają nas! A my przybędziemy. Sprawimy, że zapragną tego, czego mieć nie mogą, a damy im tylko nasz śmiech! I zabierzemy wszystko!

Elfy krzyknęły radośnie.

\* \* \*

Becky Pardon i Nancy Upright, ubrane w najlepsze sukienki, stały drżące przed obliczem panny Tyk.

— To nie tylko zaklęcia i miotły — powiedziała. — To również ciężka praca. Niekiedy bardzo nieprzyjemna. Tak, Becky?

— Byłam przy tym, kiedy umarł mój dziadek — oświadczyła Becky. — I widziałam wszystkie te rzeczy, które trzeba zrobić. Tato mówił, że nie powinnam, ale mama powiedziała: „Daj dziewczynie popatrzeć. Prędzej czy później i tak się dowie, jak wyglądają sprawy tego świata”.

— Chcę wiedzieć, dziewczęta, czy radzicie sobie z magią. Obie powinnyście mieć już podstawowe umiejętności, jak na przykład zdmuchnięcie świecy samą myślą. Jak myślicie, co robimy z magią?

— Można nią leczyć kurzajki — odparła Becky. — Taką znam. Moja babcia to umiała. I magia może cię uczynić piękną...

Mówiła tęsknym tonem i panna Tyk przyjrzała się jej uważniej. A raczej jej nieładnemu znamieniu na policzku.

— Można kogoś zaczarować, żeby została twoją najlepszą przyjaciółką — dodała Nancy. — Albo... — Zarumieniła się. — Żeby chłopiec cię lubił.

Panna Tyk parsknęła śmiechem.

— Powiem wam szczerze, dziewczęta. Magia nie zrobi was pięknymi, jeśli takie nie jesteście. I na pewno nie zagwarantuje popularności. To nie zabawka.

— Ale z tymi chłopcami... — Nancy zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Twarz panny Tyk nawet nie drgnęła.

— Co z nimi? — spytała.

Rumieniec Nancy stał się już tak głęboki, że gdyby poczerwieniała jeszcze trochę, wyglądałaby jak rak.

— Nie trzeba używać zaklęć, żeby zdobyć chłopaka, Nancy — tłumaczyła panna Tyk. — Gdybyś chciała dowiedzieć się o tym czegoś więcej, zapewne pani Tiffany skieruje cię jakoś do niani Ogg, albo może do twojej babci.

— Czy ma pani narzeczonego, panno Tyk? — zainteresowała się Nancy.

— Nie — odparła panna Tyk. — Tylko przeszkadzają. A teraz przekonamy się, czy umiecie zrobić mobil. Jeśli nie, małe jest prawdopodobieństwo, że zostaniecie czarownicami. Mobil pozwala się zogniskować.

Uniosła rękę i nagle coś tam było. Samo powietrze zdawało się wrzeć: tańczące, migotliwe... żywe.

— Przyjrzyjcie się, jak porusza się powietrze, jak czeka... To miejsce, gdzie mógłby się znaleźć mój mobil. Gdzie mógłby mi doradzić.

Nie wiadomo skąd w jej dłoni pojawiło się jajko, kawałek sznurka, gałązki, mały orzech.

— Te rzeczy, które miałam przy sobie, wystarczą na mobil — powiedziała. Przyjrzała się poważnym buziom i westchnęła. — Ale teraz każda z was powinna zrobić własny. I musi w nim być coś żywego. Słuchajcie... Zamknijcie teraz oczy i zbudujcie mobil z tego, co ze sobą macie.

Obserwowała je, kiedy z poważnymi jak lament żałobny twarzami wyciągały z kieszeni rozmaite przedmioty. Panna Tyk znała się na czarownicach; wiedziała, że dziewczyny mają wrodzony talent magiczny, ale szkolenie czarownicy wymagało czegoś więcej niż odrobiny talentu. Musiała do niego dołączyć ciężka praca. Mnóstwo ciężkiej pracy. A nawet wtedy, jak wiedziała, nie będzie łatwo. Nie licząc wszystkiego innego, niezbędni są rodzice, którzy wesprą ich decyzje. W końcu córka może się przydać w domu, pomagać przy młodszym rodzeństwie albo na przykład pracować w rodzinnym gospodarstwie. I to jeszcze zanim padnie pytanie o wnuki. A zawsze padało... Zawsze.

Panna Tyk była również świadoma, że wiele można się o człowieku dowiedzieć na podstawie tego, co nosi w kieszeniach — a czasami równie wiele można wywnioskować z tego, czego tam nie ma. Ona sama zwykle trzymała w jednej mały kawałek sera — ciężko jest dobrze czarować o pustym żołądku.

— Nawet robak jest żywy — oznajmiła głośno. — Dlatego może pomóc trzymanie takiego w małym pudełeczku z kilkoma mokrymi liśćmi.

Nancy ściągnęła but.

— Mam w środku gąsienicę — wyjaśniła.

— Brawo — pochwaliła ją panna Tyk. — Miałaś szczęście, ale szczęście to tylko niewielka część czarownictwa.

Becky zrobiła smętną minę.

— Mam spinkę do włosów... Wolno mi jej użyć?

Panna Tyk westchnęła.

— Do swojego mobilu? Oczywiście, ale nadal potrzebujesz czegoś żywego. Motyla, mrówki albo czegoś w tym rodzaju. Ale pamiętajcie: nie wolno ich zabijać. Niech chodzą wolno.

— No dobrze — rzuciła Becky. Przez chwilę szukała w krzakach za sobą, aż podniosła dużą, zieloną i włochatą gąsienicę.

— Ściąga ode mnie... — uznała Nancy.

Panna Tyk zaśmiała się.

— Elementem czarownictwa jest spryt. Trzeba korzystać z oczu i uczyć się z tego, co widzimy. Brawo, Becky.

Powiedziała to, ponieważ Becky zręcznie obwiązała gąsienicę sznurkiem, który wyglądał, jakby był też zasupłany wokół jej palca; pozostałymi palcami starała się wcisnąć w mobil spinkę do włosów.

Nadąsana Nancy podniosła swoją gąsienicę, która wyraźnie usiłowała się zagrzebać w kłaczku wełny.

Zahuczał grom, zajaśniała błyskawica, a dziewczęta powiedziały równocześnie:

— To ja, z moim mobilem.

Panna Tyk znów się uśmiechnęła. Dlaczego ludzie tak bardzo chcą patrzeć na wschód słońca, tęczę, błyskawicę czy czarną chmurę, i czuć się za nie odpowiedzialnymi? Wiedziała, że gdyby któraś z dziewcząt naprawdę wierzyła, że potrafi kierować burzą na niebie, pewnie uciekałaby już do domu, krzycząc ze zgrozy — a matka musiałaby wyprać jej bieliznę. Mimo to trochę wiary w siebie to u czarownicy dobry początek.

— Proszę pani! Panno Tyk! — Becky z dumą pokazała swoje dzieło. Spinka do włosów płynęła teraz w powietrzu obok gąsienicy.

— Bardzo dobrze — pochwaliła ją panna Tyk. — Naprawdę bardzo dobrze.

— W takim razie co z moim? — spytała Nancy, kiedy jej mobil rozpadł się i kłębek owczej wełny spłynął na ziemię, z gąsienicą siedzącą na czubku jak czarownica na miotle.

Wystawiła palec i zdawało się, że z czubka strzelił ogień.

— Doskonale — pochwaliła panna Tyk. — Obie macie do tego smykałkę. Teraz musicie tylko się uczyć. Codziennie — oświadczyła surowo.

Ale naprawdę pomyślała: Tiffany z całą pewnością zechce się z wami spotkać.

\* \* \*

W Krainie Baśni grała muzyka — harmonijna melodia, której nuty wznosiły się w powietrze, a elf, wyciągnięty leniwie na cienkiej gałęzi niedaleko czubka kwitnącego drzewa, zabawiał się zamianą ich w kolory, tak że tańczyły nad głowami ku zachwytowi dworu. Niewiele trzeba, by wzbudzić zachwyt elfa. Dręczenie czegoś jest na ogół na szczycie listy, ale muzyka zajmuje drugie miejsce, z niewielką stratą.

Muzykiem był człowiek zwabiony do lasu przez czar elfiej harfy, a potem porwany, by grać, grać, grać dla lorda Groszka. Elfy potrafiły utrzymywać swoje zabawki przy życiu czasami przez długie tygodnie, a ten człowiek z fletem był rzeczywiście piękną zabawką. Groszek zastanowił się odruchowo, jak długo wytrzyma.

Ale był zadowolony. Jego wojownicy podejmowali krótkie wypady do ludzkiego świata i wracali z darami dla niego — takimi jak ten. A wiedział, że z każdą udaną wyprawą rośnie ich pewność siebie. Już wkrótce będą gotowi, by wykonać właściwy ruch...

Zmarszczył czoło. Powinien porozmawiać z Gorczyczką. Musi mieć pewność, że elf rzeczywiście wyrzucił z Krainy Baśni nędzne szczątki królowej. Nie życzył sobie... komplikacji.

\* \* \*

Tak jak uwielbiał obserwację natury, Geoffrey przyglądał się również ludziom. Uważał ich za fascynujących, więc patrzył przez cały czas i coraz więcej uczył się z tego, co zobaczył.

Jedną z rzeczy, które zauważył, to że starzy mężczyźni we własnych domach wydawali się stale wchodzić w drogę innym. Całkiem inaczej niż w rodzinnym domu Geoffreya, gdzie ojciec stanowczo wszystkim rządził. Tutaj, jeśli w życiu starszych mężczyzn istniały kobiety, to one dzierżyły władzę pod dachem — tak jak przez wiele lat, kiedy ich mężczyźni pracowali. I nie miały zamiaru tej władzy się wyrzekać.

Myślał o tym, kiedy się zjawił, by usunąć włosy w nozdrzach Żeglarza Makepeace’a — zadanie, którego nie lubiła nawet niania Ogg. Pani Sally Makepeace — zbyt krótkowzroczna, by operować nożyczkami w pobliżu mężowskiego nosa, jak tego dowiodła wcześ­niejsza próba — wydawała się dobrą kobietą, ale Geoffrey zauważył, że traktuje męża niemal jak element umeblowania. To chłopca zasmuciło. Ten człowiek, pływający niegdyś po morzach, z pewnością widział wiele ciekawych rzeczy, ale dzisiaj większość czasu spędzał w karczmie, ponieważ jego żona bez przerwy myła, czyściła, polerowała albo — gdy nie było alternatywy — odkurzała. Niewiele brakowało, żeby wyczyściła, wypolerowała i odkurzyła swego męża, gdyby tylko zbyt długo siedział na miejscu.

Geoffrey z wolna sobie uświadamiał, że karczma dla takich mężczyzn jest zarówno rozrywką, jak i sanktuarium. Któregoś dnia przyłączył się do nich i postawił wszystkim po kuflu, czym zwrócił na siebie uwagę. Potem on i Mefistofeles pokazali sztuczkę z liczeniem. Przy drugim kufelku staruszków ogarnął nastrój dobrotliwości, Geoffrey poruszył więc kwestię, która męczyła go od wielu dni.

— Wolno spytać, panowie, czym się zajmujecie?

Zareagowali śmiechem, a Rezerwuar Ślizg — człowiek, którego uśmiech, wbrew imieniu, nigdy nie ześlizgiwał się z twarzy — odpowiedział:

— Z całym szacunkiem, młody panie, możesz nazywać nas ludźmi niezależnymi.

— Jesteśmy jak królowie — dodał Wesołek Skośny.

— Chociaż bez zamków — zaznaczył Rezerwuar Ślizg. — No... Chyba że miałem jakiś i gdzieś go zapodziałem.

— I lubicie taką niezależność? — spytał Geoffrey.

— Niespecjalnie — odparł Klaps Drżączek. — Prawdę mówiąc, nie cierpię jej. Odkąd umarła moja Judy. Dzieci też nie mieliśmy...

Łza spłynęła mu z oka i zadrżał głos, co ukrył, pociągając łyk piwa.

— Ale miała żółwia, nie? — przypomniał Pomarszczony Joe, mężczyzna tak potężny, że mógłby podnosić krowy.

— To fakt — zgodził się Klaps. — Mówiła, że go lubi, bo nie chodzi szybciej niż ona. I dalej mam tego żółwia, ale to nie to samo. Nie bardzo się nadaje do rozmowy. Moja Judy cały dzień paplała o tym czy tamtym. Chociaż żółw całkiem uważnie słucha, a to więcej, niż dało się czasem powiedzieć o Judy.

Roześmiali się.

— Jak człowiek się zestarzeje, wpada pod rządy kiecek — stwierdził Śmierdziel Jim Jones.

Zadowolony, że rozmowa toczy się swobodnie, Geoffrey zapytał:

— Co pan ma na myśli?

Wszyscy mężczyźni westchnęli ciężko.

— To jest tak, mój parobku — rzekł Pomarszczony Joe. — Moja Betsy mówi mi, co mam jeść, kiedy i gdzie, a kiedy jesteśmy razem, skacze koło mnie jak kwoka. Całkiem jakbym był jeszcze dzieckiem.

— Wiem, jak to jest — wtrącił kapitan Makepeace. — Moja Sally jest cudowna i wiem, że zginąłbym bez niej. Ale widzisz... ujmę to tak: kiedyś byłem dowódcą, odpowiadałem za wielu ludzi, a kiedy pogoda była przerażająco fatalna, stałem na mostku i pilnowałem, żebyśmy się nie rozbili, bo to było moje zadanie jako kapitana. — Rozejrzał się, patrząc, jak pozostali kiwają głowami. Potem zwrócił się wprost do Geoffreya: — A co najlepsze, młody człowieku, byłem mężczyzną. A teraz? Moje zadanie to podnieść nogi, kiedy ona zamiata podłogę. To nasz dom, kocham ją, ale jakoś ciągle w czymś przeszkadzam.

— Wiem, o czym mówisz — rzekł Śmierdziel Jim. — Znacie mnie. Ciągle jestem niezłym stolarzem i szanują mnie w gildii, ale moja Molly denerwuje się, kiedy biorę narzędzia. I mówię wam, kiedy tak na mnie patrzy, ręce mi się trzęsą.

— A chciałby pan, żeby przestały? — spytał Geoffrey, choć sam widział, że Śmierdziel Jim podnosi kufel dłonią pewną jak skała. — Ponieważ, panowie, podsunęliście mi pewną myśl. — Przerwał na chwilę, z nadzieją, że będą go słuchali. — Mój wuj ze strony matki pochodził z Überwaldu i nazywał się Heimlich Schoppenhausen. Był pierwszym znanym człowiekiem, który miał „szopę”.

— Ja też mam szopę — zauważył Śmierdziel Jim.

— Bez urazy, ale tylko myśli pan, że ma — odparł Geoffrey. — Cóż bowiem się w niej znajduje? Są szopy dla kóz i szopy dla drobiu, ale szopy, o które mi chodzi, będą dla mężczyzn. To męskie szopy.

Teraz go słuchali. Zwłaszcza kiedy zawołał:

— Wypijmy za to, panowie! Po kuflu dla wszystkich, poproszę!

\* \* \*

Panie w okolicznych wioskach także polubiły Geoffreya. To wręcz niewiarygodne, ale w jego gotowości, by zatrzymać się i pogadać, w jego delikatnym uśmiechu i uprzejmym zachowaniu było coś takiego, co natychmiast podbijało ich serca.

— Pan Geoffrey jest zawsze taki spokojny. Nigdy się nie denerwuje, o nie, a mówi przepięknie. To prawdziwie wykształcony młodzieniec — tłumaczyła kiedyś Tiffany Betsy Hopper.

— A ten jego kozioł... — dodała pani Whistler, krzyżując swe imponujące ramiona pod jeszcze bardziej imponującym biustem. — Wygląda mi na złośliwego zwierzaka, ale za tym Geoffreyem drepcze spokojnie jak nie wiem...

— Szkoda, że z moim Joem nie może tak samo zrobić! — zachichotała Betsy, a potem razem z roześmianą panią Whistler odeszły ulicą.

Tiffany przyglądała się, jak odchodzą, i myślała o swoim parobku. Zastanawiała się, jak udaje mu się tak skutecznie wszystko łagodzić. Widywałam już takich, myślała: ludzi, którzy wydają się znać wszystkich. To oni kontrolują sytuację, rozwiązują konflikty. Powinnam zabrać go ze sobą, gdy pójdę odwiedzać domy. Przekonam się, co zrobi.

I tak następnego dnia Geoffrey usiadł z tyłu na miotle; szczera radość rozjaśniała mu twarz, kiedy Tiffany chwiejnie skierowała o wiele cięższy pojazd w stronę gór. Domy także się rozjaśniały, kiedy wchodził, tak pogodny i pełen życia. Potrafił żartować, potrafił śpiewać — i w jakiś sposób sprawiał, że wszystko stawało się... trochę lepsze. Płaczące dzieci zaczynały gaworzyć, zamiast wrzeszczeć, dorośli przestawali się kłócić, matki uspokajały się i słuchały jego rad.

Dobrze sobie radził ze zwierzętami. Młoda jałówka stała przed nim spokojnie, zamiast odbiegać ze strachu przed obcym. Koty zaglądały do pokoju i natychmiast decydowały, że jego kolana to najlepsze miejsce. Tiffany zobaczyła kiedyś, jak opiera się o ścianę chatki w lesie, gdy rodzina królików rozłożyła się u jego stóp — a równocześnie miał u nogi psa z farmy.

Niania Ogg obserwowała Geoffreya u boku Tiffany.

— Ma serce na właściwym miejscu — stwierdziła któregoś dnia. — Wyczuwam to. Wiesz, znam się na mężczyznach. — Zaśmiała się. — Swego czasu wielu widywałam, i możesz mi wierzyć, że w różnych sytuacjach. Nie powiem, że już teraz cenny z niego materiał, a niektóre inne czarownice nie będą zadowolone, że chłopak wchodzi do naszego fachu. Ale, Tiff, nie pozwól nikomu sobie mówić, co masz robić. Esme by się to nie podobało. Pamiętaj, ciebie wybrała na następczynię, a nie którąś z nich. I musisz też działać po swojemu. Nie tak jak ona. No więc, jak masz ochotę szkolić tego młodziaka, to tak zrób.

Tiffany coraz bardziej fascynował kozioł Geoffreya. Mefistofeles pojawiał się i odchodził, ale jeśli tylko nie odlecieli gdzieś z Geoffre­yem na miotle, zwykle kręcił się w pobliżu i Tiffany miała wrażenie, że kozioł pilnuje chłopca. Mieli swój kod — całkiem jakby zwierzę potrafiło mówić, stukając kopytkiem; czasami rozbrzmiewało prawdziwe staccato złożonych rytmów. Gdyby Mefistofeles był psem, byłby pointerem, myślała. Jego pan był jego przyjacielem i zły los czekał każdego, kto chciałby wykorzystać dobre serce Geoffreya — kopytka Mefistofelesa były niezwykle wręcz ostre.

Kiedy Geoffreya nie było, Mefistofeles robił, co chciał. Wkrótce skłonił kozy z zagrody przy domku babci Weatherwax, by spełniały jego życzenia. Niania Ogg wspomniała kiedyś, że widziała tego — jak go nazywała — „demonicznego kozła” w kręgu dzikich kóz na zboczu wzgórza. Nazwała go „Truchtem Ciemności” z powodu drobnych i błyszczących kopytek.

— Nie żebym go nie lubiła, chociaż cuchnie — stwierdziła. — Zawsze mi się podobały rogi, można powiedzieć. Kozy są sprytne. Owce nie są. Bez urazy, moja droga.

Tryumf Mefistofelesa — dowodzący, że niania miała rację pod oboma względami — nastąpił na granicy lasu otaczającego domek u stóp zbocza pobliskiej góry. Geoffrey przyjechał tam swoim wózkiem, żeby obejrzeć chłopca wymagającego leczenia.

W tym gospodarstwie tego konkretnego dnia matka chłopca przyglądała się, co robi Geoffrey. Zdenerwowana i niespokojna o syna, zostawiła otwartą bramę do zagrody owiec. A owce, jak to owce: wpadły w histerię i wybiegły, zanim kobieta wyjrzała przez okno i cokolwiek zauważyła.

— Mężowi się to nie spodoba. Całe wieki miną, zanim owce znów wrócą do zagrody — jęknęła młoda matka. — Patrz tylko, jak się rozbiegły!

Geoffrey wysunął głowę przez okno i cmoknął na Mefistofelesa, którego wyprzągł z wózka, żeby spokojnie gryzł trawę. Kozioł przestał jeść — a co zdarzyło się potem, usłyszeli wszyscy w Lancre. Konkretnie: kozioł Mefistofeles zagonił owce niczym najlepszy z psów. Choć miały nad nim przewagę liczebną, to starannie — jedną po drugiej — doprowadził je kolejno do zagrody.

Kiedy matka opowiedziała mężowi, że kozioł nie tylko zagnał owce z powrotem, ale też zamknął za nimi bramę, mężczyzna uznał, że to już przesada, ale za to dobra historia do opowiadania w karczmie. I w ten sposób legenda Mefistofelesa krążyła coraz szerzej.

Geoffrey i niania Ogg opowiedzieli o tym Tiffany. Jeśli dodać pomoc udzieloną choremu chłopcu, dzień należało uznać za udany. Jednak Tiffany niepewnie zerkała w szczeliny źrenic Mefistofelesa. Znała kozy. Ale ten kozioł miał swój rozum, była tego pewna. Zauważyła, że też ją obserwuje. I zerka na Ty, która także mu się przyglądała, udając oczywiście, że patrzy w całkiem inną stronę. Wszyscy obserwują wszystkich, uznała Tiffany. Uśmiechnęła się. I podjęła decyzję.

Następnego ranka odeszła z Geoffreyem na bok i wyjaśniła, że musi mu powiedzieć coś ważnego.

— Jest taka sprawa... — zaczęła. — Mam... małych przyjaciół, którym chcę cię przedstawić. — Zawahała się. — Rob! — zawołała. — Wiem, żeś tu jest, i proszę, żebyś zaraz się pokazał! — Zastanowiła się. — Mam tu dla ciebie trochę jabłkownika!

Ustawiła na podłodze kubek z kilkoma kroplami trunku.

Coś nagle zamigotało, błysnęły rude włosy i Rob Rozbój stanął przy nich z lśniącym mieczem w dłoni.

— Rob, chcę, żebyś poznał... Geoffreya — oświadczyła wolno Tiffany i obejrzała się, by sprawdzić, jak chłopak zareaguje na widok Feegla.

Rob jednak całkiem ją zaskoczył.

— Aha, ten ciut chłopecek. Juze go znomy — oświadczył.

Geoffrey się zarumienił.

— No więc... Spałem w starej szopie — wyjaśnił. — A ci dżentelmeni uprzejmie ustąpili mi miejsca.

Tiffany była zaszokowana: Geoffrey spotkał już Feeglów! Jak mogła tego nie wiedzieć? Przecież jest czarownicą! Powinna wiedzieć...

— Ale... — zaczęła, kiedy pojawili się następni Feeglowie: jeden zjechał na sznurku z belki stropowej, inny wyjrzał zza poręcznego kubła, cała grupka wysunęła się z jakiegoś kąta i ustawiła w półkole przy kubku jabłkownika na podłodze.

— Zoden kłopot. — Rob machnął ręką. — Mielimy bardzo ciekawe dyskusyje, wis, kiedy ty w tej nocnej kosulinie ześ se lezoła i społa.

— Ale coły cos ześmy cie pilno... mmpf mmpff... — Rob przycisnął dłoń do ust Tępaka Wulliego.

— W nocnej koszuli? — zaczęła Tiffany, ale zaraz zrezygnowała. To przecież nie miało sensu. Feeglowie i tak zawsze będą jej pilnować, a gdyby miała wybierać między życiem z Feeglami i bez Feeglów, cóż... decyzja była całkiem łatwa.

— Nie pseskadzo ci, pani? — upewnił się Rob, szurając trochę nogami, jak zawsze, kiedy czekało go Tłumaczenie. — Jeannie mówi, co mas tego chłopecka tutaj i ze łon jest skarbem. I psecie wis, co Feeglowie robią ze skarbami. Isto, musimy je capnąć.

Feeglowie jak jeden westchnęli z rozkoszą.

Tiffany przysunęła im kubek.

— Tego skarbu nie ukradniecie. Ale wim... znaczy myślę... że może czas, by Geoffrey spotkał się z keldą.

\* \* \*

Deszcz padał gęsty i teraz suszyli się przy wielkim ognisku w kopcu. Geoffrey był zachwycony podróżą i wyraźnie mu nie przeszkadzało, że musiał się przedzierać przez krzaki i wciskać do kopca Feeglów.

Kręcił się mimowolnie[[29]](#footnote-29), gdyż wpatrywał się w niego cały klan. A zwłaszcza Maggie, najstarsza córka Jeannie, która dzielnie wepchnęła się do komory, żeby zobaczyć wielką ciut wiedźmę i jej przyjaciela. Przeczesała palcami ogniste włosy i najlepiej jak potrafiła wydęła wargi.

Jeannie westchnęła. Już wkrótce córka będzie musiała odejść — może być tylko jedna kelda.

I kiedy to pomyślała, Rob wyciągnął ręce, a Maggie przecisnęła się przez komorę, by usiąść obok niego.

— Moja córecka Maggie. — Rob z dumą przedstawił ją Geoffreyowi. — Jus niedługo łodejdzie łod nas do swojego klanu, bo jest duzom dziouskom.

Maggie zjeżyła się.

— A nie mogę tu łostać? — spytała, specjalnie dla ojca przemawiając najlepszym głosikiem małej córeczki tatusia. — Podobo mi sie tu, wis, a nie kcem mieć męza... — Wymówiła to słowo, jakby chodziło o coś obrzydliwego. — Ani dzieciocków. Kcem być wojownikiem.

Rob zaśmiał się.

— Ale ześ jest dziouskom, Maggie — powiedział i niespokojnie zerknął na Jeannie. Nie przekazała Maggie tajułek? Nie nauczyła wszystkiego, co trzeba wiedzieć, żeby być keldą we własnym klanie?

— Ale jo wim, jako się walcy — oświadczyła nadąsana Maggie. — Spytej ino Ciut Dugiego Nochala... Łostro łoberwał, kiedy ześmy łostatnio mieli ciut bójke.

Ciut Dugi Nochal — jeden z chudszych dorastających synów Roba — zakłopotany szurnął nogą w kącie i zwiesił głowę tak, że tylko nos pozostał widoczny, kiedy paciorki w warkoczykach opadły mu na podbródek.

— I zem gadała z Ropuchem[[30]](#footnote-30) — dodała Maggie. — A łon mówi, co nie muse iść za tradycjom. Wis, to moje Prawo Cłeka.

— Ale ześ nie jest cłekiem — zirytowała się Jeannie. — I dosyć jus tych gupot. Idźze terozki i psynieś nasemu gościowi kawałek baraniny z nasą specjalną psyprawą.

Tiffany wiedziała o przyprawie Feeglów. Jej kluczowym składnikiem były ślimaki.

— Ślimaki — mruknęła cicho do Geoffreya, kiedy Maggie żachnęła się i odeszła.

Ku zdumieniu Tiffany, młoda feeglowa dziewczyna żachnęła się dokładnie tak, jak niedawno pani Skorek. Poza oczywistą różnicą, że Maggie miała pięć cali wzrostu, podczas gdy pani Skorek była wysoka jak ojciec Tiffany.

Jeannie miała znakomity słuch jak na tak małą kobietkę.

— Ano. Aze dziw bieze, co moi chłopcy potrafią zrobić ze ślimakami, sama wis — powiedziała. — Nawet ślimacą whisky umieją pędzić.

Geoffrey uśmiechnął się uprzejmie.

— Bardzo ci dziękuję, keldo — rzekł. — Ale nie jadam niczego, co wcześniej biegało, pływało albo pełzało po ziemi. Dotyczy to również ślimaków. Wolę, żeby dalej sobie żyły.

— Właściwie to Feeglowie hodują ślimaki — wyjaśniła Tiffany. — Każdy musi jakoś żyć, Geoffreyu. Nie ma innego wyjścia.

— Rzeczywiście — zgodził się chłopak. — Ale nie kosztem innych.

Jeannie pochyliła się z błyszczącymi oczami; położyła na ramieniu chłopca swą małą dłoń barwy orzecha. Wszystko znieruchomiało na moment, gdy kelda i Geoffrey spojrzeli sobie w oczy.

— Kiedysik wielu było takich jako ty — odezwała się wreszcie Jeannie. — Miała zem rację. Widziała zem cię w moim kociołku i widziała zem, ześ jest z tych, co mogą pserwać walkę, psynieść pokój... — Odwróciła się do Tiffany. — Scez go, Tir-far-thóinn, bo to skarb.

\* \* \*

Kiedy wracali na farmę, by napić się herbaty, Tiffany myślała o słowach keldy. Przerwać walkę... Przynieść pokój... Być może takie właśnie umiejętności będą potrzebne.

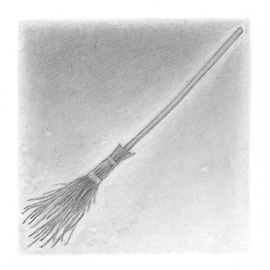
Dreszcz przebiegł jej po grzbiecie — taki paskudny dreszcz, który był niczym trudne do zignorowania ostrzeżenie, że wkrótce ma się wydarzyć coś strasznego. Z drugiej strony, myślała, może to tylko ciało próbuje jej zasugerować, że jeśli można prosić, to może następnym razem zrezygnowałaby ze ślimaczej przyprawy... Jak mogła, starała się odepchnąć niepokojące przeczucie; skupiła się więc na Geoffreyu. Strzeż go, to skarb... Jeannie ma rację co do niego, uznała. Może są rzeczy, które taki chłopak zdoła załatwić najlepiej.

I wtedy właśnie, w drodze, podjęła decyzję: wyruszy do Ankh-Morpork i zabierze Geoffreya ze sobą. I tak już nadeszła pora, by — jako ktoś w rodzaju głównej czarownicy — odwiedzić miasto. Bo gdyby na przykład miejskie czarownice słyszały o niej i uważały, że zadziera nosa? Powinna o tym wiedzieć. A cichy głos szepnął w głowie: może zdołam też zobaczyć się z Prestonem...

Starała się uciszyć tę myśl. Ta wyprawa nie dotyczyła jej osobiście. Chodziło o to, że jest czarownicą, że musi robić to, co należy... Tak właśnie powie niani Ogg, kiedy ją zawiadomi, że nie będzie jej kilka dni. Jednak nadzieja na spotkanie z Prestonem wciąż powracała i sprawiała, że Tiffany czuła jakby... mrowienie.

Geoffrey wyprzedził ją trochę, ale wrócił, kiedy go zawołała. Spojrzał pytająco.

— Geoffreyu — rzekła. — Jutro wyruszymy, żeby zdobyć dla ciebie twoją pierwszą miotłę.



Rozdział jedenasty

W WIELKIM MIEŚCIE

Podróż do Ankh-Morpork była tak długa, że Tiffany i Geoffrey musieli po drodze szukać noclegu. Jedną noc spędzili w chatce miejscowej czarownicy, drugą w stodole, której właściciel był zachwycony, kiedy Geoffrey pomógł mu z kłopotliwą kozą. Ale wreszcie dotarli do celu, do wielkiego miasta. Tiffany patrzyła, jak Geoffrey rozdziawia usta, kiedy ostrożnie sunęli wzdłuż rzeki Ankh do samego serca metropolii. No cóż, myślała sobie, mówił, że chciałby zobaczyć świat. Ankh-Morpork to dobry początek.

Ale i ona była zdumiona, kiedy dotarli do dawnego warsztatu mioteł i skierowano ich pod nowy adres. Kolej żelazna była jeszcze w powijakach, a już pojawiły się lokale w nasypach pod wiaduktami.

W rozległych przestrzeniach pod przęsłami ukrywa się swego rodzaju magia, oraz sekrety znane tylko tym, którzy tu pracują. Na ziemi zawsze połyskują kałuże, nawet jeśli od tygodni nie padał deszcz, a woda w nich jest oleista i lśniąca; powietrze ma aromat oleju i potu ludzi pracy.

Łatwo jest rozpoznać mieszkańca kolejowych wiaduktów. Jest to człowiek (mężczyzna, bardzo rzadko kobieta), który przydatne gwoździe trzyma w słojach po dżemie i potrafi przez dłuższy czas opowiadać o zaletach rozmaitych smarów czy przekładni; niekiedy przechodzień usłyszy ciche: „Mogę to dla pana załatwić na przyszły tydzień”. Czasami słowom tym towarzyszy porozumiewawcze spojrzenie i znaczące stuknięcie palcem w bok nosa.

Jeśli ktokolwiek zajrzy i zapyta o cokolwiek, zawsze znajdzie się ktoś, często krasnolud, kto wie, gdzie dana rzecz się znajduje — i prawie zawsze znajduje się w głębi komory, w ciemnościach doprawdy stygijskich. A gdy już właściwy element zostanie odszukany i dostarczony, cóż, niektórzy mogliby go nazwać kawałkiem złomu, jednak pod wiaduktem złom przekształca się w jakiś sposób w to, czego nabywca naprawdę, ale tak naprawdę potrzebuje — nikt nie wie dlaczego. Całkiem jakby przedmiot po prostu czekał, aż zjawi się właściwa osoba.

Krasnoludy Shrucker i Dave przeniosły swój znany warsztat miotlarski pod drugi łuk w rzędzie, zaraz za takim, z którego atakowały uszy dziwaczne dźwięki instrumentów muzycznych, a przed tym, gdzie w nozdrza przechodniów uderzał radośnie zapach świeżej skóry z warsztatu rymarza.

To Dave rzucił się na spotkanie Tiffany, kiedy weszła, prowadząc za sobą Geoffreya. Rozpoznał ją natychmiast — przeżył trudne chwile, kiedy odwiedziła ich rok czy dwa lata temu i wygadała się, że zna Feeglów[[31]](#footnote-31). Kiedy bowiem Feeglowie zalęgną się w warsztacie krasnoludów, to właściciele mogą właściwie spakować rzeczy i wracać w góry. I zabrać ze sobą wielki topór.

Tiffany zauważyła, że Dave rozgląda się nerwowo.

— Nie martwcie się, nie przyprowadziłam ze sobą żadnych Nac Mac Feeglów — powiedziała.

Wiedziała jednak, że ta wypowiedź nie musi być ścisła, bo chociaż wyjaśniła Robowi Rozbójowi, że leci w wiedźmich sprawach i misją Feeglów jest zostać na miejscu, i tak nie była pewna, czy któryś nie ukrył się w gałązkach miotły i nie wyskoczy nagle, wywijając jakimś patykiem i wrzeszcząc „Łojzicku!”. Jednak kiedy zapewniła, że jest sama, usłyszała westchnienie ulgi i krasnolud niemal się uśmiechnął.

Tiffany odsunęła się przed kapiącą ze stropu wodą i dodała:

— To jest Geoffrey i przyszliśmy, żeby dopasować dla niego miot­łę. — Spojrzała wzdłuż linii przęseł. — Nie tak łatwo was teraz znaleźć — zauważyła. — To znaczy wasz nowy warsztat.

Dave z uwagą przyglądał się Geoffreyowi.

— Dobre dla nas miejsce — odparł. — Dostawy docierają szybciej. I łatwiej mi odwiedzić mamę. Chociaż to długa podróż.

Kłąb dymu z pociągu sunącego po wiadukcie niemal całkowicie okrył krasnoluda i Geoffreya; kiedy Tiffany znowu zobaczyła ich wyraźnie, Dave — z twarzą ubrudzoną sadzą — zdecydował już, co będzie chłopcu potrzebne.

— Myślę, że numer trzy — stwierdził. — Wydaje mi się, że mamy jeszcze jedną na stanie. Wiecie, najlepsza wersja. Drewno sprowadzane aż z Ramtopów. Takie specjalne magiczne drewno. — Pogładził brodę, strzepnął popiół z nosa i obszedł Geoffreya dookoła. — No więc szkolisz się na maga, mały?

Geoffrey nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć i obejrzał się na Tiffany. Czy powinien wyjaśnić, że chce zostać czarownicem?

— Nie — rzekła Tiffany; jak to czarownica, odpowiedziała za chłopaka. — Mój przyjaciel jest tkaczem spokoju.

Krasnolud poskrobał się po żelaznym hełmie i popatrzył na Geoffreya jeszcze raz.

— Aha... A co tacy robią, panienko?

Tiffany zastanowiła się.

— W tej chwili Geoffrey tylko mi pomaga — oświadczyła. — I dlatego, drodzy panowie, potrzebna mu miotła.

Trzymała w rękach dwie miotły, własną i drugą, którą teraz podsunęła krasnoludowi.

— Ale nie chcę nowej — zapewniła. — Wiecie, że my, czarownice, przekazujemy swoje następnym. No więc mam tę miotłę i jeśli trochę się ją naprawi, dobrze posłuży mojemu przyjacielowi.

Słowo „naprawi” wywabiło z głębi warsztatu Shruckera. Wyglądał, jakby był obrażony.

— Naprawi? — jęknął. Był wyraźnie przekonany, że ktokolwiek rezygnuje z ich oferty na nowe miotły, traci życiową okazję. — Chcesz, żeby chłopak zaczynał karierę z używaną miotłą? — A potem zobaczył ją, zakołysał się na nogach i chwycił za głowę. — To... to miotła babci Weatherwax — powiedział. — Sławna jest...

— A więc wyzwanie — odparła natychmiast Tiffany. — Czy może to dla panów za trudne zadanie? Myślę, że znajdę innych specjalistów...

— Ale skąd ten pośpiech? — Shrucker zdjął hełm i wełnianą szmatką przetarł czoło. Zapalił fajkę, dając sobie chwilę czasu do namysłu, po czym zbadał miotłę.

— Bardzo będę wdzięczna — zapewniła Tiffany.

Shrucker cmoknął przez zęby, jak zwykle robił.

— No tak... — mruknął wreszcie. — Mógłbym ściągnąć osłonę. Może dać nowy kij?

— Jeden z naszych kijów dla dżentelmenów — dodał Dave. Znacząco postukał palcem w bok nosa. — Wiecie, z takim specjalnym wycięciem na... delikatne części ciała. O wiele wygodniejsze loty dla chłopaka.

— Zawsze chciałem dostać w ręce tę miotłę — rzekł Shrucker. — Popracować nad nią jak należy. Ale krasnoludy w górach mówiły, że pani Weatherwax zawsze żądała...

— Partaniny — wtrącił Dave. Zmarszczka rozcięła mu czoło, jakby samo słowo sprawiało ból.

— No cóż... — odparła Tiffany. — Nie jestem nią, ale zawsze warto się zaprzyjaźnić z dowolną czarownicą. — Uśmiechnęła się słodko. — W tej chwili mam przyjazny nastrój... ale później mogę nie mieć.

Słowa te zabrzmiały tuż przed dogodną pauzą, kiedy potężny huk zapowiedział następny przejeżdżający górą pociąg; dym i sadza kłębiły się w powietrzu.

— Pani Weatherwax istotnie była bardzo znaczącą damą — przyznał ostrożnie Shrucker, kiedy już ucichł hałas.

— Słyszałem też, że nigdy nie płaciła rachunków — dodał ponuro Dave.

— Mam pieniądze — zapewnił Geoffrey.

Milczał aż do teraz, pozwalając Tiffany przemawiać w swoim imieniu, ale w końcu to miała być jego miotła.

Tiffany zauważyła, że krasnoludy z uśmiechem unoszą głowy, a Shrucker ledwie się powstrzymał, by nie zatrzeć rąk.

— Trochę pieniędzy — zaznaczyła ostro. — Jednak nie chcę, żeby mój przyjaciel musiał ich używać. Obiecałam, że wszystko załatwię. Ale coś wam powiem: zapłacę w zobsach.

Zobsy były nieformalną walutą krasnoludów. Po co marnować złoto? Ludzie nazwaliby je „przysługami”; siła waluty podlegała negocjacjom. Zobowiązanie czarownicy miało wyjątkową wartość i Tiffany zdawała sobie z tego sprawę.

— Słuchajcie, przecież ta miotła jest jeszcze w całkiem dobrym stanie... — dodała.

Shrucker usiadł ciężko na skrzyni pełnej kłujących gałązek[[32]](#footnote-32).

— Zabawne, że proponujesz zobsy — oświadczył powoli. — Bo wiesz, dobija mnie lumbago. To skutek roboty tutaj... Możesz coś z tym zrobić?

— No dobrze — odparła Tiffany. — Nie ruszaj się.

Stanęła mu za plecami. Shrucker pokręcił się trochę, a potem wyprostował, z wyrazem zdumienia na twarzy.

— Oj... Jak to zrobiłaś?

— Zabrałam twój ból — wyjaśniła. — Więc teraz jest mój. I muszę ci pogratulować, jak dobrze sobie radziłeś, bo trzeba przyznać, że jest paskudny. Teraz wisi tu w powietrzu. Trzymam go jak psa na smyczy.

Oba krasnoludy odruchowo spojrzały ponad jej głowę, jakby licząc, że zobaczą tam wielki balon z napisem BÓL. Ale tylko kropla jakiejś oleistej substancji spadła akurat prosto w brodę Dave’a.

— Czy pod tym wiaduktem macie jakiegoś kamieniarza? — spytała Tiffany, kiedy krasnolud zerwał hełm i zaczął palcami gmerać w brodzie. — Gdyby chciał rozłupać jakiś głaz, mogłabym użyć tego bólu... — Z aprobatą spojrzała na hełm. — Ale to wystarczy.

Dave położył hełm na ziemi, a ona pchnęła ból w żelazo. Ku przerażeniu krasnoluda, wygięło się, a w górę strzelił obłok pary, łącząc się ze spływającą z torów.

Zobsy zostały spłacone. A więc, już bez bólu, Shrucker — nowy, wyprostowany, energiczny — zabrał się do pomiarów. Dokładnie obejrzał Geoffreya i starą miotłę, wykonując jakiś własny rodzaj magii.

— Jak się pan ubiera, drogi panie? — zapytał w pewnej chwili.

Geoffrey się zdziwił.

— Zwykle ubieram się, wyglądając przez okno.

Prace na chwilę zamarły, gdyż oba krasnoludy tłumaczyły chłopcu, co w tym kontekście znaczy „ubieranie”.

— No tak — przyznał. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Shrucker roześmiał się głośno.

— No, to już chyba koniec — stwierdził. — Teraz wszystko w moich rękach. Ale sądzę, że jeśli wrócicie tu jutro, miotła będzie działać bez zarzutu.

\* \* \*

Kiedy zostawili warsztat krasnoludów, Tiffany oznajmiła, że teraz wybiorą się w odwiedziny do pani Proust, czarownicy, która kocha życie w mieście. A potem skierowała się do Centrum Humoru i Żartu „Boffo” przy ulicy Dziesiątego Jajka. Dla Geoffreya będzie to kształcące, myślała. Jeśli postanowi podążyć czarowniczą ścieżką, któregoś dnia może potrzebować Boffo — wiele młodszych czarownic ceniło sztuczne czaszki pani Proust, kociołki oraz kurzajki, pomocne w uzyskaniu właściwego wizerunku dla pełnionej funkcji. Dla kogoś w potrzebie, kogoś zepchniętego tak nisko, że na pozór nie miał już powrotu, czarownica o odpowiednim wyglądzie może sprawić cuda. Pomaga uwierzyć.

Pani Proust — która nie musiała używać szpecących akcesoriów, ponieważ została pobłogosławiona odpowiednio haczykowatym nosem, naturalnie rozczochranymi włosami i poczerniałymi zębami — usłyszała żartobliwy cmentarny zgrzyt otwieranych drzwi i wybiegła im na spotkanie.

Tiffany się roześmiała.

— To nowy odgłos... — zauważyła.

— Tak — zgodziła się pani Proust. — Błyskawicznie znika z półek. Miło cię widzieć, pani Obolała. A kim jest ten młody człowiek, jeśli wolno spytać?

— To Geoffrey, pani Proust, a jesteśmy w mieście, żeby dopasować mu miotłę.

— Naprawdę? Chłopcu? Miotłę? Jak czarownicy?

— No przecież nadrektor też czasem używa miotły...

— Wiem — przyznała pani Proust. — Ale mogą być kłopoty.

— Jeśli ktoś będzie miał kłopoty, to ja. Zostałam wybrana na następczynię babci Weatherwax i uważam, że nadeszła pora na pewne zmiany.

— Brawo — pochwaliła ją starsza czarownica. — Odważne słowa.

Spojrzała na Geoffreya, pochłoniętego wystawką dowcipnych psich kupek. A potem podeszła do niego i położyła mu na ramieniu szponiastą dłoń.

— Więc chcesz zostać czarownicem, tak? — spytała.

Geoffrey zachował absolutny spokój. Tiffany była pod wrażeniem. Pani Proust także.

— No więc, proszę pani... — zaczął. — Wydaje mi się, że potrafię pomóc czarownicom, tak czy inaczej.

— Doprawdy? — Pani Proust przyjrzała mu się z błyskiem w oku. — Przekonamy się, młody człowieku, nieprawdaż... — Odwróciła się do Tiffany. — Jestem pewna, że niektóre czarownice będą tym oburzone. Ale to twoja decyzja, Tiffany, twój czas. Esme Weatherwax nie była głupia. Potrafiła zajrzeć w przyszłość.

— Musimy zostać w Ankh-Morpork, dopóki krasnoludy nie skończą z miotłą Geoffreya — wyznała Tiffany. — Możemy się u pani zatrzymać? Będziemy potrzebowali noclegu.

Pani Proust uśmiechnęła się szeroko.

— Mam dość miejsca w pokoju gościnnym, a miło będzie pogadać, kiedy tu jesteś. — Spojrzała na Geoffreya. — Byłeś już kiedyś w mieście, młodzieńcze?

— Nie, pani Proust — odparł cicho. — Mieszkaliśmy we Włościach i tylko ojciec podróżował.

— W takim razie mój syn, Derek, pokaże ci okolicę — stwierdziła z satysfakcją.

Zawołała głośno. Po chwili Derek — chłopak, którego nikt by nie zauważył w tłumie, nawet dwuosobowym, co oznacza, że wyglądu nie odziedziczył po matce — wyszedł z warsztatu na dole, potykając się.

Ankh-Morpork, uznała Tiffany, będzie z pewnością ciekawą lekcją.

Kiedy chłopcy wyszli, znów odezwała się pani Proust.

— No więc jak układają się sprawy z twoim młodym człowiekiem, Tiffany?

Tiffany westchnęła. Czy starsze czarownice muszą być takie wścibskie? Ale zaraz pomyślała: Przecież wszystkie czarownice są wścibskie. To należy do zawodu.

Uspokoiła się. Przynajmniej pani Proust nie próbuje znowu wcis­nąć jej Dereka.

— To jest tak... — zaczęła. — Lubię Prestona i on też mnie lubi. Jest moim najlepszym przyjacielem. Ale nie jestem pewna, czy któreś z nas jest, tak jakby... gotowe na coś więcej. Wie pani, on robi wiele ważnych rzeczy w szpitalu, pisujemy do siebie, nawet się czasem spotykamy... — Przerwała na moment. — Mam wrażenie, że i on, i ja wzięliśmy śluby z naszą pracą. — Przełknęła ślinę. Miała uczucie, że coś ścisnęło jej gardło. — To nie tak, że nie chcemy być razem... to znaczy ja... ale...

Głos ucichł. Tiffany wyglądała całkiem żałośnie.

Pani Proust starała się wyglądać współczująco, na ile mogła.

— Nie jesteś pierwszą czarownicą, która ma taki problem, skarbie — powiedziała. — I nie będziesz ostatnią…

Tiffany czuła wzbierające w oczach łzy.

— Ale dlaczego tak się czuję? Wiem, że część mnie chce być z Prestonem... a moja rodzina byłaby wtedy taka szczęśliwa... Ale chcę też być czarownicą. Jestem w tym dobra. Wiem, że to okropne, mówić w ten sposób, ale porównuję się z innymi i wiem, że w czarownictwie jestem lepsza niż większość. Nie mogę tego nie robić. — Łza zagroziła, że spłynie jej po policzku. — Tak samo jak Preston nie może nie być lekarzem — dokończyła smutnie.

— Och, rozumiem — zapewniła ją pani Proust. — Ale tak jest dzisiaj. Wkrótce nadejdzie jutro i wszystko może się zmienić. To się zdarza, zwłaszcza u młodych, kiedy oboje chcą się zajmować czym innym. Po prostu wykonujcie pracę, którą macie przed sobą, i cieszcie się z niej. Oboje macie jeszcze przed sobą przyszłość i wiele możliwości. Jak mój Derek.

— Ale na tym polega kłopot. Właściwie to ja wcale nie chcę wielu możliwości. Wiem, co chcę robić. Cieszy mnie ta praca, naprawdę. — Ostatnie słowo zabrzmiało raczej jak pisk. — Chciałabym tylko, żeby Preston był ze mną — dodała ciszej. — A nie tutaj, w mieście.

— Ale sama mówisz, że uczy się tu na doktora — przypomniała pani Proust. — I kocha swoją pracę. Nie chciałabyś chyba, żeby zrezygnował z niej dla ciebie, prawda? No więc nie martw się na zapas. Uznaj, że miałaś szczęście, i nie staraj się wyprzedzać świata. Jest takie powiedzenie: Nie popychaj rzeki. Choć oczywiście w Ankh-Morpork możesz ją pchać bardzo mocno — dodała, chichocząc[[33]](#footnote-33). I podjęła, bardziej już pocieszającym tonem: — Może za rok czy dwa ten twój młody człowiek będzie doktorem w tym samym miejscu, gdzie ty będziesz czarownicą. Ja miałam swojego pana Prousta, ty możesz mieć swojego Prestona. Tyle że nie od razu.

— Ale kiedy odwiedzam ludzi w domach — powiedziała cicho Tiffany — widuję też niektóre małżeństwa i one, no... one nie są naprawdę...

Urwała. Zdanie zawisło w powietrzu.

— Są przecież szczęśliwe małżeństwa — zauważyła pani Proust. — Pomyśl o swoich rodzicach. Czy nie są razem szczęśliwi? A teraz pozwól, że ciocia Eunice ci trochę pomoże. Idź do tego swojego chłopca i porozmawiaj z nim. — Zastanowiła się i spytała chytrze: — Nie interesuje się nikim innym, przypadkiem?

— Ależ nie — zapewniła Tiffany. — Pracuje z Igorami[[34]](#footnote-34) i mówił, że nie podobają mu się igorowe panny. Woli, kiedy dziewczyna zachowuje codziennie ten sam kształt. Bo Igoriny lubią eksperymenty.

\* \* \*

Geoffrey z Derekiem wrócili późno, śpiewając piosenkę godną niani Ogg, ale Tiffany dobrze się wyspała — w pełni wykorzystała rzadką po temu okazję. Na śniadanie zjadła usmażoną przez panią Proust jajecznicę na szynce. I kiedy Geoffrey z Derekiem jeszcze spali, postanowiła odwiedzić Prestona. Słowa starej czarownicy zapadły jej w pamięć.

Szybko dotarła do szpitala lady Sybil przy Gęsiej Bramie, ale dziwnie niepewna, zatrzymała się przed wejściem. Nie uprzedzała Prestona, że wybiera się do miasta. Czy jej wizyta będzie dobrze przyjęta, czy może...

Szpital był darmowy, więc przed drzwiami czekała spora kolejka ludzi, liczących na pomyślny wynik spotkania z lekarzem, zanim pojawi się stary Kostuch ze swoją kosą. Wyglądało na to, że przez dłuższy czas nikt nie ruszy się z miejsca, więc Tiffany zrobiła coś, o czym wiedziała, że nie powinna: wyszła z własnego ciała, pozostawiając je skromnie stojące przed drzwiami. Dla czarownicy sztuczka nie była trudna, ale jednak niebezpieczna i Tiffany właściwie nie miała powodu, by podejmować ryzyko. Oprócz może... dziewcząt Igorów. Były piękne... w każdym razie jeśli człowiek przymknął oko na eleganckie szwy.

Przesunęła się dyskretnie wzdłuż kolejki, starając się ignorować swoje Pierwsze, Drugie, a nawet Trzecie Myśli. Wśliznęła się do wnętrza szpitala i dryfowała korytarzami, aż znalazła Prestona.

Był w swoim żywiole, całkowicie skupiony na pacjencie z niepokojącą dziurą w brzuchu — a kiedy Preston w skupieniu coś obserwował, to wiedziało, że jest obserwowane; miało wręcz ochotę stanąć na baczność i zasalutować. Szczególnie dotyczyło to pewnych używanych przez Igory części zamiennych — niepokojące zjawisko. Poza tym rzeczywiście, Prestona otaczały Igory. I tak, były wśród nich dziewczęta. Ale — wspaniały widok — nie zwracał na nie uwagi.

Tiffany odetchnęła z ulgą, a potem — słuchając Drugich Myśli, które strofowały ją tonem nieprzyjemnie podobnym do głosu babci Weatherwax — śmignęła z powrotem do swego ciała, które zachwiało się trochę, kiedy na nowo przejęła nad nim kontrolę.

Kolejka przesunęła się o kilka cali, ale szpiczasty kapelusz pozwolił Tiffany przejść na sam front, a tam portier wpuścił ją natychmiast. Machnęła tylko ręką, kiedy zaproponował, że wskaże jej drogę, i pewnym krokiem odeszła korytarzem.

— Nie powiedziałem jej nawet, gdzie on jest — mruczał do siebie portier. — Prawdziwa czarownica, nie ma co...

W szpitalu bowiem aż nazbyt łatwo było pomaszerować gdzieś pewnie, a znaleźć się w piwnicach — obecnie zajętych przez gobliny, które obsługiwały wielkie bojlery, a także prowadziły warsztat wytwarzający najlepsze narzędzia chirurgiczne.

Jednak większość pacjentów opuszczała szpital samodzielnie i ten odsetek wciąż wzrastał.

Preston bardzo się ucieszył na widok Tiffany.

— Słyszałem o babci Weatherwax — powiedział. — Świetnie, że zostałaś naczelną czarownicą, na nikogo lepszego nie mogło trafić. Wolno ci teraz mówić innym czarownicom, co mają robić?

— Coś ty! — zaśmiała się Tiffany. — To jak prowadzenie stada goblinów. Chociaż nie, z goblinami jest łatwiej. W każdym razie układ jest taki, że ja im nie mówię, co robić, a one pozwalają mi ciężko pracować. Tak jak lubię.

— To tak jak ze mną i Igorami — stwierdził Preston. — Ale też mam dobre wiadomości. Doktor Lawn ostatnio dał mi awans na chirurga. Zwykle tylko Igory mogły być chirurgami, więc to prawdziwy sukces.

Tiffany pocałowała go.

— Rzeczywiście dobra wiadomość — przyznała. — Jestem z ciebie dumna. Ale chciałabym, żeby dawał ci więcej wolnego... żebyś mógł przyjechać i się ze mną zobaczyć. Listy nie przekazują wszystkiego... — Głos jej zadrżał. — Chociaż uwielbiam twój styl...

— Ja też lubię twoje listy — zapewnił Preston. — I chciałbym częściej wracać. Ale kocham swoją pracę tutaj, Tiffany. Ludzie mnie potrzebują, każdego dnia. Mam talent i byłoby zbrodnią, gdybym z niego nie korzystał.

— Wiem. — Tiffany westchnęła. — To także historia mojego życia. Odkrywamy, że nasze umiejętności są dla nas jak nadzorcy.

Przyszło jej do głowy, że Preston poznaje ludzi w pewien okreś­lony sposób — zna nazwy wszystkich kości, a z niektórymi jest po imieniu — ale ona również zagląda im do wnętrza, choć inaczej: bada głowy, umysły.

— Nie potrafiłabym robić nic innego — zakończyła nieco smętnie.

— Nie — zgodził się Preston. — Ja też nie.

Potem czas rozmów dobiegł końca; została tylko Tiffany i Preston, razem, chwytający wspólną chwilę. Ich oczy mówiły więcej, niż mogłyby wyrazić słowa.

To też była magia — inny rodzaj magii.

\* \* \*

Pani Proust poszła z nimi do warsztatu krasnoludów — chciała się przekonać, czy udało im się doprowadzić do porządku legendarną miotłę babci Weatherwax.

Dave powitał ich w progu.

— No więc... oto ona — rzekł. — Porządna miotła, naprawdę solidna. Podejrzewam, że pani Weatherwax nigdy o nią nie dbała, cokolwiek robiły krasnoludy, żeby ją jakoś ustawić.

— Ona ją tylko przeklinała — wtrącił kwaśnym tonem Shrucker. Było jasne, że dla niego miotła jest niemal żywym stworzeniem.

Miotła lśniła. Błyszczała. Wyglądała całkiem jak żywa, a gałązki układały się równiutko. Była to prawie stara miotła babci Weatherwax — jeśli nie liczyć nowej osłony kija i nowych gałązek[[35]](#footnote-35). Tiffany i Geoffrey patrzyli na nią w zachwycie, a dwójka krasnoludów przyglądała im się z uśmiechem.

— Najlepsza, jaką zrobiliśmy... to znaczy naprawialiśmy — poprawił się Shrucker. — Ale proszę, używajcie jej delikatnie i pamiętajcie o smarowaniu olejem. Dla pani Obolałej wszystko, co najlepsze — dodał, jak krasnolud, który znowu mógł wyprostować się dumnie na pełne cztery stopy.

Pani Proust pogładziła kij palcami i kiwnęła głową.

— Znakomita miotła — przyznała. — Patrzcie, tutaj jest nawet takie małe zagłębienie, żeby wstawić kubek.

Shrucker zerknął na nią podejrzliwie.

— Oraz wyjątkowo dzisiaj, dla naszych dobrych klientów... — powiedział. — Takich, którzy nie sprawiają... kłopotów... — Spojrzał z ukosa na Tiffany. — Mamy specjalny dodatkowy prezent. — Z dumą wręczył Geoffreyowi dwie futrzane białe kostki pokryte zbiorami kropek. — Możesz je przyczepić na pasku — wyjaśnił. — Bardzo popularne wśród chłopców, którzy w ten sposób ozdabiają swoje powozy. Niektórzy trzymają też ptaszki w klatkach, żeby śpiewały im po drodze. Nazywają to wewnętrznym zestawem rozrywkowym.

Geoffrey wstrząsnął się na samą myśl. Ptak, w klatce? Serce go zabolało. Ale miotła... tak, miotła... Nie mógł się doczekać, żeby na niej usiąść.

Dave pociągnął nosem.

— No to masz, młodzieńcze. A może chciałbyś wykonać próbny przelot? — Wręczył mu miotłę. — No to proszę. Doleć do końca wiaduktu i zakręć.

Tiffany chciała zaprotestować, ale Geoffrey aż dygotał z podniecenia. Spojrzała w jego roziskrzone oczy i ustąpiła.

— No dobrze, Geoffreyu. Latałeś już ze mną. Widziałeś, jak miotły przefruwają w powietrzu. Tylko zacznij powoli, nie wszystko naraz.

Równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Geoffrey siadł okrakiem na miotle, przebiegł pod sąsiednim łukiem, skoczył... i błyskawicznie wzniósł się w górę. Seria koszmarów błysnęła w wyobraźni Tiffany. Usłyszała daleki huk, potem mały punkcik na niebie się powiększył i zobaczyła Geoffreya, który wracał na dół, uśmiechając się od ucha do ucha.

Tiffany niemal zapiszczała.

— Proszę spojrzeć, pani Proust! Już to opanował! Ja potrzebowałam wieków, żeby nauczyć się latać.

— Ależ oczywiście — odparła pani Proust. — To przez tę technologię.

— Nieźle — przyznał Shrucker. — Wrodzony talent. No no... Nawet gobliny tak nie potrafią — stwierdził z podziwem, gdyż Geoffrey wykręcił pętlę, a potem zeskoczył, pozostawiając miotłę kilka stóp nad kamieniami bruku.

— Jak to zrobiłeś? — spytała szczerze zdumiona Tiffany.

— Nie wiem — odparł Geoffrey. — Chyba mam smykałkę.

A Tiffany pomyślała: kiedy Geoffrey nie jest podniecony, emanuje spokojem, co prawdopodobnie znaczy, że widzi więcej i odkrywa więcej niż inni. Przez to jest bardziej otwarty na nowe rzeczy. Tak, to jego talent, nie ma wątpliwości.

Po chwili Tiffany i Geoffrey pomachali na pożegnanie krasnoludom i pani Proust, i odlecieli razem w kierunku dalekich gór i Lancre. Geoffrey natychmiast wyczuł zasadę latania i zniknął na niebie, daleko przed Tiffany.

Dogoniła go za przedmieściami Ankh-Morpork — wzlatywał i nurkował z szaleńczą prędkością.

— Wiesz, że spodnie ci się tlą, prawda? — zawołała ze śmiechem.

Geoffrey ugasił je szybkimi klepnięciami, aż miotła się zakołysała.

— Proszę nie mówić o tym niani Ogg, kiedy wrócimy — rzucił zakłopotany. — Będzie się ze mnie śmiała.

Kiedy jednak dotarli do Lancre — o wiele szybciej, niż poprzednio lecieli do miasta — i zanim wyruszyła do Kredy, Tiffany oczywiście opowiedziała o wszystkim niani. I stara czarownica oczywiście wybuchnęła śmiechem.

— Ale to niesamowite — stwierdziła Tiffany. — Latanie wydawało się dla niego całkiem naturalne.

— Każdy mężczyzna ma w domu miotłę — odparła niania Ogg. — Ale zwykle nie potrafi jej używać.



Rozdział dwunasty

ELF POŚRÓD FEEGLÓW

Huczały gromy i pioruny. Lał deszcz, z kredowych wzgórz spływała woda.

Królowa wrzasnęła, kiedy wyrzucono ją z Krainy Baśni; skrzydła miała wyrwane z ciała i krew plamiła jej ramiona. Wrzask żył włas­nym życiem, które dobiegło końca w sadzawce w Kredzie, zaskakując polującą łasicę.

A Tiffany Obolała się obudziła.

Serce biło jej mocno; w nocnej ciemności drżała z chłodu. Spojrzała w stronę okna. Co ją właściwie zbudziło? Gdzie jest potrzebna?

Usiadła i ze znużeniem sięgnęła po ubranie...

\* \* \*

Wyżej, na halach, kopiec Feeglów jak zwykle pełen był krzątaniny i pieśni — prawdę mówiąc, przypominał trochę ul, tyle że bez miodu, no i wiadomo, że Feeglowie potrafią użądlić o wiele gorzej niż pszczoły. Ale kiedy coś świętowali — a nie potrzebowali wiele, by znaleźć powód do świętowania — Nac Mac Feeglowie zawsze dbali o to, by impreza trwała bez przeszkód przez długi czas.

Jednakże krótko po północy zabawę przerwał Duży Jan, nocny strażnik[[36]](#footnote-36), który wbiegł do kopca, mokry od ulewy.

Kopnął hełm swojego wodza, Wielkiego Gościa klanu.

— Elfy som tutej! — krzyknął. — Wycuwom je, sam wis!

Na te słowa z każdego otworu w ścianach kopca zaczął się wylewać klan Nac Mac Feeglów, gotów stanąć do walki z odwiecznym wrogiem. Wymachiwali mieczami i maczugami, jodłując swe bojowe okrzyki:

— Wepchnijcie se to w trakany!

— Nac Mac Feegle, hej ho!

— Wynocha z tobom, upioze jeden!

— Łoj, jak dobze cie skopie!

— Ni ma króla! Ni ma królowej! Nie domy sie znowu łosukoć!

Istnieje zjawisko określane jako zgiełk i tumult, i Feeglom udawało się ono znakomicie: radośnie wchodzili sobie w drogę, by pierwsi znaleźć się na miejscu bitwy, a wydawało się, że każdy z małych wojowników ma własny okrzyk bojowy — i jest gotów walczyć z każdym, kto spróbuje mu go zabrać.

— Wielo tych elfów? — zapytał Rob Rozbój, poprawiając spog.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Jedyn — odparł zakłopotany Duży Jan.

— Pewny ześ jest? — pytał Rob, gdy jego synowie i bracia płynęli wokół w stronę wyjścia z kopca.

Och, to zakłopotanie... Cała kolonia Feeglów, najeżona bronią, pełna alkoholu i brawury — i najwyraźniej nic, co można by z nią zrobić. Oczywiście, zawsze świerzbiały ich ręce do bójki, ale większość Feeglów świerzbiała i tak, zwłaszcza w okolicach spogu.

Popędzili więc po mokrych zboczach, szukając nieprzyjaciela. Tymczasem Duży Jan poprowadził Roba do sadzawki na szczycie. Burza minęła i powierzchnia wody lśniła w świetle gwiazd. Na brzegu, do połowy zanurzony w wodzie leżał i jęczał poraniony elf. A raczej elfka.

Rzeczywiście, wyglądała na samotną. I niemal dało się usłyszeć myśli Feeglów: Jeden elf? Feeglowie lubili starcia z elfami, ale tylko z jednym? Jak to możliwe?

— Ech, łojzicku... Duzo cosu minęło, łodkąd ześmy mieli pozondnom walke — westchnął Rob i przez chwilę wydawał się, jak na Feegla, dość smętny.

— Ano tak, ino ze jak jus jest jeden, to bedzie ich zarozki cała plaga — mruknął Duży Jan.

Rob wciągnął nosem powietrze. Elfka leżała tylko bezwładnie i nic nie robiła.

— Ni mo blisko zodnych innych elfów. Bym je wyniuchoł — oświadczył Rob. Podjął decyzję. — Duzy Janie, ty i Ciut Groźny Spic weźmicie tego chłystka do kopca. Wicie, co robić, jakby sie zucoł. Super Ciut Billy Bródek... — obejrzał sie na gonagla klanu, który pewnie najmniej przekręcał fakty. — Biegnijze do keldy i łopowiedz jej, co sie dzieje. — Podniósł głos, żeby usłyszał go cały klan. — Ten elf je nosym więźniem. Zakładnikiem, wicie. To znocy, że macie go nie zabijać, póki nie powim. — Zignorował niechętne pomruki. — A cało resta tsymo warte psy tamtych kamieniach. Jakby psysły z siłom, pokozecie im, co umiom Feeglowie!

— Jo umim groć na harmonijce — odezwał się Tępak Wullie.

Rob Rozbój westchnął.

— Ano. Jo mom dresce łod tego, to se myśle, ze łonych tez powscymos.

\* \* \*

Przy kopcu — ale na zewnątrz, bo żaden elf nie powinien mieć miejsca w kopcu Feeglów — kelda przyjrzała się rannej.

— Ino jeden? — zwróciła się do Roba Rozbója. — Wis, jeden samotny elf to zoden pseciwnik, nawet dla młodego Feegla. A ten mocno łoberwoł, ano, sksydełka ma wyrwane z pleców. Nasi chłopcy tak ucynili?

— To nie my, Jeannie — zapewnił Rob. — Duzy Jan goda, co ten elf spod z nieba prosto do sadzawki, wis, łobok kamieni. I był jus taki posorpany, zanim tam trofił. — Popatrzył niespokojnie na żonę, która w zamyśleniu marszczyła czoło. — Ześmy som wojownikami, Jeannie, nie zeźnikami. Chłopcy rwom się do walki, łocywiście, i jakby ten elf spotkoł mie w bitwie, to mój miec głośno by zadźwięcoł. Ino ze terozki łon wygląda jak usok psemocony i zabić go to zoden honor.

— Łodwozne słowa, Rob — przyznała kelda. Przyglądała się nieprzytomnej istocie. — Ale cemu ino jeden? Ześ jest pewny?

Elfka jęknęła i poruszyła się. Miecz Roba jakby sam wskoczył mu w dłoń, ale kelda delikatnie powstrzymała męża. Elfka znów jęknęła i wyszeptała coś słabo i niewyraźnie. Kelda nadstawiła uszu i słuchała uważnie. A potem, wyraźnie zdziwiona, zwróciła się do Roba.

— Pedzioła: „Grom” i „Piorun”.

Elfka znowu coś wyszeptała i tym razem Rob również zrozumiał dwa słowa: „Grom” i „Piorun”.

Wszyscy w Kredzie pamiętali słynne psy pasterskie babci Obolałej, Groma i Pioruna. Dawno już odeszły, ale — jak wierzyli wszyscy okoliczni farmerzy — ich duchy nadal biegały po wzgórzach. Przed laty młoda Tiffany wezwała je, żeby pomogły bronić Kredy przed królową Krainy Baśni. A teraz obca elfka, u samego wejścia do kopca Feeglów, znowu przywoływała ich imiona.

— Cosik mi sie w tym syćkim nie podoba — uznała kelda. — Ale bez nosej wiedźmy nie dojde, co to syćko znocy. Pośles po nią, Rob?

— Ano. Hamish moze sie wyprawić. Mnie tsa rusoć do kamieni i klanu. — Spojrzał niespokojnie na żonę. — A ty se porodzis z tom chłystkom?

— Wezme łoną do środka, wis, coby psy ogniu wysechła. Za słoba jest, coby cosik mi zrobić. A chłopecki mogą mie psypilnować. — Jeannie skinieniem wskazała wesołą gromadkę młodych Feeglów, którzy staczali się z kopca, wymachując sierpowatym uzbrojeniem.

— Ano, to bedom mieli dobre ćwicenie — przyznał Rob, spoglądając na nich z dumą.

I nagle musiał się uchylić, gdy jeden z młodych Feeglów wypuścił trzymaną broń, która przemknęła w powietrzu i o mało nie trafiła go w ucho.

Ku jego zdumieniu sierp zatoczył łuk, pomknął w stronę młodego Feegla, który nim cisnął, i solidnie walnął go po łbie, oszczędzając Robowi trudu.

— Mozna łonym samemu ze sobą walcyć! Oto broń dobra dla kazdego Feegla! Dwa razy wincej zabawy!

\* \* \*

Tiffany właśnie kończyła się ubierać, kiedy na zewnątrz rozległ się świst, po nim łoskot czegoś spadającego i radośnie łamiącego gałęzie, i wreszcie stukanie do okna. Otworzyła i zobaczyła w dole plątaninę sznurków i tkanin, która po kilku solidnych kopniakach opadła, odsłaniając Hamisha — lotnika Feeglów[[37]](#footnote-37).

Przy otwartym oknie, w sypialni zrobiło się nagle bardzo zimno. Tiffany westchnęła.

— Tak, Hamish? Powiedz, do czego jestem wam potrzebna.

Hamish poprawił gogle, wskoczył na parapet, a potem do pokoju.

— Naso kelda po ciebie posłoła, wiedźmo wzgóz. Mom cie sprowodzić do kopca najsybciej jak sie do.

Tiffany miała za sobą pracowity dzień, ale wiedziała, że jeśli kelda wzywa ją gdzieś, nawet po północy, to tam właśnie powinna się znaleźć. Wciągnęła więc swoje grube podróżne spodnie, zostawiła przy kominku miseczkę mleka i odpaliła miotłę.

I znowu przyglądała się jej Ty, biała kotka, która zdawała się być wszędzie.

\* \* \*

Ognisko w kopcu jarzyło się jak palenisko. Młodzi Feeglowie, którzy zostali tutaj, żeby pilnować swojej keldy, spoglądali groźnie na przeciwnika. Kiedy wrócił Rob Rozbój, każdy z chłopców starał się wyglądać, jakby to właśnie on powstrzymał chłystkę od narobienia kłopotów. Zwłaszcza teraz, kiedy była w środku.

Ale elfka chyba płakała.

Kelda przysunęła się bliżej.

— A więc terozki, elfko, ty psychodzis do mnie — powiedziała cicho. — W jakim celu? I cemuz nie mamy cię łod razu zabić?

To wywołało niespokojne pomruki wśród Feeglów, z których każdy miał nadzieję, że niedługo będzie mógł zabić elfa. Oraz pewne drżenie po stronie elfa.

Kelda odwróciła się.

— Znom sekrety tajułek i widze tyle, ze syćko, co dziś robimy, było nom pseznacone, jesce zanim moza powstały. Ni ma łodwrotu. Ale psede mną jest mgła. Nie widze dobze poza dzień dzisiejsy, wis.

Elfka się otrząsnęła.

— I mos jesce swój język, elfko — zauważyła kelda. — Bo tak se myśle, jako by ze mną było, jakbyśmy tak sie zamieniły... Twoi bracia som tacy... pomysłowi. — Młodzi Feeglowie radośnie pomachali bronią. A kelda mówiła dalej: — Je ześ do mnie psysłana przez wezwanie Pioruna i Groma. Wim, co łone dwa psie duchy, a takoz ich pani, bedą z nami jus niedługo. A terozki, rostsęsiona elfko, godejze, jaka jest twoja misio. Cemu ześ tu psysła? Kim ześ jest? Jakies twe imię? A nie kłom mi, bo umiem zobacyć prawde.

Przyjrzała się elfce — małej, pomarszczonej, w łachmanach, pokrytej zaschniętą krwią, jak coś, co było kopane przez wiele dni, nim je rzucono, by zakończyło życie w sadzawce.

— O nic nie mogę prosić, keldo. Uczynisz, co zechcesz, dla przyjemności albo z gniewu. — Elfka mówiła cicho. — Ale byłam... do niedawna... królową elfów.

Młodzi Feeglowie przestali brzękać bronią i podeszli bliżej. Czy to możliwe, żeby ta ciut nędzna kupka łachmanów była ową straszliwą królową, o której opowiadał im Wielki Gość? Ciut Dugi Nochal schylił się i mężnie dźgnął elfkę palcem — czego efekt zepsuł nieco spadający mu na oczy hełm z króliczej czaszki; Nochal zatoczył się trochę, kiedy hełm oparł mu się na nosie.

— Łodejdźcie, chłopecki — rzuciła surowo kelda i stuknęła pięścią w hełm Dugiego, odwracając go od więźnia. A potem spojrzała na królową. — No to widze, ze niescęście was spotkało, wasa wysokość. I jesce tak sobie myśle, ze cołkiem sporo jest różnych królowych elfów. I pytom sie, którom tu momy? Chcę poznać wase imie, wasa wysokość. Ino uwozajcie, bo jak mi podacie imie, co nie jest wase, to nie bede w najlepsym humoze.

— Imię me, keldo — odparła elfka — brzmi: Wilcza Jagoda.

Kelda rzuciła Robowi spojrzenie, które mówiło: Co my tu mamy? To prawdziwa królowa?

Wiedziała bowiem, że choć wielu jest przywódców wśród elfów z Krainy Baśni, zawsze miały tylko jednego króla i jedną królową. Oczywiście, król odszedł wiele lat temu, by stworzyć własny świat dla siebie i swoich rozrywek; królową zostawił za sobą. I choć rzadko używane, królowa miała swoje imię — imię znane Feeglom z czasów, kiedy żyły w Krainie Baśni. Imię przekazywane teraz przez każdą keldę swojej następczyni. Imię Wilczej Jagody.

— My som Nac Mac Feeglami i nie kłoniamy sie zodnym królowym — oznajmiła spokojnie.

Rob Rozbój milczał, ale odgłos jego ostrzonego o kamień miecza był niczym pieśń, niczym zaproszenie do śmierci. Po chwili uniósł głowę, a wzrok miał straszny.

— My som Nac Mac Feegle! Wolni Ciut Ludzie! Ni ma króla! Ni ma królowej! Ni ma włodcy! Ni ma pana! Nie domy sie znowu łosukać! — zagrzmiał. — Twe zycie, elfie, wisi na łostsu mojej klingi.

Za nim rozległo się szuranie i do wnętrza wcisnęła się Tiffany, a za nią Hamish i więcej tłoczących się z tyłu Feeglów.

— Scęśliwa zem jest, co cie widze, wiedźmo wzgóz — rzekła Jeannie. — Mamy tu... elfa. Powiedz, co tsa nam z nią zrobić?

Na dźwięk słowa „elf” zaśpiewały wszystkie miecze.

Tiffany przyjrzała się elfce — była w opłakanym stanie.

— Nie jesteśmy z tych, którzy zabijają bezbronnych — oświadczyła.

Rob Rozbój uniósł rękę.

— Wyboccie, pani, ale niektózy z nos som, i zabijajom.

Jestem ich ciut wielką wiedźmą, pomyślała zakłopotana Tiffany; kelda poprosiła mnie o pomoc.

A potem, mimo fatalnego stanu, poznała jeńca Feeglów. Zresztą, jak mogłaby zapomnieć?

— Znam cię, elfko. Mówiłam ci, żebyś już nigdy tu nie wracała. — Zmarszczyła czoło. — Pamiętasz? Byłaś wielką elfią królową, a ja małą dziewczynką. Przepędziłam cię stąd z Gromem i Piorunem.

Mówiąc, wpatrywała się w twarz elfki. Ta zbladła jak ściana.

— Tak — przyznała słabym głosem. — Zaatakowaliśmy twój świat, ale to było, zanim nastał czas... żelaza.

Grymas strachu wykrzywił jej twarz i Tiffany wyczuła zmianę, wrażenie, że stoi pomiędzy dwoma możliwościami, że to, co teraz zrobi, będzie miało znaczenie. Uświadomiła sobie, że tego właśnie się spodziewała, przed tym ostrzegała ją Jeannie. Czarownica zawsze stoi na granicy: między światłem i ciemnością, między dobrem i złem, każdego dnia dokonuje wyborów, przez cały czas wydaje sądy. To właśnie czyni ją człowiekiem. Ale, zastanowiła się, co właściwie czyni elfa?

— Podobno gobliny wierzą, że kolejowe parowozy mają dusze — rzekła spokojnie. — Powiedz, jaką duszę masz ty? Czy pędzisz wzdłuż swoich elfich torów, nie masz czasu ani miejsca, by zawrócić? — Obejrzała się na keldę. — Babcia Obolała mówiła mi, że trzeba nakarmić tych, co głodują, odziać tych, co są nadzy, pomóc skrzywdzonym. Ta elfka weszła na mój teren głodna, naga i skrzywdzona. Rozumiesz?

Kelda uniosła brwi.

— Ta kreatura to psecie elf! I nie dbo o ciebie. O nikogo nie dbo, nawet o swoich!

— Myślisz, że nie ma takiej istoty jak dobry elf?

— A ty myślis, ze jest cosik takiego jak dobry elf?

— Nie, ale podejrzewam, że istnieje możliwość, by się taki pojawił. — Tiffany zwróciła się do skulonej elfki. — Nie jesteś już królową. Masz jakieś imię?

— Wilcza Jagoda, pani.

— Ano — mruknęła kelda. — Trucizna.

— Tylko słowo — stwierdziła surowo Tiffany.

— Ino ze ono słowo wykopali stamtąd, jakby zycie było grą w sachy. A teraz ono słowo psychodzi do dziouski, co ją próbowała zniscyć lata temu. I psegrała, pobita mocno, a terozki psychodzi na twoje gospodarstwo i prosi o schronienie. — Kelda przyjrzała jej się z błyskiem w oku. — I co powies, Tiffan? Łod ciebie syćko zalezy. Ino ty mozes decydować. Ta tu elfka chcioła cie zabić, a terozki ty chces jej pomóc. Elfom ufać nie mozna — mówiła z powagą. — My, Feeglowie, wimy to dobze. Aleś ty jest ta dziewuska, co nawet Zimisca naucyła manier. Nie trap sie o królową, ale jej śladem moze iść wojna...

Tiffany pochyliła się nad skuloną, trzęsącą się elfką. I kiedy znalazła się z nią twarzą w twarz, powiedziała:

— Kiedy ostatnim razem się spotkałyśmy, Wilcza Jagodo, byłam małą dziewczynką, właściwie niezdolną do żadnej magii. — Przysunęła się jeszcze bliżej. — Pomyśl, o ile teraz jestem lepsza. Zostałam następczynią babci Weatherwax, tak jest, a wy, elfy, słusznie czułyście strach przed samym jej imieniem. Teraz możesz uznać, że twoja przyszłość, a więc i przyszłość elfów, zależy od ciebie. Jeśli mnie zawiedziesz, odeślę cię do Feeglów. Nie lubią twojej rasy. — Pochwyciła spojrzenie keldy. — Czy to ci odpowiada? — spytała.

— No cós — westchnęła kelda. — Ktosik musi skostować pirsego ślimaka.

— Owszem. Takie gobliny też wszyscy traktowali jak śmieci, dopóki ktoś ich lepiej nie poznał. Nie dawajcie pani Jagodzie powodów, by was znienawidziła, ale jeśli złamie reguły, to obiecuję wam... a wicie, ze łobietnica wiedźmy wzgóz to powazna sprawa... obiecuję, że to będzie jej koniec.

Oczy Feeglów wciąż z nieskrywanym obrzydzeniem wpatrywały się w Wilczą Jagodę. Tiffany miała wrażenie, że powietrze między nimi a elfką aż wibruje od nienawiści... płynącej w obu kierunkach.

Odezwał się Rob Rozbój.

— Wis, elfie, co ty i twoja rasa jus nas nie łosukajom. Ino dla pani Obolałej dajemy ci psezyć. Ale pomnij se: wiedźma wzgóz niespokojna sie robi, jak widzi, ze kogo zabijomy. I gdyby jej tu nie było, byś znowu krwiom sie ubrocyła.

Ze strony Feeglów rozległ się chór gróźb — było jasne, że gdyby to oni mogli decydować, w tej chwili Wilcza Jagoda byłaby tylko pokrwawionymi zwłokami.

Rob Rozbój uderzył mieczem o ziemię.

— Słuchojcie wielkiej ciut wiedźmy, badonie. Ano wy, Ciut Łupacu i Ciut Lepku, Ciut Gzybku i Ciut Gimmy Jimmy. Zawarła rozejm ze starom królowom, bo wiezy, ze paskuda moze mieć w sobie ciut łodrobinke dobrego.

Duży Jan odchrząknął.

— Nie kcem sie kłócić z wiedźmom, ale dobry elf to ino zabity elf.

— Sugeruje, cobyś nie seł tom drogom, bracie. Jako gonagiel powiadam, ze tsa łostawić miejsce, coby dobro mogło sie dostoć, jako nam mówi Ballada o Scekliwym Johnie — oświadczył gonagiel Super Ciut Billy Bródek, wykształcony Feegle.

— To ten chłopecek, co psez tydzień tsymoł naparstecek na kinolu, a potem mioł pikny głos? — upewnił się Tępak Wullie.

— Ni, ty gupolu.

— Ale cemu tako sie gorąckujecie? Nie fesztujcie sie psecie. Jak tylko ten łon elf dotknie kogo, bedzie zabitym elfem. I takoz sie psekonamy — wtrącił Ciut Groźny Szpic.

— Ano — podsumował Rob Rozbój. — Tako kce naso wiedźma i padom wom, koniec gadania.

— Ale powiem ci coś jeszcze, Robie Rozbóju — odezwała się Tiffany. — Zabiorę tę elfkę ze sobą. Wiem, że też pójdziecie, ale dodatkowo trzeba mi Feegla czy dwóch, żeby siedzieli przy niej i pilnowali jej dla mnie. Ciut Szalony Arthur? Byłeś w Straży, poradzisz sobie. — Rozejrzała się. — I ty, Duży Janie. Nie pozwólcie, żeby ten słaby elf was pokonał. I chcę, żebyście obaj pamiętali: ten elf jest więźniem. A więźniów trzeba pilnować. Jako strażnik, Ciut Szalony Arthurze, dobrze wiesz, że ludzie nie wpadają do studni, o ile ich ktoś nie popchnął. Sugeruję, żebyście to sobie przemyśleli. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie nie spadają też ze schodów, jeśli ich ktoś nie popchnie. Nie życzę sobie takich drobnych wypadków jak „No wis, żeśmy ją puścili na spacer, a ona uciekła i powaliła ją wściekła łasica”. Albo „Zginęła, bo stawiała opór aresztowaniu przez piętnastu Feeglów”. Nie będzie wielkiego roju pszczół, który użądli ją wielokrotnie. Żaden wielki ptak nie wrzuci jej do stawu. Znikąd nie pojawi się silny wiatr, który wszystko zwieje. Żadnego „Wpadła do króliczej nory i nikt jej więcej nie widział”. — Przyjrzała się Feeglom surowo. — Jestem wiedźmą tych wzgórz i będę wiedziała, co się stało. A wtedy nastąpi... rozliczenie. Rozumiecie?

— Łoj, bida bida bida, rozlicenie nos ceko... — jęknął Tępak Wullie.

Nastąpiło zakłopotane szuranie nogami, gdy Feeglowie jeszcze raz starali się przemyśleć swoje plany. Duży Jan z roztargnieniem wsunął palec do nosa, przyjrzał się, co tam znalazł, po czym wcisnął to do spogu, do późniejszego dokładniejszego badania.

— Czyli wszystko sobie wyjaśniliśmy — zakończyła Tiffany. — Ale też nie życzę sobie, panowie, żeby jakieś kolejne nieznośne elfy wdzierały się na mój teren.



Rozdział trzynasty

FIGLE... I GORZEJ

Elfy lubią być nieznośne. Kiedy przychodzą, polują ukradkiem. Na początku wprowadzają w świecie niewielkie zmiany. Zaczynają od zwykłych psot.

Takich jak w piwniczce Herbu Barona, gdzie coś złego działo się z piwem. Nieważne, jak często i jak dokładnie John Parsley czyścił i zmieniał kurki i beczki, w piwie wciąż pływały jakieś męty, paprochy, śmieci i temu podobne. Oberżysta wyrywał sobie włosy z głowy, a przecież i tak miał ich niewiele.

A potem przy barze ktoś powiedział:

— To chyba znowu elfy. One robią takie żarty.

— Mnie to jakoś nie śmieszy — stwierdził Thomas Greengrass.

John Parsley niemal płakał. I jak to często się zdarza w gospodzie, nagle wszyscy zaczęli mówić o elfach, choć przecież nikt w nie nie wierzył. A później, już w domach, niejedna nowa podkowa zawis­ła nagle nad drzwiami.

Ludzie śmiali się.

— Przecież mamy własną czarownicę — mówili.

— Niby tak — odezwał się Jack Tumble. — Ale bez urazy, ostatnio nigdy jej nie ma. Wydaje się, że coraz więcej czasu spędza w Lancre.

— Dałbyś spokój — obruszył się Joe Obolały. — Każdego dnia moja Tiffany pracuje nie mniej od jakiegokolwiek mężczyzny... — Zastanowił się, zwłaszcza że jego słowa mogły, za pośrednictwem pani Parsley, łatwo dotrzeć do żony. — Więcej nawet, pracuje jak kobieta.

— No to jak wytłumaczyć to piwo?

— Złe zarządzanie? — zgadywał Jack Tumble. — Nie obraź się, John, ale piwo to trudny towar.

— Co? Rury mam czyste jak deszcz. I przed wymianą beczki myję ręce.

— No to co się dzieje?

Ktoś musiał powiedzieć to znowu, musiał ubrać domysły w słowa. I powiedział:

— W takim razie to mogą być tylko elfy.

— Niemożliwe — uznał Joe. — Moja Tiffany poradziłaby sobie z nimi w mgnieniu oka.

Ale piwo nadal było kwaśne...

\* \* \*

Tymczasem w Lancre, w lasach na zboczach Ramtopów, Martin Snack i Frank Sawyer coraz bardziej się niepokoili. Już parę dni wlekli się od ostatniego miasteczka, Gorącego Szlagu, by dotrzeć aż tutaj. Kilka godzin temu porzucili główny trakt. Puste żołądki i wydłużające się cienie ponaglały do szybszego marszu, choć niełatwo było podążać wzdłuż słabo widocznych śladów na stromym zboczu. Jeśli wkrótce nie znajdą obozu drwali, spędzą drugą noc pod gołym niebem. Wczoraj słyszeli w oddali wycie wilków. Dzisiaj, kiedy spadła temperatura, zaczął prószyć śnieg.

— Widzi mi się, żeśmy się zgubili, Frank — stwierdził nerwowo Martin.

Ale Frank nasłuchiwał czujnie i po chwili usłyszał w oddali stłumiony huk.

— Tędy — rzekł stanowczo.

I rzeczywiście, po niecałych pięciu minutach zbliżyli się na tyle, by słyszeć rozmowy ludzi, a wkrótce potem wyczuli zapach gotowanego jedzenia, co uznali za dobry znak. Wreszcie w przerwie między drzewami zobaczyli obóz. Kręciło się po nim kilku brodatych mężczyzn, inni siedzieli na pniach, a jeden mieszał coś bulgoczącego na rozgrzanym do czerwoności przenośnym piecyku.

Kiedy wynurzyli się z lasu, mężczyźni unieśli głowy. Jeden czy dwóch sięgnęło do ciężkich i poręcznych siekier, które zawsze mieli przy sobie, ale zaraz się uspokoili, widząc, jak młodzi są przybysze. Starszy drwal w obszernej kraciastej kurtce z kapturem obszytym futrem — typ człowieka, do którego lepiej się nie odzywać, dopóki nie zacznie pierwszy — wyszedł im na spotkanie.

— Co tu robicie, chłopcy? — zapytał. — Czego chcecie?

Zmierzył ich wzrokiem. Frank był niski i żylasty, wyglądał na silnego; Martin, bardziej umięśniony, stojąc za przyjacielem, niespokojnie przestępował z nogi na nogę, jak często robią chłopcy posiadający siłę i niewiele więcej, którzy czują się skrępowani, kiedy spytać ich o coś bardziej skomplikowanego niż imię.

— Szukamy pracy, proszę pana — odparł Frank. — Jestem Frank, a to jest Martin i chcemy pracować przy spławianiu drewna.

Mężczyzna przyjrzał im się raz jeszcze, po czym wyciągnął wielką, stwardniałą dłoń.

— Nazywam się Slack... To będzie pan Slack, jak dla was. Czyli spławiaki, tak? A wiecie coś o spławianiu?

— Niewiele — przyznał Frank. — Ale mój dziadek robił przy spławiakach i mówił, że to dobre życie. — Zawahał się. — Słyszeliśmy, że można nieźle zarobić — dodał optymistycznie.

Problemem pracujących wysoko w górach drwali była odległość między ich obozowiskami a traktami dla wozów. Przeciąganie ciężkich kłód przez las przy pomocy koni nie było praktyczne — lepiej posyłać je sztucznie zbudowanymi korytami, gdzie z prądem wody płynęły na niższe tereny. Stamtąd dało się je przewozić do miast i miasteczek wozami zaprzężonymi w muły.

Pomysł był świetny i kiedy uruchomiono pierwszy spławiak, idea się przyjęła. Ludzie, którzy je obsługiwali, mieszkali w małych chatach na skalnych platformach, niebezpiecznie blisko zakrętów. Potrzebowali siły, by radzić sobie z zatorami, kiedy kilka ton drewna pędziło ku nim z bystrym nurtem. Nie brakowało młodych, którzy ruszali w góry, by popłynąć spławiakami, choćby po to, by potem o tym opowiadać. Niektórzy, oczywiście, nie mieli już okazji, by o czymkolwiek opowiedzieć — wystarczył jakiś niewielki błąd na początku. Ale każdy obóz zatrudniał Igora, więc niektóre ich części mogły zyskać drugą szansę. Spotykało się czasem naprawdę starego spławiacza, który wykonywał tę pracę od bardzo dawna, ale na postarzałym ciele demonstrował ręce młodzieńca.

— Spławiaki nie lubią dzieci — oświadczył pan Slack. — To męska robota, nie ma co. Widzę, że macie muskuły, obaj, ale to mnie nie interesuje. Wielu jest takich chłopaków jak wy, z mięśniami. Potrzebujemy takich, którzy są silni w głowie. Nigdy nie wiadomo, co zrobi spław na jakimś zdradzieckim skręcie. — Zmarszczył brwi. — Znacie Jacka Abbotta? Młody drwal, mieszka pod tą górą ze swoją matką i siostrą. Jakiś czas temu mało brakowało, a by sobie stopę odrąbał. Teraz wraca do siebie, a to dzięki takiej zezowatej dziewuszce, co ją tu czarownice przysłały do pomocy. Pomyślcie o tym, chłopcy, jeśli wam się wydaje, że jesteście gotowi na ryzyko. Bo spławianie jest o wiele bardziej niebezpieczne od wycinki.

Chłopcy wyglądali na przygnębionych.

— No i niektóre z drzew tutaj są magiczne — tłumaczył dalej pan Slack. — Dla magów. Dlatego się je spławia. Bo nie mogą ich zapakować do pociągów, nawet jak już trafią do składów. Nie przeszkadza wam to? Magia czasem wyprawia dziwne rzeczy. — Wskazał ośnieżone drzewa dookoła. — To nie są zwyczajne sosny, to Prorocze Sosny. Znają przyszłość. Chociaż, niech mnie licho, jeśli wiem, po co i dlaczego. Co przyjdzie sosnom z tego, że znają przyszłość? Potrafią przewidzieć, kiedy zostaną ścięte? No ale i tak się je ścina. Przecież nijak nie mogą uciec. Ale jeśli takiej dotkniesz, a ona cię polubi, zobaczysz, co powinno się zdarzyć. No więc jak, chłopcy, jesteście zainteresowani?

Martin nie należał do tych, co dużo mówią.

— Potrzebuję tylko forsy, szefie — oświadczył krótko. — I jedzenia, oczywiście.

— Och, można tu dobrze zarobić. Można też kupić sobie różne rzeczy i oni je tutaj przyślą — zapewnił pan Slack. Z kieszeni swojej kraciastej kurtki wyjął mocno podniszczoną książkę. — Tu mam katalog Biggerwoods. To nasza taka jakby święta księga. Można ściągnąć wszystko, na co przyjdzie ochota.

Frank przyjrzał się katalogowi. Obejrzał okładkę.

— Piszą tu, że można dostać narzeczoną — powiedział zdumiony. — Przyjedzie pociągiem...

— Ale tutaj żaden pociąg nie dociera. W tych lasach nie ma żelaza. Tory kończą się na dole, w Gorącym Szlagu. Dość blisko. Te narzeczone to nowa oferta. Akurat coś dla was, chłopcy. Piszą tutaj, że można zamówić młodą damę. Wybierzecie sobie jakąś, a za pieniądze z tej pracy może mieć prawdziwy dom z wygódką wewnątrz, żadnych problemów, i wszystkie ciuchy, jakich sobie zażyczy. Tak się tu zarabia.

Przerwał i wcisnął katalog do kieszeni.

— A te damskie ciuchy są świetne, przyznacie — dodał. — Parę dni temu poznałem gościa, który mówił, że podróżuje w damskiej bieliźnie...

— Na pewno był całkiem zdrowy? — upewnił się Martin.

Słyszał kiedyś o bardzo odległym obozie, gdzie twardzi i silni drwale podobno ubierali się w damską odzież i śpiewali piosenki o swoich wielkich toporach, ale w to nie wierzył. Przynajmniej do teraz.

Drwal nie zwrócił uwagi na jego pytanie.

— Widzę, Martinie, że mocny z ciebie chłopak. — Spojrzał na Franka. — A ty, chłopcze, dlaczego chcesz tutaj pracować?

— No więc, panie Slack, chodziłem z taką dziewczyną, ale był ten drugi, wie pan, no i...

Zamilkł.

Pan Slack uniósł dłoń.

— Nie musisz mówić nic więcej, mały. W tych górach pełno jest ludzi, którzy woleliby być gdzie indziej. Wygląda na to, że kiedy już będziesz miał pieniądze w kieszeni, powinieneś zajrzeć do tego katalogu. No dobrze. Myślę, że sił wam nie braknie. Przybijemy i koniec gadania. Zaczniecie od rana i potem zobaczymy. Jeśli nie narobicie głupot, dobrze zarobicie. A jeśli coś zawalicie przy spławiakach, prześlę zarobki waszym kochanym matkom, żeby miały za co was pochować.

Splunął na kciuk, a po chwili została zawarta kciukowa umowa, tak powszechna wśród ludzi światowych.

— A teraz wam powiem, co was czeka przez najbliższe pół godziny. — Pan Slack uśmiechnął się szeroko. — Pójdziecie tam, gdzie kłody trafiają do spławiaka, będziecie się przyglądać i uczyć. I nie trzeba żadnej Proroczej Sosny, żeby mi to mówiła.

Zaśmiał się i poklepał pień najbliższej.

Ale kiedy palce dotknęły kory, rozdziawił usta i kaptur zsunął mu się z głowy, odsłaniając stężałą twarz.

— Chłopcy... — Głos mu drżał, co samo w sobie było przerażające u tak twardego mężczyzny. — Uciekajcie stąd! Natychmiast! Biegnijcie w doliny. Czeka nas bitwa... za jakieś pięć minut... i trzeba mi tu tylko takich, którzy wiedzą, co robić z toporem.

Odwrócił się i pobiegł w stronę obozowiska, krzykiem zwołując drwali.

Frank i Martin popatrzyli po sobie ze zdumieniem. Po chwili Frank wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął palcem pnia. Nagła seria obrazów rozbłysła mu w umyśle — cudownie barwne istoty w aksamicie i piórach, z pomalowanymi urzetem ciałami, wybiegły skocznie spośród drzew. Nie było jednak niczego cudownego w bólu i śmierci, jakie ze sobą niosły. Zobaczył obszyty futrem kaptur, kołyszący się w wodzie spławiaka — kaptur otaczający głowę pana Slacka. Pana Slacka, który wyraźnie zgubił jakoś swoje ciało...

Obaj chłopcy ruszyli biegiem w dół, wymijając drwali. Pędzili do linii drzew, gdzie przysypany śniegiem grunt dawał szansę ucieczki...

Nie dość szybko. Nagle zabrzmiał gwizd i masa elfów wybiegła tanecznym krokiem — wielkich, groźnych elfów, którym aksamitne tuniki i pióra nadawały wygląd drapieżnych ptaków, pikujących gdzieś z mroku. Obaj chłopcy odskoczyli i znieruchomieli.

Przez kilka minut trwała walka elfów i drwali, którym pomógł obozowy Igor.

— Dotykajcie fofen! — zawołał. — To je niepokoi i nie wiedzą, jaki jeft dzień. A kiedy próbują fię zorientować, możecie fpufcić im lanie.

Drwale nie należeli do ludzi, którzy uciekają przed walką; niejednego elfa powaliło straszne żelazo ich toporów. Lecz coraz więcej napastników wpadało do obozu; przewracali szałasy, wkopywali kłody do spławiaków, huśtali się na gałęziach i śmiali głośno. I był w nich jakiś czar, jakiś urok... coś, co sączyło się w dusze twardych drwali, kazało osuwać się na kolana, płakać za mamą, odkładać topory... Wtedy łatwo padali ofiarą atakujących.

— Powiedziałem! Uciekajcie stąd, chłopcy! Skaczcie do spławiaków! — krzyknął pan Slack, uderzając toporem skradającego się z tyłu elfa. — Woda będzie szybsza od nich! Ja sobie poradzę!

Martin uwierzył mu na słowo — choć Frank, który widział przyszłość, wiedział, że pan Slack jednak sobie nie poradzi — i skoczył do pierwszego koryta. Frank poszedł w jego ślady, pan Slack przesunął dźwignię — i koryto popłynęło. Sunęło stromym torem w dół zbocza, pokonując zakręty tak przerażające, że wychylali się w jedną i drugą stronę, by nie wypaść. Przemoczeni do suchej nitki, z kłodami drewna przed sobą, za sobą, po bokach, pędzili wzdłuż głębokich szczelin, uchylając się przed strzałami przybywających elfów, które pędziły w górę niczym śmiertelny rój owadów.

Jazda była dzika, emocjonująca. O mało co nie zginęli — i właśnie to „o mało co” sprawiło, że potem mogli o wszystkim opowiadać. Ponieważ, co oczywiste, zgon na ogół zamyka ludziom usta.

Była też przerażająca — najbardziej przerażająca ze wszystkiego, co obaj chłopcy dotąd przeżyli. Mimo ryku wody, słyszeli za sobą krzyki drwali. I pewne... obiekty płynęły z nimi w wodzie, przedmioty, którym żaden z nich nie chciał się za dokładnie przyglądać.

Ich rejs zakończył się w wielkim stosie drewna. W składzie było wielu mężczyzn, dużych i silnych mężczyzn z żelazem w rękach, wściekłych z powodu wyrządzonych szkód. Ale kiedy zbierali się, by pomaszerować w górę, usłyszeli wrzaski i śmiechy... a potem zapadła cisza. Elfy zniknęły.

\* \* \*

Młynarz w Smrodzie[[38]](#footnote-38) był człowiekiem pobożnym, a młyn był konstrukcją skomplikowaną, z obracającymi się ciągle kołami. Koszmarem młynarza — miał nadzieję, że nigdy nie ziści się w rzeczywistości — była wizja dnia, w którym młyn się zepsuje i wszystkie te kółka potoczą się w różne strony. Ale dopóki się kręciły, cóż, był człowiekiem szczęśliwym, bo w końcu każdy potrzebuje chleba.

Aż pewnej nocy zjawiły się elfy i — to straszne — zaczęły mu przeszkadzać w pracy. Robiły dziury w workach z mąką albo wrzucały mrowiska do ziarna, śmiejąc się przy tym złośliwie.

Ale popełniły wielki błąd.

Młynarz modlił się do Oma, lecz nie uzyskał odpowiedzi — a raczej usłyszał w myślach odpowiedź, którą chciał, by Om udzielił — i wpuścił elfy dalej. A kiedy skomplikowane koła z hukiem zaczęły się kręcić, elfy odkryły, że otacza je metal — cudowny metal, zimne, wirujące jak w zegarku żelazo.

Młynarz zaryglował wszystkie drzwi, żeby nie mogły uciec. Przez całą noc słyszał ich krzyki, a kiedy znajomi pytali, jak mógł coś takiego zrobić, odpowiedział:

— Wiecie, młyny Smrodu mielą powoli, ale mielą na bardzo drobne kawałki.

\* \* \*

W wiosce Oślizła Kotlina mateczka Griggs obudziła się ze straszliwie splątanymi włosami — i w łóżku pełnym ostów, drapiących jej zwiotczałą skórę. Elf śmiał się drwiąco, kiedy jego wierzchowiec — młoda jałówka — osunął się na kolana, wyczerpany po nocnych szaleństwach...

\* \* \*

Stary, przygarbiony handlarz w Kromce popychał swój wózek — jedyne źródło utrzymania — na plac targowy, pokrzykując:

— Kto kapustę jada stale, goblin mu niegroźny wcale. Kto cebulę jada stale, temu elf nie... Aargh!

\* \* \*

U stóp Ramtopów płatki kwiatu łaskotały pod brodą młode dziewczę imieniem Elsie. Elsie wypuściła rękę młodszej siostry, pozwalając, by dziewczynka odeszła ku rzece, a sama spojrzała z miłością w oczy osła swojego ojca. Tymczasem jakiś nieostrożny wędrowiec biegł coraz głębiej i głębiej w las, tańcząc do elfiej muzyki, która nigdy nie cichnie, a elfy skakały dookoła i śmiały się z jego nieszczęścia...

\* \* \*

Herne Ścigany — bóg małych, kudłatych i tych, których przeznaczeniem jest być zjedzonym — wpełzł pod krzak i ukrył się tam, gdy trzy elfy odkryły krwawą uciechę, jaką daje zabawa z rodziną młodych króliczków...



Rozdział czternasty

OPOWIEŚĆ O DWÓCH KRÓLOWYCH

Tiffany zabrała Wilczą Jagodę — w tej chwili stworzenie bardzo małe i żałosne — na farmę ojca. Na czas podróży wcisnęła ją pod płaszcz, a potem, razem z Feeglami, odstawiła do jednej ze starych stodół.

— Jest tu czysto i ciepło — zapewniła. — Żadnego metalu. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Spojrzała surowo na Feeglów. Mieli wygłodniałe miny... Oto był elf, całkiem sam. Co mogliby z nim zrobić?

— Rob, Ciut Szalony Arthurze, Duży Janie — powiedziała. — Idę po balsam dla Wilczej Jagody, żeby jej rany szybciej się wygoiły. I macie jej nie dotykać, dopóki nie wrócę. Czy to jasne?

— Ano jasne, pani — odparł pogodnym tonem Rob. — Rusajze i łostow te chłystke z nomi. — Spojrzał groźnie na elfkę. — Jakby łona nam robiła jakiesik kłopoty, to psecie mamy broń.

Potrząsnął mieczem w sposób wyraźnie sugerujący, że świerzbią go palce, by chwycić rękojeść.

Tiffany zwróciła się do Wilczej Jagody.

— Jestem wiedźmą wzgórz — oświadczyła. — Ci Feeglowie zrobią to, o co ich proszę. Ale nie lubią ani ciebie, ani twojej rasy. Sugeruję więc, madam, abyś zachowywała się uprzejmie i trzymała reguł gry. Albo nastąpi rozliczenie.

Potem rzeczywiście ruszyła. I to bardzo szybko, jako że elfce nie ufała prawie wcale, a Feeglom jeszcze mniej.

Kiedy wróciła, Wilcza Jagoda wzięła od niej maść. A potem zdawało się, że z każdym płynnym pociągnięciem dłoni mała elfka rozkwita, staje się bardziej i bardziej piękna. Skrzyła się wręcz, i ten blask był niczym pokrywająca wszystko warstwa gęstego syropu. Jakby krzyczała: „Czy nie jestem piękna? Czy nie jestem mądra? Czy nie jestem królową królowych?”.

Tiffany doznała wrażenia, że zmianie ulega jej świadomość samej siebie. Ale spodziewała się czegoś takiego. I pomyślała: nie pozwolę.

— Nie próbuj na mnie swoich elfich sztuczek, madam — powiedziała ostro.

Wciąż jednak czuła, jak elfia magia sięga ku niej niczym linia światła o wschodzie słońca...

— Nie rzucaj na mnie uroku, elfie! — krzyknęła. A w myślach przywołała słowa pasterskiego liczenia, jakich używała kiedyś babcia Obolała: — Yan tan tethera... — powtarzała raz po raz; te słowa pomagały znowu odzyskać władzę nad umysłem.

Udało się. Wilcza Jagoda powstrzymała się i teraz wyglądała jak wiejska dziewczyna, mleczarka. Przywołała dla siebie suknię — choć taką, jakiej żadna mleczarka by nie nosiła, ponieważ była ozdobiona wstążkami i kokardkami; spod brzegu wysuwała się drobna stopa w delikatnym pantofelku. A kiedy kształtu zaczął nabierać piękny słomiany kapturek, Tiffany otrząsnęła się — dobrze pamiętała ten kostium, strój porcelanowej pasterki, którą podarowała kiedyś babci. I kiedy przypomniała sobie babcię Obolałą, ogarnął ją gniew. Jak ta elfka śmie próbować na niej czegoś takiego, tutaj, na jej własnym terenie?

— Żądam... — spróbowała Wilcza Jagoda, ale urwała, widząc minę Tiffany. — Mam nadzieję...

Wiejska dziewczyna! Elfi urok wyraźnie się kończył, uznała Tiffany z satysfakcją. Skrzyżowała jednak ramiona i spojrzała groźnie.

— Pomogłam ci — stwierdziła. — Ale często muszę też pomagać innym, zwłaszcza tym, których życie układałoby się lepiej, gdyby was tu nie było. — Zmrużyła oczy. — Zwłaszcza kiedy twoi bracia bawią się złośliwie, na przykład sprawiają, że psuje się piwo. Tak, wiem o tym. Znam cię, elfie, i wiem też, czego pragniesz. Chciałabyś odzyskać swoje królestwo. Prawda, Wilcza Jagodo?

Feeglowie warknęli chórem.

— Mozemy jom terozki zucić tam z powrotem? — spytał z nadzieją Duży Jan.

— Ano — poparł go Rob. — Pozbyć sie tego skodnika.

— Przykro mi to mówić, Rob — odparła Tiffany. — Ale są ludzie, którzy Feeglów uważają za szkodniki.

Duży Jan milczał przez chwilę, po czym powiedział wolno:

— Moześmy i som skodniki, wis, ale bidne dzieciocki nie musom sie Feeglów łobawioć.

Wyprostował się na pełen wzrost, jakieś siedem cali — Duży Jan był wysoki jak na Feegla, i nosił na czole blizny typowe dla osobników wyższych niż przeciętni, dla których drzwi stanowią czasem wyzwanie. Groźnie patrzył na elfkę z góry, spomiędzy krokwi.

Tiffany nie zwracała na niego uwagi. Znowu zwróciła się do Wilczej Jagody.

— Mam rację? — spytała. — Chcesz wrócić do Krainy Baśni? Co na to powiesz?

Wyraz przebiegłości przemknął po drobnej twarzyczce Jagody.

— Jesteśmy jak pszczoły — oświadczyła po chwili. — Królowa ma całą władzę... dopóki się nie zestarzeje. Wtedy nowa królowa zabija ją i przejmuje ul. — Nagle ogarnął ją gniew. — Groszek... — syknęła. — On nie wierzy, że świat się zmienił. To właśnie on wypędził mnie z mojej krainy. — Skrzywiła się pogardliwie. — Jest tak potężny, że nawet piwo potrafi skwasić. Gdy kiedyś mogliśmy niszczyć światy...

— Mogę ci pomóc w kwestii twojego małego przyjaciela Groszka — zapewniła Tiffany, choć z wahaniem. — Zgodzę się, żebyś znów została królową elfów, jeśli zmusisz je, by wróciły do swojego świata i już tam zostały. Lecz jeśli ty i twoja rasa wtargniecie tu, chcąc uczynić z ludzi swoich niewolników, to cóż... Może ci się wydaje, że widziałaś mnie w gniewie, ale wtedy poznasz prawdziwy sens słowa „wściekłość”.

I kiedy to mówiła, zbudził się w niej ogień. Przypomniała sobie, jak poprzednio mierzyła się z królową. I o lądzie pod falami. Pamiętała, skąd przychodzi i dokąd zmierza, i że nie da się już oszukać. Wiedziała, że nieważne, ilu ludzi śni, ilu zaprasza elfy do swego świata, ona zawsze będzie na miejscu, czujna, nieustępliwa...

— Jeżeli złamiesz przyrzeczenie, to ostatnim, co zobaczysz, będą Grom i Piorun — zagroziła. — Grom i Piorun w twojej głowie. Zginiesz od pioruna. Obiecuję ci to, elfie.

Grymas grozy, jaki pojawił się na twarzy Wilczej Jagody, wyraźnie świadczył o tym, że elfka zrozumiała.

\* \* \*

Rankiem przyniosła Wilczej Jagodzie trochę owsianki. Elfka przyjrzała się jej niepewnie, biorąc miskę.

— Wczoraj mogłaś mnie zabić — powiedziała. — Sama bym siebie zabiła. Czemu tego nie zrobiłaś? Wiesz, że jestem elfem. Nie znamy litości.

— Owszem — zgodziła się Tiffany. — Ale ja jestem człowiekiem i my znamy. Pamiętam też, że jestem czarownicą i wykonuję swoje obowiązki.

— Sprytna jesteś, Tiffany Obolała, mała dziewczynka, której o mało co nie zabiłam na wzgórzu, kiedy grom i piorun stały się żywe i groźne, zębate i gryzące... — Wilcza Jagoda wyraźnie była zdziwiona. — Bo kimże ja teraz jestem, jeśli nie nędzarką w łachmanach? Nie mam przyjaciół. A jednak ty, młoda dziewczyna, zajęłaś się mną, choć nie miałaś żadnych powodów.

— Miałam powody — odparła Tiffany. — Jestem czarownicą i uznałam, że mogę to zrobić. — Usiadła na maselnicy. — Musisz zrozumieć, że elfy uważa się za mściwe, bezduszne, złośliwe, zdradliwe, samolubne, niegodne, za irytujące utrapienie... i przy tym staram się być miła. Zapewniam cię, że słyszałam o wiele gorsze określenia, zwłaszcza od ludzi, którym porwano dzieci. Ale nic nie pozostaje niezmienne: nasz świat, nasze żelazo, twój dwór, twój urok... Czy wiesz, Wilcza Jagodo, że w Ankh-Morpork gobliny mają stałą pracę i uważane są za wartościowych członków społeczeństwa?

— Co takiego? — zdumiała się królowa. — Gobliny? Przecież wy, ludzie, nie znosicie goblinów. I one śmierdzą! Myślałam, że ten, którego schwytaliśmy, kłamie!

— Może i trochę śmierdzą, ale tak samo ich nadzorcy, bo dla niektórych smród oznacza pieniądze. Jeśli goblin potrafi naprawić lokomotywę, może sobie śmierdzieć, ile tylko ma ochotę. A co wy, elfy, możecie nam zaoferować? Jesteście... jesteście już tylko folklorem. Spóźniliście się na pociąg, można powiedzieć. Pozostały wam tylko złośliwe psoty i głupie sztuczki.

— Mogłabym cię zabić samą myślą — oświadczyła Wilcza Jagoda z chytrą miną.

— Ojoj... — Tiffany uniosła rękę, by powstrzymać Feeglów, z których każdy chciał zadać cios jako pierwszy. — Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. To byłby twój ostatni wyczyn.

Drobna, szczupła twarz elfki zadrżała — królowa uświadomiła sobie, że otaczają ją ci, których nie rozumie.

— Nie płacz, proszę — powiedziała Tiffany. — Elfka, która była królową... która znów chce nią być... nie powinna płakać.

— Królowa nie powinna, ale ja jestem tylko szczątkiem królowej, zagubionym wśród dziczy.

— Nie. Jesteś w stodole. Czy znasz sens pracy fizycznej?

Wilcza Jagoda zdziwiła się.

— Nie. Co to znaczy?

— To znaczy, że trzeba pracą zarabiać na utrzymanie. Jak sobie radzisz z łopatą?

— Nie wiem. A co to jest łopata?

— Ciężko będzie... — westchnęła Tiffany. — Posłuchaj: możesz tu zostać, dopóki nie poczujesz się lepiej, ale musisz się zająć jakąś pracą. Spróbuj.

But odbił się od klepiska obok niej — jeden z ojcowskich, z dziurą na czubku i jeszcze jedną, która z sympatii próbowała dołączyć na pięcie.

— Nie wytsymuje butów na własnych stopeckach, wis — oświadczył Ciut Szalony Arthur. — Ale pewnikiem pamiętos, zem był wychowany psez sewców, a łoni łopowiedzieli mi historyje o elfach. Ta chłystka, co jom tu cymos, moze mieć do tego talent, wis.

Wilcza Jagoda ostrożnie obracała but w dłoniach.

— Co to jest? — spytała.

— But — wyjaśniła Tiffany.

— I jokbym ino miał co do gadania, to zarozki bym takim butem w zadek cie trofił — warknął Duży Jan.

Tiffany odebrała but elfce i postawiła go na ziemi.

— Później porozmawiamy, Wilcza Jagodo — oświadczyła. — Dzięki za radę, Ciut Szalony Arthurze. Tak, znam tę opowieść[[39]](#footnote-39), ale myślę, że to tylko opowieść.

— Dzis, mówiłem ci, Ciut Salony Arthuze, ześ nie powinien słuchoć tej bandy starych sewcyków — uznał Rob.

\* \* \*

To był dzień zniszczonej pościeli i dziurawych butów, dzień nicowania i naprawiania. W dodatku, pomyślała Tiffany, trzeba przecież sprawdzić, co u małej Tiffany, zajrzeć do Becky Pardon i Nancy Upright — panna Tyk uważała, że obie dziewczyny mogą się przydać, jeśli Tiffany rzeczywiście chce mieć w Kredzie uczennicę. Nie mogła jednak prosić dziewcząt, by się wprowadziły, dopóki miała na farmie Wilczą Jagodę, a przynajmniej dopóki nie przygotuje dla nich naszyjników z podkową, żeby chroniło je żelazo. Cóż, sprawa musi zaczekać...

Przez cały dzień wracała na farmę między kolejnymi wizytami w domach. Na końcu odwiedziła pana Hollanda, młynarza. Na skórze miał już tylko kilka sinych plam, więc zostawiła pani Holland drugi słoik balsamu ze świątecznego korzenia, i ugryzła się w język, by nie odpowiadać na wyraźny przekaz szacownej damy: „Gdybyś tu była, nie użyłabym niewłaściwych ziół”.

Kiedy wróciła, znalazła Wilczą Jagodę skuloną w kącie stodoły. Bezlitosnym wzrokiem wpatrywała się w Ty, która wśliznęła się i teraz groźnie syczała na elfkę. Feeglowie zachęcali Ty, pokrzykując:

— Dalejze, kotecku! Dajze tej chłystce ciut podarek od Nac Mac Feeglów... — przerwane nagłym: — Łojzicku, chłopcy, wielka ciut wiedźma wróciła!

Tiffany stanęła w drzwiach, stukając butem o klepisko. Rob cofnął się przerażony.

— Och, nie... — zajęczał. — Ino nie Tupanie Nogom, pani!

Tiffany splotła ręce.

— Wis, pani, jak cięzko jest z tako misio! — jęknął Rob.

I Tiffany wybuchnęła śmiechem.

Ale Wilcza Jagoda miała do niej wiele pytań. W ciągu dnia widziała, jak na farmę przychodzą ludzie. Zjawiali się po lekarstwa, po rady, szukając życzliwego ucha, a czasem niestety także życzliwego oka, żeby obejrzało sińce.

— Dlaczego pomagasz obcym? — zwróciła się do Tiffany. — Nie należą do twojego klanu. Nic im nie jesteś winna.

— No cóż... Są wprawdzie obcy, ale myślę o nich po prostu jako o innych ludziach. O nich wszystkich. A innym ludziom należy pomagać. Tak robimy.

— A czy wszyscy tak robią? — zainteresowała się Wilcza Jagoda.

— Nie — przyznała Tiffany. — Smutne, ale to prawda. Ale wielu ludzi pomaga innym, ponieważ, no... ponieważ to inni ludzie. Tak już jest. Czy wy, elfy, tego nie rozumiecie?

— Powiedzmy, że próbuję się uczyć.

— I jakie wyciągasz wnioski?

— Stajesz się tak jakby służącą... — Wilcza Jagoda pociągnęła noskiem, marszcząc go delikatnie.

— Niby tak... — zgodziła się Tiffany. — Ale to bez znaczenia, bo pewnego dnia ta osoba może mi być potrzebna i wtedy najprawdopodobniej mi pomoże. U nas to działa. Zawsze działało.

— Przecież toczycie bitwy. To wiem.

— Owszem, ale nie cały czas. I to „nie” coraz lepiej nam wychodzi.

— Ale ty jesteś potężna. Mogłabyś rządzić światem.

— Naprawdę? Ale dlaczego miałabym próbować? Jestem czarownicą. Lubię być czarownicą i lubię też ludzi. Na każdą niemiłą osobę przypada jedna miła, na ogół. Jest takie powiedzenie: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”. To znaczy, między innymi, że jeśli się starasz, prędzej czy później znajdziesz się na szczycie, przynajmniej na chwilę. Niekiedy się potem budzisz i już nie jesteś na szczycie, ale trzeba się z tym godzić.

Próbowała spojrzeć Wilczej Jagodzie w oczy, przekonać się, co myśli, ale równie dobrze mogłaby patrzeć na ścianę. Oczy elfki nie zdradzały żadnych emocji.

— Pamiętam ciemność, deszcz, gromy i pioruny — dodała. — Co ci przyszło z tego wszystkiego? Tobie, elfce znalezionej w rowie?

Przynajmniej raz Wilcza Jagoda wydawała się speszona. Popatrzyła czujnie na Tiffany.

— Wasze sposoby... nie byłyby dla nas dobre. U nas każdy inny elf jest wyzwaniem. Zabijamy swoje królowe: każda inna jest rywalką i walczymy między sobą o ul. — Urwała na moment, jakby coś przyszło jej do głowy. — Wy też macie swoje królowe mądrości. To była babcia Obolała, babcia Weatherwax, i tak, również Tiffany Obolała. Starzejecie się, mądrość wzrasta, a potem jest przekazywana.

— Wy natomiast nigdy się nie rozwijacie. Trwacie w cyklu rozpadu — powiedziała cicho Tiffany. — I nie jesteście pszczołami. Pszczoły są produktywne, ale umierają młodo i nigdy, ale to nigdy nie mają samodzielnych myśli...

Twarz elfki przybrała dziwny wyraz. Musiała pomyśleć — ale naprawdę pomyśleć. Tiffany widziała to wyraźnie. Wilcza Jagoda miała minę kogoś, kto zaczął się zastanawiać nad światem, który się zmienił, światem pełnym żelaza i mniej przyjaznym dla baśniowych istot, światem, który te istoty lubi w opowieściach, ale już w nie właściwie nie wierzy, nie pozwala na wejście.

I starała się jakoś pogodzić te przemyślenia ze wszystkim, co dotąd wiedziała. A Tiffany widziała na jej twarzy gonitwę myśli.

\* \* \*

W dalekim Lancre królowa Magrat usłyszała o wydarzeniach w Ramtopach — o ataku na drwali, o ofiarach, utraconym drewnie.

Elfy, pomyślała. Poprzednim razem je przepędzili, ale nie było to łatwe. A dzisiaj wiele czasu minęło, odkąd przestała wystawiać straże — no, w każdym razie Shawna Ogga — przy kręgu kamieni zwanych Tancerzami, albo sprawdzać, czy zamek dysponuje zapasem podków do rozdawania.

Wiedziała, że pamięć nie jest wieczna, a dawne opowieści mają moc, że wszyscy zapomnieli, jak to „uroczy” naprawdę oznacza „rzucający urok” i w jaki sposób powala uroda elfów. Jej poddani pamiętali tylko, że elfy pięknie śpiewają. Zapomnieli pewnie, o czym były te pieśni.

Magrat była nie tylko królową, ale i czarownicą, ma się rozumieć. I chociaż ostatnio jednak głównie królową, jej czarownicza cząstka wiedziała, że równowaga została zakłócona, że babcia Weatherwax zostawiła po sobie pustkę. Nieważne, jak ciężko pracowała Tiffany, by ją wypełnić — ona i ten miły chłopak, który jej ostatnio pomagał; trudno będzie zastąpić babcię. Zawsze utrzymywała barierę, pilnowała jej.

Jeśli bariera nie jest już mocna... Magrat zadrżała. Każdy, kto spotkał się w życiu z rasą elfów, wiedział, że jedyną rozsądną reakcją jest groza. Ponieważ elfy były niczym zaraza, która może rozprzestrzenić się bardzo szybko, niszcząc, raniąc, krzywdząc i zatruwając wszystko, czego dotknie. Nie chciała elfów w Lancre.

Zatem rankiem królowa Magrat podeszła do garderoby i wyjęła z niej swoją ukochaną miotłę. Usiadła na niej i bardzo delikatnie spróbowała się wznieść. Ku jej zaskoczeniu, miotła wystartowała powoli i płynnie wzleciała nad zamkiem, więc przez kilka minut Magrat radośnie krążyła w powietrzu.

To jednak prawda, powiedziała sobie. Kto raz był czarownicą, zawsze nią będzie.

Jako posłuszna żona — kiedy chciała nią być — wieczorem tego dnia wspomniała o swoich zamiarach mężowi. Verence przyjął to ze spokojem.

— Wracasz do starej miotły, kochanie? Cieszę się, że to słyszę — zapewnił. — Widziałem twoją twarz za każdym razem, kiedy w pobliżu przelatywała czarownica... Nikt nie potrafi utrzymać ptaka w łańcuchach.

— Nie czuję się jak ptak w klatce, skarbie — odparła Magrat z uśmiechem. — Ale nie mamy już babci i uważam, że muszę pomóc.

— Słusznie. Wszystkim nam ciężko się pogodzić z tym, co zaszło, ale jestem pewien, że pani Obolała pójdzie w ślady babci.

— To nie tak — odparła królowa Magrat. — Raczej podąża własnym śladem. — Westchnęła. — Ale elfy coś knują. Wydaje mi się, że Tiffany będzie dzisiaj w chatce babci... to znaczy w swojej chatce... więc muszę polecieć, spotkać się z nią, zaproponować pomoc...

Verence drgnął na wspomnienie elfów.

— Oczywiście — mówiła stanowczym tonem Magrat — zamierzam też być dobrym wzorem dla naszych dzieci. Młoda Esme szybko rośnie, więc trzeba jej pokazać, że obowiązki królowej to nie tylko machanie do poddanych. Nie chcielibyśmy przecież, żeby zaczęła całować żaby, prawda? Wszyscy wiedzą, jak to się może skończyć[[40]](#footnote-40).

Odwróciła się jeszcze w drzwiach i rzuciła mężowi chustę do noszenia dzieci.

— Jestem przekonana — dodała ze słodyczą w głosie — że przez ten krótki czas potrafisz doskonale zadbać o nasze dzieci.

Verence uśmiechnął się blado.

Magrat zrobiła minę, jaką tylko u czarownicy można zobaczyć. Verence trzyma je czasem za nogi, głową w dół, pomyślała. Jest bardzo mądry, ale wystarczy dać mu dziecko, a właściwie nie wie, co ma robić.

Uśmiechnęła się. Verence naprawdę się starał. Kiedy go poprosiła, żeby zmienił pieluchę, bo Millie akurat pomagała w kuchni, skrzywił się, ale przecież spróbował.

\* \* \*

— Chcę pomóc — oświadczyła stanowczo Magrat.

Wylądowała miotłą przed tym, o czym jeszcze obie myślały jako chatce babci Weatherwax. Tiffany przybyła ledwie godzinę wcześniej — wieści szybko dotarły do zamku, zwłaszcza że Magrat poinformowała wszystkich, że na nie czeka.

— Jestem królową, ale byłam też niezłą czarownicą — dodała.

Tiffany spojrzała jej w oczy i zobaczyła tam pragnienie, by być czarownicą raz jeszcze, choćby na krótko.

— Mamy tu elfy, Tiffany! Elfy!

A Tiffany przypomniała sobie opowieści babci Weatherwax o tym, jak Magrat walczyła z elfami poprzednim razem — jednemu strzeliła w oko z kuszy, naprawdę!

— Mam doświadczenie, Tiffany — ciągnęła Magrat. — A kiedy elfy zaczną przechodzić z większą siłą, przyda ci się każdy. — Zawahała się. — Nawet nowicjuszki. Rozmawiałaś z panną Tyk?

— Tak. Mówiła, że znalazła jedną czy dwie obiecujące dziewczyny. Ale nie każda może zostać czarownicą, nawet jeśli bardzo chce. W tej chwili nie... nie mogę nikogo przyjąć do mojego gospodarstwa w Kredzie.

— Czemu nie? I co z tą twoją przyjaciółką Petulią, tą z talentem do świń?

— Ma umiejętności — odparła Tiffany, ignorując pierwsze pytanie Magrat. — Ale Petulia pomaga mężowi prowadzić farmę. Mówi, że całe dnie spędza między stworzeniami, które robią „chrum”, i dotyczy to również niektórych starych hodowców. Zresztą musi pani przyznać, że zanudzanie świń jest potrzebne wszystkim, nawet świniom. Strasznie jest słuchać ich kwików, kiedy jej nie ma.

— Być może i tak będzie tu potrzebna, świnie czy nie. Poza tym ciężkie i mocne buty mogą zatrzymać strzałę. — Magrat zastanowiła się. — Czy wykryłaś jakieś ślady elfów w Kredzie?

Tiffany zaczerwieniła się, niepewna, jak Magrat przyjmie wieści o Wilczej Jagodzie; z niejakim poczuciem winy uznała, że przynajmniej nie będzie musiała przyznawać się bezpośrednio niani Ogg. Opowiedziała więc najpierw o piwie, potem o byłej królowej. O tym, że elfka ukrywa się na farmie rodziców Tiffany, pilnowana przez Feeglów, którzy nie dopuszczą, by inne elfy jej pomogły.

Magrat wiedziała, że Feeglowie nie pozwolą elfce na żadne sztuczki, ale i tak była zdumiona.

— Chcesz mi powiedzieć, że twoim zdaniem można wierzyć elfowi? — spytała. Pobladła lekko. — Żaden nie jest godny zaufania. Pewnie nawet nie znają znaczenia tego słowa. A jednak temu zaufałaś. Dlaczego?

— Nie — zaprotestowała Tiffany. — Wcale jej nie ufam. Uważam jednak, że chce przeżyć. Wilcza Jagoda zdążyła sama się przekonać, że nasz świat się zmienił. Chodzi o żelazo. A teraz odkrywa idee wcześ­niej sobie nieznane. Chyba robimy pewne postępy i uważam, że warto próbować. Może potem wróci do Krainy Baśni i... i przekona inne elfy, by myślały tak jak ona. By zostawiły nas w spokoju.

Urwała na moment.

— Pani Magrat — podjęła. — Kelda Feeglów ostrzegała mnie. Mówiła, że odejście babci Weatherwax pozostawiło... otwór. I że musimy bardzo uważać. Z całą pewnością chodziło o elfy. Więc jeśli ten jeden może jakoś pomóc, to muszę zaryzykować...

— Hm... Ale jeśli nadejdą te inne, będziesz potrzebowała pomocy, Tiffany — stwierdziła Magrat. Zastanowiła się. — Jak rozumiem, baron Kredy ma żonę, która jest czarownicą...

— Tak. Letitia Keepsake. Ale nie była przeszkolona, a jej mąż jest trochę... jak by to powiedzieć... trochę snobistyczny.

— Cóż... — Magrat westchnęła. — Jeśli chcesz, polecę tam któregoś dnia i wpadnę do nich na herbatkę. Zasugeruję bardzo delikatnie, że idea bycia czarownicą dla ludu jako takiego to może być dobry pomysł. Mój Verence, jak wiesz, lubi, kiedy myślą o nim jako władcy dobrym dla ludu. Z pewnością uważa, że pracując jako czarownica, jestem dobrym przykładem dla mieszkańców. Czasem nawet mówi coś takiego, ale i tak go kocham. Myśl, że Letitia zostanie przyjaciółką królowej, na pewno powstrzyma protesty jej męża.

— Jestem zaskoczona — przyznała Tiffany. — Tak po prostu?

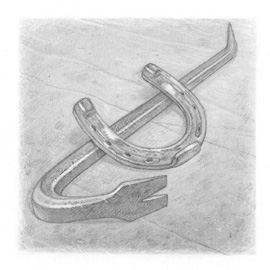
— Możesz mi wierzyć — zapewniła królowa Magrat. — Wiesz, korony są ważne.

\* \* \*

Lecąc z powrotem do Kredy, Tiffany czuła się spokojniejsza i nawet zadowolona. Magrat będzie wartościowym sprzymierzeńcem, niewykluczone, że pomoże też Letitia. Ale wciąż miały za mało czarownic, a to znaczy, że trzeba koniecznie szukać nowych. Gorączkowo szukać. Trzeba ściągnąć wszystkie, prawdziwe i potencjalne, i nauczyć je choćby podstaw sztuki walki z urokiem elfów.

Elfy! Złośliwe dla samej złośliwości. Jak mówiła kiedyś babcia Obolała, mogłyby ukraść laskę człowiekowi bez nóg. Paskudne, nieprzyjemne, głupie, irytujące... — kłopoty i chaos dawały im radość. Gorzej. Niosły ze sobą całkiem realną grozę, strach i cierpienie... I jeszcze śmiały się, a to fatalnie, gdyż ich śmiech był melodyjny i człowiek musiał się zastanawiać, w jaki sposób taka cudowna muzyka może pochodzić od tak ohydnych kreatur. Nie dbały o nikogo prócz siebie, a może i to nie.

Ale Wilcza Jagoda... Być może istniał przynajmniej jeden elf, który rozumiał, że kręcą się koła czasu. Zwłaszcza te żelazne...



Rozdział piętnasty

BÓG W KURHANIE

W mroku nocy, w Kredzie, koło czasu stanowczo zacięło się na dawnym stylu — co podobało się trójce elfów, tańczących przez leśny mrok. Ten świat był tu dla ich przyjemności, by dawać im rozrywkę, bawić i zachwycać. A stworzenia tu żyjące służyły tylko za zabawki — zabawki, które czasem jęczały, uciekały i wrzeszczały, gdy elfy śmiały się i śpiewały.

Zauważyły nieduży domek, ubogi z wyglądu, z nieco uchylonym oknem. Z wnętrza dobiegały głosy dzieci, okrytych kocykami, gaworzących z zadowoleniem przez sen, z brzuszkami pełnymi matczynego mleka.

Elfy uśmiechnęły się do siebie i łakomie oblizały wargi. Dzieci...

Twarze pojawiły się w oknach. Drapieżne twarze z oczami łowców.

A potem czyjaś ręka wsunęła się do wnętrza i połaskotała pod brodą najbliższego niemowlaka. Dziewczynka obudziła się i z zachwytem zapatrzyła na cudowną postać nad sobą — urok elfa jarzył się i promieniował w ciemnym pokoiku. Dziecko wyciągnęło paluszki, by dotknąć ślicznego pióra...

\* \* \*

Zadowolenie Tiffany trwało jeszcze chwilę po tym, jak położyła się do łóżka. Poczuła nagle jakby łaskotanie w głowie, a potem wewnętrznym okiem zobaczyła małą Tiffany Robinson — dziecko, którego w tym tygodniu nie udało się jej odwiedzić, małą dziewczynkę, na którą rzuciła zaklęcie kontrolne.

Ale tym razem nie chodziło o to, że mama i tato zaniedbywali małą Tiff.

Porwały ją elfy!

Tiffany miała wrażenie, że miotła leci przeraźliwie wolno. W niedużym lesie wypatrzyła grupkę trzech elfów, bawiących się małą dziewczynką. To, co wtedy poczuła, nie było gniewem. Było czymś o wiele bardziej zabójczym, i kiedy miotła sunęła naprzód, Tiffany pozwoliła, by uczucie to rozpaliło się... i uwolniło.

Elfy śmiały się, ale Tiffany zanurkowała na miotle i płomienie strzeliły ku nim z jej palców. A potem patrzyła, jak elfy się palą. Dygotała z furii tak szaleńczej, że mogła ją pochłonąć. Gdyby tej nocy spotkała więcej elfów, też skończyłyby martwe.

Powstrzymała się, nagle przerażona tym, co uczyniła. Zabija tylko czarownica, która przeszła w ciemność, wrzeszczała na siebie w myślach.

A inny głos odrzekł: przecież to były tylko elfy. I krzywdziły dziecko.

Pierwszy głos odpowiedział chytrze: Wilcza Jagoda też jest tylko elfem...

A Tiffany wiedziała, że jeśli czarownica zaczyna o kimś myśleć jako „tylko” kimś, stawia pierwszy krok na dobrze wydeptanej ścieżce, która może doprowadzić do... no, do zatrutych jabłek, wirujących kołowrotków, za małego pieca... i do bólu, przerażenia, grozy i ciemności.

Ale stało się. A czarownica musi być praktyczna, więc Tiffany owinęła dziecko swoją chustą i wolno poleciała do domu Robinsonów — choć lepszym określeniem byłaby chyba „buda”. Na jej pukanie zareagował młody pan Robinson. Zdziwił się, zwłaszcza kiedy Tiffany pokazała mu jego małą córeczkę, opatuloną w chustę czarownicy.

Wyminęła go i stanęła przed jego żoną. Są młodzi, owszem, myślała, ale to nie znaczy, że muszą być głupi. O tej porze roku zostawić otwarte okno? Przecież każdy chyba słyszał o elfach...

Mama mówiła, że grzeczne dziecię

Nie bawi się z elfami w lesie...

— Sprawdziłam, co z chłopcami — zapewniła Milly. — I chyba wszystko u nich w porządku.

Zaczerwieniła się, kiedy Tiffany podała jej dziewczynkę, a Tiffany to zauważyła.

— Coś ci powiem, Milly. Ta mała ma przed sobą wielką przyszłość. Jestem czarownicą, więc to wiem. Ponieważ pozwoliłaś mi nadać jej swoje imię, dopilnuję, żeby moja imienniczka miała wszystko, czego jej potrzeba... i pamiętaj, mówię o twojej córce. W pewnym sensie jest też częściowo moja. Ci mocni chłopcy sami o siebie zadbają. I nie zostawiaj otwartych okien w takie noce jak ta! Zawsze ktoś patrzy. Wiesz o tym. Więc niech jej nie spotka żadna krzywda.

Ostatnie zdanie prawie wykrzyczała. Ta rodzina potrzebuje czasem lekkiego szturchnięcia i ona tego dopilnuje. A jeśli zaniedbają swoje obowiązki, nastąpi rozliczenie. Może tylko łagodne rozliczenie, żeby zrozumieli.

Ale kiedy już leciała w stronę domu, wiedziała, że musi porozmawiać z inną czarownicą.

Porwała z sypialni ciepłą pelerynę. Nagle dostrzegła lśnienie pasterskiej korony na półce i pod wpływem nagłego impulsu wcis­nęła ją do kieszeni. Palce objęły dziwny kamień, przesunęły się po pięciu ostrych grzbietach i Tiffany poczuła, że wpływa w nią energia, że twardość krzemienia w sercu korony przypomina jej, kim jest.

Muszę zawsze mieć ze sobą kawałek Kredy, zrozumiała. Moja kraina daje mi siłę, wspomaga mnie. Przypomina, kim jestem. Nie jestem zabójcą. Jestem Tiffany Obolałą, czarownicą z Kredy. I potrzebuję swojej krainy przy sobie.

Pomknęła przez nocne niebo ku Lancre; chłodne powietrze świszczało wokół, a oczy sów śledziły ją w blasku księżyca.

Zbliżał się świt, gdy dotarła do domu niani Ogg. Niania była już na nogach, a raczej jeszcze się nie położyła, gdyż spędziła noc przy łożu śmierci. Otworzyła drzwi i zbladła trochę, kiedy zobaczyła twarz Tiffany.

— Elfy? — spytała posępnie. — Wiem, Magrat mi mówiła. Miałaś kłopoty w Kredzie?

Tiffany kiwnęła głową. Chłód nagle ją opuścił i szloch ścisnął w krtani. Przy obowiązkowym kubku herbaty w ciepłej kuchni opowiedziała niani, co zaszło.

I w końcu doszła do najtrudniejszego fragmentu.

— Te elfy... Z małą Tiffany — wykrztusiła tylko. — Chciały... — Zająknęła się i przełknęła ślinę. — Zabiłam wszystkie trzy... — wyszeptała.

I zrozpaczona popatrzyła na nianię.

— I dobrze — stwierdziła niania. — Bardzo słusznie. Nie przejmuj się, Tiff. Jeśli próbowały skrzywdzić dziecko, to co jeszcze mogłabyś zrobić? Ale... nie sprawiło ci to przyjemności? — upewniła się. Oczy błyszczały jej czujnie na pomarszczonej twarzy.

— Pewnie że nie! — zawołała Tiffany. — Ale nianiu, ja po prostu... zrobiłam to, prawie bez zastanowienia!

— I może niedługo znowu będziesz musiała, jeśli elfy nadal będą się pojawiać — uprzedziła niania. — Jesteśmy czarownicami, Tiffany. Jest powód, dla którego mamy moc. Musimy tylko pamiętać, żeby to był właściwy powód, a jeśli elf przychodzi i krzywdzi dziecko, to możesz mi wierzyć, jest właściwy. — Zastanowiła się. — Wiesz, kiedy ludzie robią złe rzeczy, czemu mieliby się dziwić, że złe rzeczy im też się przytrafiają? Pamiętam, jak Esme mi kiedyś mówiła... Była w jakiejś osadzie, Szpachli czy Szpichli, coś w tym rodzaju. Ludzie chcieli powiesić takiego typa, co zabił dwoje dzieci. On wiedział, że na to zasłużył; powiedział chyba coś w stylu „Zrobiłem to przez gorzałkę, a skończę przez konopie”.

Usiadła ciężko i pozwoliła, by Greebo ułożył się jej na kolanach.

— Taka jest rzeczywistość, Tiff — dodała. — Życie i śmierć. Sama wiesz.

Podrapała kocura za tym, co ktoś o bardzo słabym wzroku mógłby uznać za ucho.

— Małej nic się nie stało? — spytała.

— Nie. Oddałam ją rodzicom, ale oni... nie mogą... nie potrafią... porządnie jej przypilnować.

— Niektórzy zwyczajnie nie chcą dostrzec prawdy, nawet kiedy pokażesz im palcem. To jest właśnie problem z elfami. Stale będą wracać. — Niania westchnęła ciężko. — Ludzie opowiadają o nich historie, Tiff. Jakby były zabawne... Całkiem jakby ten ich urok zostawał w głowach, przekonywał, że elfy to żaden kłopot. Ot, trochę psocą.

Niania zagłębiła się w fotelu, strącając ze stolika obok jakąś rodzinną pamiątkę.

— Feeglowie — rzekła. — Oni psocą. Ale elfy? Elfy są inne. Pamiętasz, jak Przebiegły zakradał się ludziom w myśli? Jak skłaniał ich, żeby robili różne rzeczy? Okropne rzeczy?

Tiffany przytaknęła; umysł odtworzył przerażające obrazy, choć nie spuszczała wzroku z leżącego na podłodze bibelotu — prezentu z Quirmu od którejś z synowych, a niania nawet nie zauważyła, że go strąciła. Niania. Która dbała o każdy drobiazg, jaki dostała od krewnych. Która nigdy nie przeoczyła żadnego uszkodzenia.

— No więc to nic w porównaniu z tym, co mogą zrobić elfy — mówiła dalej stara czarownica. — Niczego nie lubią bardziej od widoku cierpienia i strachu, nic ich bardziej nie śmieszy. I uwielbiają porywać dzieci. Dobrze, że tym razem udało ci się im przeszkodzić. Ale wrócą.

— W takim razie będą musiały zginąć znowu — oświadczyła zimno Tiffany.

— Jeśli tam będziesz...

Tiffany przygarbiła się.

— Ale co jeszcze można zrobić? Nie możemy być wszędzie.

— Jak wiesz, kiedyś udało się je przepędzić. Ciężko było, owszem, ale możemy to zrobić i teraz. Czy ta twoja elfka może pomóc?

— Wilcza Jagoda? Przecież nie zechcą jej słuchać! Wyrzuciły ją!

Niania zastanawiała się przez chwilę, aż wyraźnie podjęła decyzję.

— Jest ktoś, kogo mogłyby posłuchać... a przynajmniej kiedyś go słuchały. Jeśli zdołamy go przekonać, by się zainteresował. — Z uznaniem przyjrzała się Tiffany. — Nie lubi, kiedy mu się przeszkadza. Ale kiedyś odwiedziłam go z przyjacielem[[41]](#footnote-41). — Na to wspomnienie oczy niani zaszły mgłą. — Myślę też, że w przeszłości zamienił parę słów z babcią. Ale lubi dziewczęta. Taka ładna i młoda panna jak ty może go jakoś przekonać.

Tiffany zjeżyła się.

— Nianiu, nie sugerujesz chyba...

— Na bogów, skąd! Nic w tym rodzaju. Tylko trochę... przekonywania. Przekonywanie ludzi dobrze ci idzie, nieprawdaż...

— Przekonywania mogę spróbować. — Tiffany trochę się uspokoiła. — A kto to jest i dokąd mam pójść?

\* \* \*

Długi... Tiffany wiele słyszała o Długim — kurhanie prowadzącym do siedziby króla elfów. Głównie od niani Ogg, która już raz wybrała się tam i spotkała z królem, kiedy elfy zaczęły się robić nieznośne.

Profesorowie powiedzieliby, że król żyje w podłużnym kopcu z pradawnych czasów, kiedy ludzie nie nosili odzieży i nie było tak wielu bogów. W pewnym sensie sam był bogiem — bogiem życia i śmierci, a Tiffany miała wrażenie, że również brudu i obszarpanych ubrań. Mężczyźni nadal czasami przychodzili, by tańczyć przy kurhanie, z rogami na głowach oraz — zwykle — mocnymi napitkami w rękach. Może nie należy się dziwić, że trudno im było przekonać kobiety, by przychodziły tu z nimi.

Kurhan składał się z trzech kopców, bardzo sugestywnych kopców, których nie mogła nie rozpoznać żadna wiejska dziewczyna, często oglądająca w akcji owce i bydło. Dziewczęta, które uczyły się na czarownice, zawsze głośno chichotały po pierwszym przelocie, kiedy zobaczyły je z powietrza.

Tiffany szła zarośniętą ścieżką, przeciskając się przez ciernie i gałęzie drzew. W pewnym momencie musiała wyplątać swój kapelusz ze szczególnie natrętnego krzaka, ale wreszcie dotarła do wejścia, przypominającego otwór jaskini. Poczuła dziwną niechęć, by przejść pod nadprożem, obok wydrapanego rysunku mężczyzny z rogami i ruszyć w dół po schodach, o których wiedziała, że je znajdzie, gdy odsunie kamień u wejścia.

Nie mogę stanąć przed nim sama, pomyślała ze zgrozą. Potrzebny mi ktoś, kto przynajmniej opowie, jak zginęłam.

— Łojzicku! — odezwał się ciut głos obok niej.

— Rob Rozbój?

— Ano jo. Wis, coły cos za tobom chodzimy. Jesteś wiedźmom wzgóz, a Długi to psecie takie wzgóze.

Ale...

— Proszę, Rob, zaczekajcie przy wejściu. Muszę to załatwić samodzielnie — oświadczyła, nagle całkowicie pewna, że to właściwa decyzja. Zabiła trzy elfy, a teraz stanie przed ich królem. — Tu o wiedźmienie chodzi, wis.

— Ino ze my znomy króla — odparł Rob. — I jak zabiezem sie z tobom, mozemy walcyć z tym paskudem w jego świecie.

— Ano — zgodził się Ciut Groźny Szpic. — Wielki chłopecek, wis, ale jak bogiel Feeglem łoberwie, to sybko nie zabacy.

Na próbę przyłożył któremuś kamieniowi: głowa z głośnym stukiem odskoczyła kilka razy od skały.

Tiffany westchnęła.

— Tego się łobawiom... to znaczy się boję. Chcę poprosić króla o pomoc, a nie go złościć. A wiem, że Feeglowie i on mają długą historię.

— Ano, to my — zgodził się z dumą Rob. — My som historiom.

— Ni ma króla, ni ma królowej, ni ma pana! — ryknęli wszyscy Feeglowie.

— Ni ma Feeglów — odparła stanowczo Tiffany. Nagle spłynęło na nią natchnienie. — Potrzebny mi jesteś tutaj, Robie Rozbóju — wyjaśniła. — Muszę załatwić swoje wiedźmie sprawy z królem tak, żeby nikt mi nie przeszkadzał. — Zawahała się. — Wiecie, że krążą tu elfy. I gdyby jakieś próbowały szukać swojego króla, chcę, żebyś ty, Robie Rozbóju, ty, Ciut Groźny Szpicu, wy wszyscy, nie pozwolili im zejść tam za mną. Musicie to dla mnie zrobić. Czy to jasne?

Burczeli niechętnie, ale Rob się rozpromienił.

— Znocy, możemy chłystków poządnie skopać, tak?

— Tak — przyznała Tiffany ze znużeniem.

Feeglowie krzyknęli radośnie:

— Nac Mac Feegle, hej ho!

Zostawiła ich kłócących się, który ma pilnować której części Długiego; Ciut Groźny Szpic entuzjastycznie walił głową o kamienie wejścia, żeby mieć trochę rozgrzewki przed tym, co — miał nadzieję — nadciąga. Sama zaś Tiffany wkroczyła w cuchnącą ciemność, ściskając mały lewarek, jaki ze sobą zabrała, razem z podkową. Drugą rękę wsunęła do kieszeni i mocno ścisnęła pasterską koronę — jej ziemię, jej korzenie. Przekonamy się, czy naprawdę jestem wiedźmą wzgórz, myślała.

Chwyciła blokujący wejście wielki kamień.

Uniósł się lekko — lewarek okazał się zbędny; zgrzytając cicho, przesuwał się wyżej i wyżej, odsłaniając stopnie w głębi. Tiffany ruszyła w dół, w coraz głębszą ciemność, wkoło i wkoło, do samego serca kurhanu.

Do przejścia między światami.

Do świata króla elfów, który dryfował tam między czasem i przestrzenią, w krainie swych rozrywek. Było gorąco, choć nie widziała ognia — żar zdawał się unosić z ziemi.

I cuchnęło. Wokół unosił się odór męskości, niepranych ubrań, stóp i potu. Wszędzie stały butelki, a na końcu hali siłowali się nadzy mężczyźni: stękali i dyszeli, skręcając się i zwijając w walce, a ich ciała błyszczały jak oblane wiadrem tłuszczu. Nie zauważyła żadnych kobiet — to była kraina, gdzie mężczyźni szukali własnych zabaw, nie myśląc o płci przeciwnej. Kiedy jednak zauważyli Tiffany, znieruchomieli, zasłaniając dłońmi swoje kluczowe części, jak by je nazwała niania Ogg. Ha, wielkie i silne chłopy, pomyślała Tiffany, kiełbasa i sadzone wiszą wam między nogami, ale teraz się wystraszyliście, co? Jestem dziewicą... ale też wiedźmą.

Zauważyła króla elfich ludów. Był dokładnie taki, jak go opisywała niania, również cuchnący, oczywiście, ale też w jakiś sposób niezwykle atrakcyjny. Wpatrywała się w rogi na jego głowie, starając się nie zerkać na kiełbasę i sadzone, które były... wielkie.

Król westchnął, wyciągnął nogi i stuknął kopytami o skałę; zwierzęcy zapach, jakby borsuka w rui, uniósł się i popłynął ku niej.

— Ty, młoda kobieto — odezwał się leniwie, a jego głos był jak zaproszenie do romansu, do zepsucia, do rozkoszy, o których człowiek nie wiedział, że ich pragnie, aż do tej chwili. — Przybyłaś do mojego świata. Jesteś czarownicą, prawda?

— Rzeczywiście jestem — potwierdziła Tiffany. — I przychodzę prosić króla elfów, by był prawdziwym królem.

Zbliżył się, a Tiffany usiłowała się nie cofnąć, gdy jego odór nabrał mocy. Uśmiechnął się lubieżnie, a ona pomyślała: Wiem, kim jesteś i czym jesteś, i sądzę, że niania Ogg musiała cię lubić...

— Kim jesteś? — zapytał. — Po stroju sądząc, istotnie wydajesz się czarownicą, ale czarownice są stare i raczej pomarszczone. Ty, dziewczyno...

Czasami, pomyślała Tiffany, mam już serdecznie dość bycia młodą[[42]](#footnote-42). Młodość zwróciła jego uwagę, ale mnie potrzebny jest jego szacunek.

— Może i jestem młoda, panie — rzekła stanowczo. — Ale, jak zauważyłeś, jestem wie... czarownicą. I chcę ci powiedzieć, że zabiłam trzech z twojego ludu.

To powinno wystarczyć, pomyślała, ale król tylko się roześmiał.

— Zaciekawiłaś mnie, dziewczyno — przyznał, przeciągając się ociężale. — Nie czynię krzywd — dodał leniwie. — Ja tylko śnię, ale moi poddani, och, cóż mogę zrobić? Muszę pozwolić im na przyjemności, jak i sobie pozwalam.

— Ale ich przyjemności nam nie odpowiadają — odparła Tiffany. — Nie w moim świecie.

— Moim świecie... Król parsknął. — Och, dumna jesteś, dziewczynko. Może chciałabyś zostać jedną z moich dam? Królowa powinna być dumna...

— Twoją królową jest lady Wilcza Jagoda — przypomniała Tiffany, choć kolana jej zadrżały, gdy usłyszała królewskie zaproszenie.

Tu zostać? Z nim?, krzyczał umysł. Mocniej chwyciła pasterską koronę. Jestem Tiffany Obolała z Kredy, powiedziała sobie. I mam w duszy krzemień.

— Wilcza Jagoda jest moim... gościem — dodała. — Może nie wiedziałeś, panie, że twoja królowa została wypędzona z Krainy Baśni przez lorda Groszka.

Król leniwie rozciągnął wargi w uśmiechu.

— Wilcza Jagoda... — wymruczał. — Cóż, mam nadzieję, że odpowiada ci jej towarzystwo. — Rozsunął nogi, a Tiffany aż przełknęła ślinę. — Zaczynasz mnie nużyć, dziewczyno. Czego chcesz ode mnie?

— Żebyś przemówił swoim elfom do rozumu — odparła Tiffany. — Bo nastąpi rozliczenie.

Głos niemal jej zadrżał przy ostatnich słowach, ale musiały być wypowiedziane, tak jest.

Zabrzmiało głębokie westchnienie, po czym król ziewnął i znów się położył.

— Przychodzisz do mojej dziedziny i mi grozisz? — Jego głos był jak pieszczota. — Wytłumacz mi więc, czemu miałbym się przejmować tymi elfami, które bawią się w waszych krainach? Nawet lady Wilczą Jagodą? Są inne światy. Zawsze są inne światy.

— Ale mój nigdy nie był miejscem dla elfów — oświadczyła Tiffany. — Nigdy nie należał do was. Przyczepiliście się do niego jak pasożyty, i braliście, na co wam przyszła ochota. Jednak muszę ci powiedzieć, że nadeszły dni żelaza. Nie tylko podków, ale żelaza i stali, wykutych w biegnące przez krainy długie linie. Nazywają się tory kolejowe, panie, i okrążają cały Dysk. Ludzi interesują rzeczy mechaniczne, ponieważ rzeczy mechaniczne działają, w przeciwieństwie do bajań starych kobiet. Dlatego ludzie śmieją się teraz z wróżek i elfów, a kiedy się śmieją, wy słabniecie. Widzisz, nikt się już wami nie przejmuje. Mają sekary, koleje... to nowy świat. Ty i twoja rasa nie macie tu żadnej przyszłości, tylko w opowieściach...

To ostatnie słowo rzuciła niemal pogardliwie.

— Opowieści... — wymruczał król. — Droga do umysłów waszych ludów, pani. A ja mogę zaczekać. Opowieści przetrwają, choć te „tory”, o których wspominasz, dawno przepadną.

— Lecz ja nie zamierzam patrzeć, jak elfy porywają małe dzieci dla zabawy — rzekła Tiffany. — Ja i inne spalimy tych, którzy spróbują. To ostrzeżenie... Chciałabym, by było przyjacielskie, ale niestety, nie jest to możliwe. Żyjecie w czasach kolei i powinniście nas zostawić.

Król znowu westchnął.

— Może... — powiedział. — Może... odkrywanie nowych krain będzie zabawne. Ale mówiłem ci już, nie zamierzam odwiedzać waszego świata w tej epoce żelaza. Mam przecież cały czas, jakiego mi trzeba...

— A co z elfami, które już do nas przeszły?

— Och, zabij je, jeśli chcesz. — Król się uśmiechnął. — Ja mogę pozostać tutaj aż po kraniec czasu, ale wątpię, czy ty jeszcze tam będziesz. Jednak zawsze lubiłem kobiety, więc powiem ci, że jeśli elfy są głupie, zasługują na moje potępienie i twój gniew. Droga pani Obolała... tak, wiem, kim jesteś... przyciskasz do siebie dobre intencje, jak matka tuli swe młode. Ale czy powinienem pozwolić ci odejść? Kiedy szukam... rozrywki? — Westchnął. — Czasem tak bardzo pragnę nowych zabaw... Być może chciałbym pomajstrować przy czymś, odkryć nowe zainteresowania... A jednym z nich mogłabyś być ty. Myślisz, że pozwolę ci opuścić mój dom?

Oczy pod ciężkimi powiekami pieściły ją spojrzeniem.

Tiffany przełknęła ślinę.

— Tak, wasza wysokość. Pozwolisz mi odejść.

— Jesteś pewna?

— Tak.

Tiffany raz jeszcze zacisnęła palce na pasterskiej koronie i poczuła, że krzemień w środku daje jej siłę, ściąga z powrotem do rodzinnej krainy, do lądu pod falami.

Powoli zrobiła krok w tył...

...i o mało się nie potknęła o coś na podłodze za sobą.

Król także spojrzał. To była biała kotka. I Tiffany usłyszała jego głos, po raz pierwszy zdziwiony:

— Ty!

I to był koniec rozmowy. Tiffany i Ty pobiegły spiralą w górę, a na zewnątrz czekali Feeglowie, którzy patrolowali okolicę i wykorzystywali okazję do walki z jednym czy drugim drzewem — elfy wprawdzie się nie pojawiły, ale drzewa okazały się prawdziwymi chłystkami, bo wtykały kolczaste gałęzie prosto we włosy i w brody Feeglów. Należało im się parę solidnych kopniaków.

— Nie wiem, czy coś z tego będzie — powiedziała Robowi Tiffany, kiedy wynurzyła się z tunelu.

— No to niech se psychodzom — uspokoił ją Rob Rozbój. — Zawse mos swoich Feeglów. Ześmy som wiecni.

— Wiecni ino jak je co do picia! — dodał Ciut Groźny Szpic.

— W tej chwili, Rob, żaden z was nie powinien pić. Potrzebny nam plan. — Zastanowiła się. — Król nie pomoże, przynajmniej na razie. Ale szuka nowych rozrywek. Może jeśli zaproponujemy mu coś takiego, pomyśli o nas łaskawie i przynajmniej zostawi w spokoju?

Zostawi, żebyśmy zabijali jego elfy?, pomyślała. Mówił, że mu to nie przeszkadza. A jeśli zmieni zdanie?

— Zoden kłopot — oświadczył dumnie Rob, przekonany o swojej umiejętności tworzenia PLN-ów. — Ten król elfów... łonemu tsa cegoś do roboty, tak?

— Jak tym starszym mężczyznom w Lancre! — uświadomiła sobie Tiffany. — Rob, wiesz przecież, że Geoffrey namówił ich na budowanie szop... Wy kiedyś zbudowaliście gospodę. Jak trudna byłaby szopa?

— Nijak nietrudna. Dobze mówie, chłopcy? — zawołał Rob zadowolony, gdyż miał już swój PLN. — Rusojmy. — Popatrzył na Ty. — A jako to ten kotecek wsędzie za tobom biega, pani?

— Nie wiem — przyznała Tiffany. — Jest kotem. One chodzą wszędzie. No i należała wcześniej do babci Weatherwax, a to wiele tłumaczy.

Ale Rob już nie słuchał. Nie teraz. Myślał o swoim PLN-ie.

I następnego ranka, w pobliżu wyjścia z Długiego, stanęła szopa pełna wszystkiego, co dżentelmenowi niezbędne, łącznie z linką do łowienia ryb i każdym narzędziem, jakie można wymyślić — wszystkie z drewna albo z kamienia. Tiffany pomyślała, że król elfów powinien być zadowolony. Ale nie sądziła, by skłoniło go to do pomocy.

\* \* \*

W Krainie Baśni lord Groszek leżał na aksamitnej sofie, od niechcenia bawił się krezą piór na szyi i popijał z pucharu mocne wino.

Lord Lankin wszedł właśnie do jego komnaty i skłonił się przed nowym królem. Wspaniale nastroszona ruda kita oplatała mu szyję — pamiątka z ostatnich łowów.

— Wydaje mi się, panie — zaczął powolnym, jedwabistym tonem — że nasi wojownicy wkrótce zapragną... ciekawszych rozrywek w ludzkich krainach. Bariery są słabe, a ci z nas, którzy prześlizgują się tam na polowania, nie natrafiają na żaden realny opór.

Groszek się uśmiechnął. Wiedział, że jego elfy testują bramy, niektóre przeskakują przez kamienny krąg w Lancre, inne dokazują w pobliżu wiosek w Kredzie, uważając jedynie na małych rudowłosych ludzików, którzy niczego bardziej nie lubili niż bójki z elfem. Elfy przypominały Feeglów pod jednym względem: kiedy nie miały się z kim bić, walczyły między sobą. A starcia w Krainie Baśni były de rigueur — nawet koty są lepsze[[43]](#footnote-43).

Elfy umiały też chować urazę. Kochały urazę. Jeśli chodzi o dąsy, były dla nich cenioną rozrywką. A gdziekolwiek trafiły, tworzyły niewielkie obszary niepokoju, zachowywały się nieznośnie, powodowały zniszczenia dla samych zniszczeń, kradły krowy, owce, nawet jakiegoś psa. Ledwie wczoraj Gorczyczka porwał ze stada na wzgórzach starego tryka i wrzucił go do niedużego sklepu z porcelaną; śmiał się radoś­nie, kiedy zwierzak opuścił głowę i — tak jest — trykał rogami półki.

Nie było w tym jednak sensu ani porządku. Elfy powinny pokazać, na co naprawdę je stać. Być może, myślał Groszek, nadszedł czas, by poprowadzić je na wyprawę, o której jeszcze długo będą śpiewać pieśni.

Uśmiech przemknął po jego wąskiej, drapieżnej twarzy. Skinął dłonią, w jednej chwili zmieniając wytworną tunikę na taką ze skóry i piór, z wiszącą u pasa kuszą.

— Zamkniemy obręcz uroku wokół ich świata — zaśmiał się. — Ruszajcie, moje elfy, i figlujcie do woli. Ale kiedy ten zakrzywiony księżyc urośnie do pełnej glorii, ruszymy razem z całą siłą. Ten ląd znowu będzie nasz!

\* \* \*

W stodole na farmie ojca Tiffany patrzyła, jak Wilcza Jagoda się budzi. Wczoraj przygotowała dla niej nowy balsam: solidna dawka ziół zwrotnych, dzięki czemu elfka przespała mocno cały dzień, a jej ciało mogło w tym czasie odzyskiwać siły.

To także, przypadkiem, dało Tiffany szansę, by załatwić wizyty domowe, nie martwiąc się, co pod jej nieobecność zrobią Feeglowie. Jeśli to powtórzę, mogę nawet polecieć do Lancre i sprawdzić, co u Geoffreya, myślała. Wiedziała, że elfy nie skrzywdzą śpiącej elfki, ale gdyby była przytomna? Wystarczy, że Wilcza Jagoda wykona niewłaściwy ruch delikatnym paluszkiem, a ich instynkty mogą wziąć górę.

Oczywiście, nie ufała też elfce.

— Pora na spacer — oznajmiła, gdy Wilcza Jagoda przeciągnęła się i rozejrzała dookoła. — Chyba pora, żebyś zobaczyła trochę nowych ludzi.

Jak jeszcze mogłaby ją nauczyć reguł działania świata, skoro elfka oglądała tylko wnętrze stodoły i kilku skłonnych do wybuchu Feeglów?

Ruszyła więc z nią przez wieś, obok gospody, gdzie mężczyźni smętnie patrzyli w swoje kufle, wyławiając czasem jakieś paprochy. Minęły małe sklepiki, ostrożnie kluczyły wśród odpadków przed „Tacami na każdy sezon” pani Tumble, dalej drogą i z powrotem na łąki. Tiffany poprosiła ojca, by uprzedził sąsiadów, że chce sprawdzić nową dziewczynę, która pomoże jej przyrządzać lekarstwa, więc nikt nie patrzył prosto na nią, ale Tiffany była pewna, że kiedy przechodziły, ludzie obserwowali każdy szczegół. Dlatego nalegała, żeby elfka trochę złagodziła efekt swojego kostiumu mleczarki: żadnych kokardek ani wstążek i porządna para butów zamiast tych delikatnych pantofelków.

— Przyglądałam się ludziom — odezwała się Wilcza Jagoda, kiedy maszerowały z powrotem. — I nie potrafię ich zrozumieć. Widziałam kobietę, która dała staremu włóczędze parę pensów. Był dla niej nikim, więc czemu to zrobiła? Jak miałoby jej to pomóc? Nie pojmuję!

— Bo tak postępujemy — odparła Tiffany. — Magowie nazywają to empatią. To oznacza, że stawiasz się na miejscu innej osoby i spoglądasz na świat z jej punktu widzenia. To stąd, przypuszczam, że za bardzo dawnych czasów, kiedy ludzie codziennie walczyli o życie, musieli znaleźć innych, którzy walczyliby razem z nimi. W efekcie żyliśmy w grupach, rozumiesz, i rozwijaliśmy się. Ludzie potrzebują innych ludzi i tyle.

— No tak. Ale co ta starsza pani będzie miała z tego, że oddała komuś pieniądze?

— No cóż... Prawdopodobnie poczuje coś, co nazywamy „przyjemnym ciepłem”, satysfakcją, że pomogła komuś, kto tego potrzebował. Będzie to także zadowolenie, że nie jest na jego miejscu. W pewnym sensie widzi, jaki jest jego świat, i... cóż można powiedzieć... odchodzi z nadzieją.

— Ale ten włóczęga wyglądał, jakby mógł się zabrać do jakiejś pracy i zarobić własne pensy; ona jednak dała mu swoje.

Wilcza Jagoda wciąż usiłowała zrozumieć ludzką koncepcję pieniędzy — oczywiście elfy, kiedy tylko zechciały, mogły je wyczarować[[44]](#footnote-44).

— To prawda — przyznała Tiffany. — Takie rzeczy się zdarzają, choć nie zawsze. Ale staruszka teraz czuje, że zrobiła to, co właściwe. On może być zwykłym nicponiem, ale ona powie sobie, że sama jest dobrym człowiekiem.

— Widziałam już kiedyś króla waszej krainy, Verence’a. Przyglądałam mu się. Nie mówił ludziom, co powinni robić — zastanawiała się ciągle Wilcza Jagoda.

— Ma żonę, która jemu mówi — zaśmiała się Tiffany. — Tacy są ludzie. Aż do samych szczytów, do naszych królów i królowych, baronów i lordów. Nasi władcy rządzą za powszechnym przyzwoleniem, co znaczy, że chcemy ich jako władców, dopóki robią to, czego od nich oczekujemy. Dawno temu toczyliśmy wiele bitew, ale w końcu wszyscy znów zrozumieli, że lepiej pracować w zgodzie z innymi. Jedna osoba, samotna, nie zdoła przetrwać. Każdy człowiek stanowczo potrzebuje innych ludzi, by podtrzymali jego człowieczeństwo.

— Zauważyłam też, że nieczęsto używasz magii — dodała Wilcza Jagoda. — A przecież jesteś czarownicą. Jesteś potężna.

— My, czarownice, przekonałyśmy się, że taką moc lepiej zostawiać w domu. Magia i tak jest kapryśna, potrafi skręcać się, zwijać i źle rozumieć polecenia. Ale jeśli otoczysz się innymi ludźmi, będziesz miała takich, których nazywamy „przyjaciółmi”, to znaczy, że ich lubisz i oni ciebie lubią.

— Przyjaciele... — Wilcza Jagoda przetoczyła nowe słowo po języku i w myślach. — Czy jestem twoim przyjacielem?

— Tak. Mogłabyś być. — Tiffany rozejrzała się. — Słuchaj, spróbuj czegoś takiego. Tam idzie staruszka i dźwiga pod górę bardzo ciężki kosz. Pomóż jej i zobacz, co się stanie.

Elfka była przerażona.

— Co mam jej powiedzieć?

— Zapytaj: „Czy mogłabym pani pomóc?”.

Wilcza Jagoda nerwowo przełknęła ślinę, ale przeszła przez drogę i zaczepiła staruszkę. Tiffany usłyszała odpowiedź:

— Dobra z ciebie dziewczyna. Bardzo ci dziękuję. Niech bogowie cię mają w opiece za to, że pomogłaś starej babci.

Ku zaskoczeniu Tiffany, elfka poniosła kosz nie tylko na szczyt wzgórza, ale dalej drogą. Usłyszała jej pytanie:

— Jak żyjesz, pani?

Staruszka westchnęła.

— Pomalutku. Mój mąż umarł wiele lat temu, ale jestem niezła z igłą, więc szyję to i owo. Nie potrzebuję litości. Jakoś sobie radzę. Nadal mam swój dom. Jak to mówią, gorsze rzeczy zdarzają się na morzu...

Wilcza Jagoda patrzyła, jak staruszka odchodzi. Zwróciła się do Tiffany.

— Możesz dać mi trochę pieniędzy? Proszę.

— Wiesz, czarownice rzadko kiedy mają je przy sobie. Nie w takim świecie żyjemy.

Jagoda rozpromieniła się.

— No to mogę pomóc. Jestem elfem i z pewnością zdołam się dostać do miejsca, gdzie są pieniądze.

— Lepiej tego nie próbuj — odparła Tiffany. — Narobisz tylko kłopotów.

Zignorowała słyszalne obok drogi pomruki:

— Nie. Ino kiedy cie złapiom.

— My som dobzy w psedostawaniu sie do miejsc, wis — dodał inny Feegle[[45]](#footnote-45).

Wilcza Jagoda nie zwracała na nich uwagi. Wciąż myślała.

— Ta stara kobieta nie miała absolutnie nic, ale jednak była pogodna. Niby z czego tak się cieszyła?

— Z tego, że żyje — wyjaśniła Tiffany. — Przed chwilą widziałaś osobę, która stara się brać z życia to, co najlepsze. I czasem to najlepsze jest całkiem dobre. — Zastanowiła się. — Jak się czułaś? — spytała. — Kiedy niosłaś ten kosz...

Elfka była wyraźnie zdziwiona.

— Nie jestem pewna — powiedziała. — Ale też nie jestem pewna, czy tak, jak wypada elfowi... To dobrze?

— Posłuchaj — tłumaczyła Tiffany. — Magowie mówią nam, że w bardzo, ale to bardzo dawnych czasach ludzie byli jak małpy. I to bardzo sprytny pomysł, bo małpy wszędzie zaglądają. I w końcu zrozumiały, że jeśli jedna małpa próbuje zabić wielkiego wilka, staje się szybko martwą małpą. Ale jeśli dwie zbiorą się razem, to będą bardzo szczęśliwymi małpami, a szczęśliwe małpy tworzyły więcej szczęśliwych małp, aż było tych małp bardzo dużo, paplały, trajkotały i gadały przez cały czas, a w końcu stały się nami. A więc i elfy mogą się zmienić.

— Kiedy odzyskam królestwo... — zaczęła Wilcza Jagoda.

— Zaczekaj — przerwała jej Tiffany. — Czemu chcesz je odzyskać? Co dobrego ci dało? Zastanów się, ponieważ jestem istotą ludzką, która się tobą zaopiekowała, jedyną osobą, którą możesz nazwać przyjacielem. — Przyjrzała się elfce z powagą. — Mówiłam ci już, że będę... będziemy szczęśliwi, gdy znowu zostaniesz królową elfów, ale tylko jeśli czas spędzony tutaj naprawdę cię czegoś nauczy. Będziesz gotowa, by żyć w pokoju i uczyć swoje elfy, że świat się zmienił i nie ma tu już dla nich miejsca.

W jej głosie zabrzmiała nadzieja — nadzieja, że człowiek i elf mogą odmienić opowieści o ludziach i elfach.

Księżniczka nie musi być jasnowłosa i niebieskooka, ani nosić bucików rozmiaru mniejszego niż swój wiek, pomyślała. Ludzie mogą zaufać czarownicom i nie bać się starej kobiety z lasu — biednej staruszki, której jedynym przewinieniem jest to, że nie ma zębów i mówi do siebie.

Może elf potrafi się nauczyć miłosierdzia, potrafi odkryć człowieczeństwo...

— Jeśli się nauczysz — powiedziała — odkryjesz może, że budujesz całkiem inne królestwo.



Rozdział szesnasty

PAN SKOŚNY

Starsi mężczyźni z wiosek w pobliżu chatki babci Weatherwax szybko polubili Geoffreya. Szanowali nianię Ogg i Tiffany, oczywiście, ale Geoffreya naprawdę lubili.

Czasami pokpiwali z niego — przecież wykonywał kobiecą pracę. Ale gdy wsiadał na miotłę — czasami nawet z tym swoim kozłem za sobą, a nie zaprzężonym do wózka — i śmigał ku horyzontowi, widok odbierał im mowę.

Nawet kiedy naprawdę był zajęty, zawsze znajdował czas, żeby przystanąć i pogawędzić, a gdy się zjawiał, w każdej szopie czekało na niego piwo i pokruszony herbatnik dla Mefistofelesa. Kozioł fascynował staruszków, ale i trochę niepokoił — zwłaszcza od dnia, kiedy ktoś dał mu do wypicia piwo, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Mefistofeles zatańczył jak balerina, a potem kopnął młode drzewo tak mocno, że rozszczepił pień na dwie części.

— Całkiem jak ci, co robią mushi — stwierdził Śmierdziel Jim.

— To chyba nie jest odpowiednie słowo — odparł Klaps Drżączek. — Mushi to chyba takie do jedzenia. W obcych stronach.

— Tobie chodzi o Jeden-człowiek, leci-w-górę, leci-w-dół — stwierdził kapitan Makepeace. — To sposób walki.

— Zgadza się — wykrzyknął Śmierdziel Jim. — Na targu w Kromce był gość, który to potrafił.

— W Kromce żyje wielu ludzi, którzy coś takiego potrafią — dodał Klaps i otrząsnął się. — Dziwne miejsce, ta Kromka[[46]](#footnote-46).

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i myśleli o Kromce. Jeśli człowiek dobrze poszukał, na tamtejszym targu mógł znaleźć wszystko — podobno ktoś sprzedał tam na kiermaszu nawet żonę i wrócił do domu z używanymi taczkami, przy czym uważał, że dobrze na tym wyszedł.

Potem spojrzeli na resztki drzewka i zgodzili się, że Mefistofeles istotnie jest niezwykłym kozłem, ale chyba lepiej nie mieszać się do jego diety.

W tym czasie ów niezwykły kozioł ze stoickim spokojem przegryzał się przez wysoką trawę pod płotem oberży, jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego. A po chwili odbiegł szukać Geoffreya.

\* \* \*

Tego wyjątkowo pięknego ranka Geoffrey odwiedzał dom Wesołka Skośnego. Tiffany starała się wyleczyć staruszkowi kłopotliwy odcisk, który od tygodni opierał się jej staraniom. Zastanawiała się już, czy nie złamać swoich zasad i nie użyć magii, żeby wreszcie zakończyć sprawę. Geoffrey zajrzał tam, kiedy Tiffany odleciała do Kredy. Znalazł staruszka przy tylnych drzwiach domu — miał właśnie ruszyć ścieżką do stodoły. I zamiast wrócić, jakby uczynił w przypadku wizyty Tiffany, pan Skośny skinął na Geoffreya, by poszedł za nim do chwiejnej budowli. A kiedy chłopiec przyglądał się, jak gospodarz kuśtyka w swoich starych wojskowych butach, zauważył coś bardzo niewłaściwego.

— Niech mnie licho! — zawołał pan Skośny, kiedy Geoffrey wyrwał irytujący ćwiek z lewego buta. — Jakbym wiedział, że to przez niego cały kłopot, sam bym drania wyciągnął. — Skierował jasne oczy na Geoffreya. — Dzięki, chłopcze.

Odkąd ludzie pamiętali, stary pan Skośny mieszkał samotnie. Zawsze ubierał się starannie i w mieście mógłby uchodzić za eleganckiego. Poza roboczym kombinezonem — regularnie pranym, ale poplamionym farbą i olejem — zawsze wyglądał jak spod igły. Podobnie jego mały domek. Utrzymany w nieskazitelnym porządku salonik zdobiły obrazy ludzi w staroświeckich strojach — Geoffrey zakładał, że to rodzice pana Skośnego, chociaż nigdy o to nie pytał. Wszystko, co pan Skośny robił, robił starannie. Geoffrey polubił go, a on, choć samotnik, czuł sympatię dla Geoffreya.

Szopa, którą pan Skośny zbudował obok stodoły, także była nieskazitelna. Każdą półkę równo zastawiono starannie opisanymi puszkami po tytoniu i słoikami. Narzędzia wisiały na ścianach, uporządkowane według rozmiarów; były czyste i naostrzone. Tiffany nigdy nie dostała się dalej niż do saloniku pana Skośnego, natomiast Geoffrey często wypijał z gospodarzem kubek herbaty i zagryzał herbatnikiem w szopie przy stodole.

Każda z szop, jakie odwiedzał Geoffrey podczas wizyt, była inna, każda odbijała osobowość użytkownika, nieograniczanego kobiecą interwencją. Niektóre wyglądały jak pogrążone w chaosie, z wyrastającymi wszędzie stosami części i rozmaitych nieukończonych obiektów. Inne były bardziej poukładane — jak szopa kapitana Make­peace’a, pełna farb, pędzli i płócien, ale z wyraźnie ustalonym porządkiem. Żadna jednak nie była tak wysprzątana jak szopa pana Skośnego.

I wtedy właśnie Geoffrey zauważył, czego w niej brakuje. We wszystkich pozostałych widział przynajmniej jedno powstające dzieło, czy to niedokończony karmnik dla ptaków, czy rozłożone taczki z nową piastą — jednak tutaj niczego takiego nie znalazł. A na pytanie, nad czym teraz pracuje, właściciel odpowiedział wymijająco.

— Co pan planuje, panie Skośny? — Geoffrey nie ustępował. — Wygląda mi pan na człowieka, który sobie wszystko przemyślał, a wiem też, że jest pan sprytny.

Pan Skośny odchrząknął.

— No więc widzisz, mój chłopcze, buduję teraz machinę. Nie bawią mnie karmniki, wieszaki na kubki i różne takie. Za to machiny... — Urwał i przyjrzał się Geoffreyowi. — Pomyślałem, że może się przydać, wiesz, na te kłopoty, co ostatnio ludzie je miewają.

Geoffrey siedział spokojnie, czekając, aż staruszek dopije herbatę i zakończy opowieść. Po chwili pan Skośny odstawił kubek, wstał i strzepnął z kolan okruszki. Sprzątnął je małą miotełką i szufelką, które najwyraźniej trzymał tu właśnie w tym celu; umył kubki, wytarł je i ustawił równo na półce. Potem otworzył drzwi.

— Chcesz zobaczyć?

\* \* \*

Kiedy w Lancre Geoffrey z panem Skośnym pili herbatę z kubków, w Kredzie baronowa Letitia wytwornie sączyła ją z filiżanki w towarzystwie Magrat, królowej Lancre, która niespodziewanie przybyła na miotle. Miotła była ozdobiona proporcem z herbem Lancre — dwoma niedźwiedziami na czarnym i złotym tle — by nikt nie miał wątpliwości, że chodzi tu o królewską wizytę. Przybyła, niosąc w darze bukiet róż z zamku, i wprawiając Letitię i służbę w stan bliski paniki. Letitia przybiegła, powiewając pajęczynami, z których część wplątała się nawet w jej włosy.

Magrat uśmiechnęła się na widok roztrzęsionej pani zamku.

— Nie zjawiam się tu jako królowa, skarbie. Przybywam jako czarownica. Zawsze nią byłam i zawsze będę. Więc nie przejmuj się brakiem pompy: wiem, jak to jest, nie ma się czemu dziwić. Trochę kurzu tu i tam to głupstwo. Niektóre części mojego zamku są pełne kurzu, przykro to mówić. Więc też wiem, jak to jest.

Letitia kiwnęła głową. Rzeczywiście wiedziała. I jeszcze kanalizacja... Nie chciała nawet myśleć, jak staroświecki jest zamek. Pradawne wygódki miały zwyczaj bulgotania w niewłaściwych chwilach, a Roland mówił, że gdyby tylko miał czas, mógłby stworzyć symfonię z brzęków, bulgotów i stuknięć, słyszalnych niekiedy po porannych wizytach.

Letitia szybko jednak opanowała sytuację i teraz obie damy siedziały obok siebie w sali zamkowej, wdychając torfowy aromat dymu z kominka — zawsze, ale to zawsze było tu zimno i właśnie dlatego paleniska były takie wielkie, pożerające kilka niewielkich drzew naraz. Służba przyniosła z kuchni pospiesznie przygotowaną tacę z herbatą i drobnymi przekąskami — i tak, chleb w kanapkach miał odciętą skórkę, by był odpowiednio delikatny dla dwóch wytwornych dam. Magrat westchnęła; miała tylko nadzieję, że Letitia poprosiła przynajmniej, by rzucić te skórki ptakom.

Podano też tacę z dość ciężkimi babeczkami[[47]](#footnote-47).

— Sama je upiekłam — oświadczyła z dumą Letitia. — Wczoraj. Według przepisu z nowej książki kucharskiej niani Ogg. No wiesz, pani, Dużo tego, na co masz chęć, pewnie cię utuczy.

Zaczerwieniła się lekko i zażenowana przesunęła dłonią po gorsecie w miejscu wyraźnie świadczącym, że kiedy rozdawano wypukłości, Letitia stała na końcu kolejki.

Magrat dość ostrożnie sięgnęła po ciastko w papierowej foremce. Niektóre z przepisów niani zawierały... pewne szczególne składniki, a miała już trójkę dzieci. Nadgryzła babeczkę, po czym obie damy wymieniły zwyczajowe uprzejmości. Magrat wyraziła podziw dla akwareli, na której Letitia uwieczniła kredowego olbrzyma z nizin. Był zaskakująco szczegółowy, zwłaszcza w Regionie Bezspodniowym. Niani Ogg stanowczo by się to podobało, uznała Magrat.

Przeszła do rzeczy.

— No cóż, Letitio, nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak to w Lancre mamy już dosyć elfów. Coś trzeba z tym zrobić.

— Och, przykro mi to mówić, ale Roland ma właśnie napisać do pani Obolałej w związku z falą elfich ataków i zapytać, co proponuje w tej sprawie zrobić. Dostaliśmy ogromnie dużo skarg i wyjechał teraz, żeby ocenić straty.

Letitia westchnęła. Rozumiała, że kiedy jej mąż bada poniesione szkody, to nie tylko ogląda zniszczenia i mówi „No, no”, albo pyta, jak długo to już trwa. Niezbędne są zachowania, które sprawią, by jego dzierżawcy poczuli, że coś w tej sprawie robi. Żona starała się więc przekonać go, że nie tylko powinien być widziany, ale też zakasać rękawy i wziąć się do pracy razem z ludźmi. Na pewno dobrze to wpłynie na morale. A jeszcze lepiej, kiedy po całym dniu postawi w gospodzie kolejkę i stanie się nie zarządcą, ale niemal przyjacielem.

— Mamy tu dość ludzi, to prawda — dodała. — Tyle że na ogół pracują na farmach. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby inne czarownice mogły pomóc.

— Niestety, to oznacza nas — odparła szybko Magrat, z akcentem na słowo „nas”.

Letitia była zakłopotana.

— Wiesz, pani, nie jestem taką prawdziwą czarownicą.

Magrat przyjrzała się baronowej. Było w niej coś dziwnie... rozmokłego, jakby dało się ją chwycić i wyżąć. Ale czarownice występują we wszystkich kształtach i rozmiarach. Na przykład niania Ogg i Agnes Nitt były stanowczo pulchne[[48]](#footnote-48), gdy Długa Chuda Niska Gruba Sally rosła i malała zgodnie z rytmem przypływów — nikt nie wątpił, że woda jest potężna.

— Sama siebie nie doceniasz, moja droga — oświadczyła. — I wiem, skąd się to bierze. Boisz się, kochana, że się nie sprawdzisz jako czarownica. Wszystkie przez to przechodziłyśmy, to u dziewcząt normalne. Tiffany opowiadała mi o tobie. Powiem szczerze, nie wiem, co bym zrobiła w domu z wrzeszczącym szkieletem. Czy to nie ty dałaś bezgłowemu duchowi dynię do noszenia? I temu wrzeszczącemu szkieletowi podarowałaś pluszowego misia, żeby się uspokoił? Nie uważasz się za czarownicę, ale każda cząstka mojej duszy mówi mi, że nią jesteś. Chciałabym mieć twoje możliwości, kiedy byłam młodą dziewczyną.

— Ale przecież jestem baronową. Damą. Nie mogę być czarownicą.

Magrat wydała z siebie dźwięk brzmiący jak hurrumpf.

— A ja jestem królową — powiedziała. — Nie przeszkadza mi to być czarownicą, kiedy przychodzi potrzeba. To czas, moja droga, kiedy przestajemy myśleć o sobie i o tym, kim jesteśmy, ale bierzemy się do roboty. Tiffany nie może sama walczyć z elfami, a to jest wojna... Będzie trwała, dopóki wszystkie się nie włączymy.

Te słowa popłynęły ku Letitii i wypełniły jej umysł.

— Masz rację, pani, oczywiście — przyznała. — Roland zgodzi się ze mną, naturalnie, jak zawsze. Możesz na mnie liczyć, pani.

— To dobrze — ucieszyła się Magrat. — Mam chyba kolczugę w twoim rozmiarze. Jak szybko możesz wyruszyć do Lancre? Mamy spotkanie, żeby omówić sytuację. Umiesz latać na miotle, czy trzeba cię podrzucić?

\* \* \*

Tiffany wskoczyła na miotłę. Słyszała we wsi, że czas starej pani Pigeon już się zbliża, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Owszem, opiekowała się dwoma gospodarstwami. Owszem, musiała wymyślić, co zrobić z Wilczą Jagodą. Owszem, nie miała czasu na odpoczynek. Ale nie widziała pani Pigeon już ponad tydzień, a w ciągu tygodnia staruszka mogła wpaść w wiele życiowych szczelin.

Wilcza Jagoda siedziała z tyłu, czujnie wszystko obserwując. Zauważyła, że rodzina Pigeonów ma tylko maleńki skrawek ziemi tak lichej, że jakiekolwiek plony były chyba cudem. Utrzymywali się głównie z niewielkiego stadka owiec, pasących się nad strumykiem.

Sid Pigeon, najmłodszy w rodzinie, był na miejscu i bez swego lśniącego kolejowego munduru wyglądał na sporo mniejszego. Ku zaskoczeniu Tiffany, przyprowadził do domu kolegę z pracy.

Wilcza Jagoda otrząsnęła się.

— To goblin! W ich domu! Cuchnie... — stwierdziła z niesmakiem.

Tiffany miała ochotę ją kopnąć.

— Godny szacunku goblin — odparła natychmiast, choć rzeczywiście wyczuła go, jak tylko weszła do domu, mimo warstw zapachu unoszących się radośnie w tym raczej brudnym domostwie. Skinęła goblinowi, który siedział ze stopami na stole i jadł coś, co wyglądało na udko kurczęcia, którego próbowali przed nim inni, zapewne koty. — Przyjaciel Sida.

— Z Tłoków Para, pani — przedstawił się uprzejmie goblin. — Pracuję z żelazem i stalą, tak jest...

— Tiffany — odezwał się Sid niespokojnie. — Przyszłaś zobaczyć babcię? Leży w łóżku na górze...

Pani Pigeon rzeczywiście leżała w łóżku i zdaniem Tiffany nie wyglądała, jakby miała kiedyś z niego wstać. Staruszka składała się praktycznie z kości i pomarszczonej skóry; cienkie jak gałązki palce zaciskała na brzegu wypłowiałej kołdry. Tiffany chwyciła ją za rękę i zrobiła, co mogła, odbierając ból ze skurczonego ciała...

I wtedy na dole rozpętało się piekło.

— Sid! Te wredne elfy czy co tam... — krzyczał zrozpaczony pan Pigeon. — Zapaskudziły strumień! Cały jest żółty i płyną w nim śnięte ryby! Musimy przeprowadzić owce, ale już!

Głośny stukot butów ucichł; Tiffany skoncentrowała się i odebrała starej pani Pigeon jeszcze trochę bólu.

I nagle obok stanęła Wilcza Jagoda.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Ten... goblin pobiegł razem z ludźmi.

— To się nazywa pomaganie — wyjaśniła Tiffany, starając się utrzymać zabrany ból. — Zapomniałaś?

— Ale przecież gobliny i ludzie się nie lubią — zdziwiła się Wilcza Jagoda.

— Mówiłam ci, Z Tłoków Para jest przyjacielem Sida. Ale tu nie chodzi o lubienie. Chodzi o pomaganie sobie. Gdyby wybuchł pożar albo coś takiego w obozie goblinów, ludzie by im pomagali. — Spojrzała na panią Pigeon. Staruszka już zasypiała. — Słuchaj, muszę na chwilę wyjść — powiedziała. — Zostań z nią, dobrze? Daj znać, gdyby się znowu obudziła.

Wilcza Jagoda wyglądała na przerażoną.

— Ja nie mogę... Przecież jestem elfem. Niosłam już ten kosz. Nie mogę... pomagać jeszcze jednemu człowiekowi.

— Czemu nie? — spytała ostro Tiffany. — Z Tłoków Para właśnie to robi. Czy elfy są słabsze od goblinów?

Zresztą nie miała czasu do stracenia, zbiegła więc na dół i wlała ból w stos kamieni czekających na naprawę muru.

Wydały nieszczęśliwie głośny huk — było tam całkiem sporo bólu — i pewnie właśnie dlatego, kiedy Tiffany wróciła na górę, pani Pigeon się obudziła. Obudziła i poprosiła o wodę.

A teraz z uśmiechem na bezzębnej twarzy patrzyła na Wilczą Jagodę i wyciągała rękę po kubek.

— Dobra z ciebie dziewczyna — powiedziała słabym głosem. — Dobra dziewczyna...

Dobra dziewczyna? Dobry elf?

Wilcza Jagoda przycisnęła dłonie do brzucha.

— Myślę, że się zaczyna — oznajmiła cichym głosem, patrząc na Tiffany. — Czuję takie miękkie miejsce. Tutaj, w żołądku. Takie ciepło...

Tiffany uśmiechnęła się, uspokajająco położyła dłoń na czole pani Pigeon, a potem chwyciła elfkę za ramię.

— Musisz mi pomóc — powiedziała. — Elfy rzuciły urok na strumień, a on płynie przez kilka farm. Możesz to naprawić? — Zawahała się. — Jako twoja przyjaciółka, Wilcza Jagodo, proszę cię o pomoc. Feeglowie zajmą się owcami, ale usunąć urok? To może zrobić tylko ktoś z waszej rasy.

Wilcza Jagoda wstała.

— Urok rzucony przez Groszka? — spytała. — Usunięcie go to nie problem. Ten elf jest słaby... I tak, pomogę ci, Tiffany. Jesteś... moją przyjaciółką…

Słowo to dziwnie zabrzmiało w jej ustach, ale z całą pewnością mówiła szczerze.

Wyszła za Tiffany na pole, mijając spłoszone owce na podwórzu — niektóre z nich, dzięki zawsze obecnym Feeglom, właśnie pobiły krajowy rekord w biegu od strumienia do podwórza, a jedno młode jagnię dokonało tego wręcz na jednej nodze. Dotarły do zatrutego strumienia, gdzie elfka rzeczywiście wszystko naprawiła.

A ciepłe miejsce w jej wnętrzu zaczęło się rozgrzewać...

\* \* \*

Stara stodoła za szopą pana Skośnego pełna była rozmaitego uzbrojenia, pamiątek po licznych konfliktach — starannie naoliwionych i skrupulatnie opisanych.

— Kolekcjonuję je — wyjaśnił pan Skośny. — Każda kampania, w której walczyłem, i nie tylko. Zawsze trzeba mieć broń w gotowości. Rozumiesz, nic złego nie powiem o trollach czy krasnoludach, ale walczyliśmy z nimi niejeden raz i dlatego powtarzam, że trzeba uważać. Ktoś powie coś nie tak i zanim się człowiek obejrzy, już brodzi po kolana w krasnoludach. A potem ruszają do szarży. Nie można im wierzyć.

Geoffrey ze zdumieniem przyglądał się ścianom stodoły — i wszędzie dostrzegał rozmaite urządzenia do zabijania. A obok stał wciąż uśmiechnięty staruszek, z którym przed chwilą pił herbatę; oczy mu błyszczały i był gotów do walki z każdym wrogiem, zwłaszcza jeśli nie należał do ludzkiej rasy. I to jego nazywali Wesołkiem? Ciekawe, jaki by był, gdyby miał przezwisko Ponurak.

— Radzę sobie z tokarką nie gorzej od innych — pochwalił się pan Skośny.

— Tokarka... — powtórzył Geoffrey. — Uzyskuje pan opiłki?

— O tak. Paskudna sprawa, jeśli trafią do oka. — Uśmiechnął się. — Ale czasem mogą się do czegoś przydać.

Nastąpiła chwila wahania, kiedy o mało nie poprowadził chłopca z powrotem. Jednak nie mógł dłużej wytrzymać — musiał komuś pokazać, nad czym pracuje.

— Chodźmy — rzekł. — Rzuć na to okiem. To miała być tajemnica, dopóki nie skończę, ale oczywiście tobie mogę powiedzieć.

W głębi, przykryta płachtą, stała jakaś potężna konstrukcja. Pan Skośny stanął przy niej, szarpnął za materiał, a kiedy opadł, Geoffrey wstrzymał oddech.

Machina wyglądała jak wielki metalowy pasikonik z przeciwwagą na jednym końcu. Kiedy oglądał ją w zadziwieniu, chłopiec zdał sobie sprawę, że kiedyś już widział coś podobnego w jednej z książek, jakie w domu pokazywał mu pan Kretall.

— Groźnie wygląda — stwierdził.

— Mam nadzieję — odparł pan Skośny. — Zawsze chciałem mieć coś takiego, odkąd widziałem je w działaniu. Krasnoludy miały trochę podobne i potrafiły rzucić trolla na plecy. Te krasnoludy znają się na tym i owym, muszę przyznać. I bardzo mi się podoba obrona gnomów. — Odchrząknął. — Ale pomysł, żeby zbudować taką machinę, wpadł mi do głowy, kiedy widziałem, jak chłopcy w karczmie odstawiają taniec Kijów i Wiader[[49]](#footnote-49).

— Tak myślałem — powiedział Geoffrey.

— Kapitan Makepeace jest pod wrażeniem — dodał pan Skośny. — Dlatego razem z chłopcami chcemy to jutro wypróbować. Ale tam, gdzie nikt nas nie zobaczy.

Ci starsi dżentelmeni mają liczne zalety, uznał Geoffrey. To, że są starzy, nie znaczy jeszcze, że nie są groźni.



Rozdział siedemnasty

DYSKUSJA CZAROWNIC

Przez nieokratowane wrota lord Lankin wślizguje się do zapuszczonej starej rezydencji. Wspina się po skrzypiących schodach, zdmuchując po drodze świece w lichtarzach. Wreszcie otwiera niezaryglowane drzwi i wkrada się do pokoju dziecinnego, gdzie młoda niania przy kołysce unosi głowę, patrzy mu w oczy, a potem wyciąga z kosza ostrą szpilę...

Siedząc w wielkiej hali zamku Lancre, ze swymi sprzymierzeńcami i przyjaciółmi, czarownice z Lancre rozważały konstrukcję planu bitwy.

Zebranie tu wszystkich wymagało pewnego wysiłku. Geoffrey znakomicie się spisał, gromadząc wszelkie możliwe posiłki. Długie godziny spędził w powietrzu, latając we wszystkich kierunkach, by przekazać wezwanie Tiffany każdej czarownicy, którą potrafiła wskazać.

Zjawiły się nawet ślepa pani Happenstance i Długa Chuda Niska Gruba Sally z panią Proust z Ankh-Morpork. Była też grupa młodszych: Annagramma Hawkin, Petulia Chrzęstna, Dimmity Hubbub, Harrieta Bilk i inne. Pod czujnym okiem królowej Magrat Letitia odhaczała je na liście Tiffany tuż po przybyciu.

Wsparcie prawdziwej królowej naprawdę się przydaje, o czym przekonała się Tiffany, gdy pojawiła się pani Skorek i zaczęła rozstawiać wszystkich po kątach. Magrat natychmiast ją uspokoiła, bo nawet pani Skorek musiała ustąpić monarchom. Ale samo kierowanie naradą wszystkich czarownic było jak noszenie tacy pełnej kulek. Czarownice doskonale potrafią głaskać się pod włos, więc drobne konflikty wynikały nieustannie i oddalały się, znikały i znów powracały. To było niemądre i wszystkie o tym wiedziały, ale nie umiały się powstrzymać.

Przy takich okazjach Geoffrey pokazywał, co potrafi. Gdziekolwiek wybuchała sprzeczka, był na miejscu z idealnie dobranym słowem albo miłym uśmiechem. Samo obserwowanie jego subtelnego tkania spokoju sprawia radość, myślała Tiffany. Niemalże widziała, jak ów spokój wypływa mu uszami.

— Drogie panie — odezwała się, zaczynając naradę. — Oto nasz problem. Elfy znowu wracają, tym razem z większą siłą. I jeśli szybko ich nie powstrzymamy, sytuacja stanie się fatalna. Wiem, że niektóre z was spotkały się już z elfami... — Spojrzała na nianię Ogg i Magrat. — Większość jednak nie. To groźny przeciwnik.

Wilcza Jagoda stała pod ścianą, niemal skromna w swej sukience mleczarki. Nie wydawała się bardzo groźna, ale i tak niektóre ze starszych czarownic zerkały na nią podejrzliwie, jakby właśnie wyczuły nieprzyjemny zapach.

Pani Skorek syknęła i wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale Petulia była szybsza.

— Tiff, czy to rozsądne, że elf nas słucha? — spytała.

— Nie martw się, moja droga — uspokoiła ją niania Ogg. — Jeśli nasza przyjaciółka czegokolwiek spróbuje, wybuchną fajerwerki, możesz mi wierzyć.

— Kiedy ostatnim razem działo się coś takiego, czy nie interweniował król elfów? — spytała Annagramma Hawkin, zwracając się do niani.

— Tak było, rzeczywiście, choć niewiele brakowało, żeby nie. Tiffany już z nim rozmawiała, ale wydaje się, że Stary Rogacz nie jest zainteresowany — odparła niania Ogg. — Zresztą i tak trudno na nim polegać.

— Czas w jego dziedzinie płynie inaczej — wyjaśniła Tiffany. — Nawet jeśli postanowi coś zrobić, może to nastąpić teraz albo za miesiąc, albo w przyszłym roku.

— Co z magami? — zainteresowała się inna czarownica. — Dlaczego ich tu nie ma?

Niania prychnęła lekceważąco.

— Ach! Zanim przygotują jakieś zaklęcie, elfy przejdą przez Ramtopy i będą daleko. — Poprawiła się na krześle i pociągnęła nosem. — Nie, to sprawa dla czarownic. Magowie tylko płaszczą tyłki na fotelach i wtykają nosy w książki...

Wymawiając ostatnie słowo, zerknęła z ukosa na panią Skorek, która była naturalnie znana ze swego zamiłowania do pisma[[50]](#footnote-50).

— Mamy także wsparcie Lancre — wtrąciła pospiesznie Magrat. — Wszystkie siły, jakie Verence i ja możemy wystawić.

— To mój Shawn — oświadczyła z dumą niania Ogg.

Shawn Ogg był armią Lancre, podobnie jak płukaczem butelek, kamerdynerem, ogrodnikiem, trębaczem oraz — rola, z której Shawn chętnie by zrezygnował — człowiekiem, który sprawdzał garderoby i usuwał nocne nieczystości.

— Myślę też — rzekła niania — że mój Jason zaopatrzy nas w trochę podków. Ponieważ jest kowalem — dodała dla tych, które mogły jeszcze nie wiedzieć.

Geoffrey odchrząknął.

— Rozpracowaliśmy kilka pomysłów z grupą starszych dżentelmenów — powiedział cicho. — Mamy... coś, co moim zdaniem może się przydać.

— Jest też Hodgesaargh — dodała Magrat.

Hodgesaargh — królewski sokolnik — był zaskakującym atutem. Wydawało się, że elfi urok w ogóle na niego nie działa. Prawdopodobnie tak wiele czasu spędzał z ukochanymi ptakami, że część jego mózgu była już teraz sokołem, a więc nie chciała ustępować miejsca żadnym innym drapieżnikom. Uważano też, że to właśnie powstrzymało ptaki od prób wydziobania mu oczu.

Pani Skorek zaśmiała się z wyższością…

— Gdzie więc leży problem, jeśli mogę spytać? Jest nas tu wiele. Na pewno wystarczy na kilka elfów.

Spojrzała wzgardliwie na Wilczą Jagodę.

Niania Ogg nie wytrzymała.

— Nie, nie wystarczy! Ile czarownic tu mamy? — Rozejrzała się po sali. — Dziesięć, może dwanaście... Więcej, jeśli doliczyć Geoffreya, Letitię i młode dziewczyny, które jeszcze się szkolą. Ale tylko połowa z nas to starsze czarownice z odpowiednim doświadczeniem. A elfy są chytre. Zanim się zorientujecie, rzucą na was urok. Nadchodzą cicho... jak ciche, ale zabójcze pierdnięcie... i dopadają was, zanim zdążycie zatkać nos. Nawet Esme Weatherwax ledwie się oparła ich mocy. Stoczyła ciężką walkę, a przecież wszystkie pamiętacie, jaka była. Nie pokonały jej, ale niewiele brakowało. Drogie panie, elfy są straszne. Słusznie się ich boimy. One... robią z człowiekiem różne rzeczy... Przebijają się do myśli.

— Mnie też się to zdarzyło — dodała Magrat. — Ich urok sprawia, że czujecie się małe i bezwartościowe. Te z nas, które się z tym spotkały, nie są w stanie dostatecznie mocno uzmysłowić zagrożenia.

— Mam wrażenie, że przesadzacie. To coś nie ma żadnego uroku — stwierdziła z pogardą pani Skorek, wskazując Wilczą Jagodę.

— No tak. Pani z pewnością w życiu nie spotkała elfa. Bo gdyby tak, to miałaby pani blizny... — burknęła niania Ogg.

Przybrała ciekawy kolor i Tiffany musiała interweniować, zanim strzelą iskry.

— Ależ spokojnie, drogie panie. Wydaje mi się, że niewielka demonstracja może pomóc w zrozumieniu mocy elfów. Wilcza Jagodo, czy zechcesz dać nam popróbować swojego uroku?

Czarownice zgodnie nabrały tchu, kiedy zrozumiały, co proponuje Tiffany.

— Ale ostrożnie, Wilcza Jagodo. Bardzo ostrożnie. Te z nas, które miały już do czynienia z urokiem, będą na ciebie uważać. I mam szczerą nadzieję, że obejdzie się bez kłopotów.

Wilcza Jagoda uśmiechnęła się — niezbyt miłym uśmiechem, jak zauważyła Tiffany.

— Moje panie! — zawołała Magrat, starając się jakoś przygotować towarzyszki. — Być czarownicą oznacza być całkowicie sobą i całkowicie nad sobą panować. Może dobrze by było, gdybyście obserwowały się wzajemnie, kiedy już urok zacznie działać.

— Bzdury i głupoty! — stwierdziła pani Skorek. — Sama o sobie decyduję i zawsze tak będzie. Jestem czarownicą, cokolwiek o mnie myślicie. Nie interesują mnie bajki.

— Tylko je piszesz — wtrąciła słodkim głosem niania Ogg.

— Ale nie jako prawdę — odparła pani Skorek. — To dozwolone.

Niania Ogg spojrzała na jej twarz i pomyślała: jeszcze zobaczymy...

— Panie... — zawołała Tiffany. — Jesteście gotowe?

Nastąpiły potakiwania i kiwanie głowami, zwróciła się więc do elfki.

— Wilcza Jagodo, zademonstruj nam, proszę, swój urok.

A w kieszeni ścisnęła pasterską koronę — wiedziała, że w tej chwili musi zachować świadomość siebie. Yan tan tehtera, nuciła w myślach; yan tan tethera...

Wilcza Jagoda zaczęła powoli: jej wąska, lisia twarz mleczarki wypełniła się blaskiem, pięknem... stylem. I nagle stała się najpiękniejszą istotą w sali.

Fantastyczną.

Cudowną.

Czarującą.

Porażającą...

Powietrze zgęstniało od uroku i Tiffany słyszała niemal, jak czarownice z nim walczą. Te niedoświadczone — Annagramma, Petulia i Letitia, Dimmity i Harrieta — nagle jakby zwiotczały, a ich twarze przypominały lalki.

Petulię — jak wiele innych — ogarnęło zwodnicze uczucie, że cały świat należy do niej, calutki, ze wszystkim, co się w nim znajduje. A potem to marzenie — jak i u innych — nagle się rozpadło. Za kogo ona się uważa? Nikt jej nie lubi, nikt jej nie chce. Nie jest nic warta. Nikt jej nie potrzebuje. Wszyscy wiedzą, że nie ma żadnych umiejętności. Dobrze by było, gdyby umarła. A jeszcze lepiej, gdyby zwyczajnie pozwoliła świniom wdeptać się w błoto, ale nawet to byłoby dla niej za dobre.

Krzyknęła.

Tiffany ruszyła w stronę Wilczej Jagody i nagle — jakby pękła bańka mydlana — elfka wycofała się i czar prysnął. Ale wszystkie czarownice w sali wydawały się wstrząśnięte. Oprócz — jak zauważyła Tiffany — pani Skorek.

— No i co się stało? — spytała z wyższością starsza czarownica. — Co wy wszystkie robicie?

— Pani Skorek, nie wydawało się pani, że jest mała, brzydka i niepotrzebnie zajmuje miejsce? Bez żadnej szansy na poprawę?

Twarz Letycji Skorek wyrażała jedynie zdumienie.

Wilcza Jagoda przyjrzała się jej uważnie, po czym zwróciła się do Tiffany:

— To było jak uderzanie o skałę — przyznała. — Ona ma w sobie coś dziwnego... Czegoś jej brakuje... — Znów popatrzyła na panią Skorek. — Czy na pewno nie jesteś elfem? — spytała.

— Jak śmiesz! Jestem jedynie Letycją Skorek. Nikt nie może mi przeszkodzić w byciu sobą!

— Ależ absolutnie — zgodziła się Tiffany. — Ale urok podziałał na wszystkie pozostałe. I to, moje panie, był tylko jeden elf. Wyobraźcie sobie, co się stanie, jeśli staniemy wobec całej hordy.

— Miałem wrażenie, że stoję przed ojcem — odezwał się Geoffrey. — Słyszałem głos, mówiący mi, że do niczego się nie nadaję i nic ze mnie nie będzie. Mysz, robak, nic wartego wspomnienia. Nigdy nie był z niczego zadowolony...

Słowa zabrzmiały głośno, a twarze czarownic zdradziły, że dobrze wiedzą, o czym chłopak mówi.

Demonstracja dobiegła końca i Wilcza Jagoda wróciła do swego skromnego wyglądu mleczarki. Swary ucichły.

— No więc, współczarownice, tak to wygląda — powiedziała Tiffany. — Wiemy teraz, z kim walczymy i co jest naszym celem: nie dopuścić elfów do tego świata. Niewielka jest szansa, że uda się nam wszystkie zabić. — Zawahała się. — Musimy im pokazać, że starcie z nami nie jest łatwe, że naprawdę lepszym pomysłem jest powrót tam, skąd przybyły.

— To jasne — odezwała się królowa Magrat. — Ile mamy czasu na przygotowania?

Tiffany westchnęła.

— Nie wiemy — przyznała. — Ale mam przeczucie, że ruszą wkrótce.

Spojrzała na Wilczą Jagodę, która przeszła teraz na środek sali.

— Co do „kiedy” — powiedziała — to z pewnością o pełni księżyca. To czas... zakończeń.

— Czyli dzisiaj... — szepnęła Magrat.

— Co do „gdzie”, to o ile znam Groszka, uderzy wszędzie tam, gdzie bariery mogą być osłabione.

— Co o tym myślisz, Tiff? — spytała niania Ogg. — Przechodziły już w Kredzie, prawda? Były też u nas, w Lancre... Weszły przez Tancerzy.

— Więc przejdą przez obie bramy. — Wilcza Jagoda pokiwała głową. — A potem się rozbiegną.

Zadrżała.

Tiffany przejęła prowadzenie.

— W takim razie musimy zmierzyć się z nimi na obu frontach. Tutaj w Lancre, ale też w Kredzie. — Rozejrzała się po sali. — Musimy rozdzielić siły.

— Na mnie możesz liczyć — zapewniła niania Ogg. — Zawsze byłam wojowniczką. Trzeba taką być, żeby zostać czarownicą. To nie my musimy się martwić, ale one. Jeśli powali się takiego elfa i kopnie parę razy, nie będzie już taki czarowny. Możesz mi wierzyć, nawet elfy mają swoje delikatne części, które nie lubią kontaktu z butem.

Tiffany zerknęła na buty niani. Wyglądały, jakby zrobił je kowal, zresztą w tym przypadku zapewne tak było. Wystarczy jedno kopnięcie i z elfem można się pożegnać. Może go to nie zabije, ale z pewnością wszelki urok zostanie z niego wykopany.

— One wiedzą, gdzie stoją kamienne kręgi — powiedziała. — Ale na Groma i Pioruna, lepiej, żeby trzymały się z daleka. Bo przecież my także wiemy, gdzie to jest. My, ludzie, potrafimy być chytrzy, a czasem na dodatek bardzo złośliwi. Kiedy trzeba, jak przypuszczam. — Obejrzała się na elfkę, która obserwowała wszystkich z uwagą. — Co o tym sądzisz, Wilcza Jagodo?

Elfka uśmiechnęła się.

— Wy, ludzie, jesteście naprawdę niezwykli. Niekiedy słabi i głupi, ale też zaskakująco groźni. Jest was tu niewiele, a przeciwko wam staną bardzo liczne elfy. Mimo to sądzę, że zdrajca Groszek nie ma pojęcia, z kim przyjdzie mu walczyć. I to mnie cieszy.

Tiffany kiwnęła głową. Magrat, niania Ogg, zaskakująco silna pani Skorek — okazuje się, że Letycja Skorek to nie tylko okultystyczna biżuteria i wyszukane stroje... Pozostałe czarownice z Lancre, pani Proust, Geoffrey i Mefistofeles... To musi wystarczyć.

— Myślę, że Lancre może na was polegać — powiedziała. — Ale ja muszę wracać do Kredy. To moja ziemia.

— A kogo będziesz tam miała do pomocy, jeśli wolno spytać? — odezwała się pani Skorek.

— No więc... Jest panna Tyk, godna podziwu dama, jak pewnie wszystkie się zgodzimy. Przesyła przeprosiny za swoją dzisiejszą nieobecność. — W każdym razie na pewno by przesłała, gdybym tylko umiała ją znaleźć... — A także Letitia. — Spojrzała na młodą baronową, która usiłowała wyglądać odważnie. — Jest też sama kraina, oczywiście. Ale nie zapominajmy, że mam też innych cennych sprzymierzeńców. Nie walczymy same.

Cały czas zerkała na stos mioteł przy drzwiach. I chociaż nikt ich nie zapraszał, zauważyła twarz Roba Rozbója i — na oko sądząc — znaczną liczbę członków jego klanu. Zaśmiała się. Musieli przylecieć z Magrat i Letitią, pomyślała.

— Drogie panie — zawołała. — Pozwólcie sobie przedstawić... Nac Mac Feeglów!

Czarownice zaszemrały, kiedy salę zaczęło zalewać morze niebieskiej skóry i tartanu — nie wszystkie miały okazję spotkać wcześniej Nac Mac Feeglów. Tiffany usłyszała, jak niania szepcze do Magrat, niedostatecznie cicho:

— Lepiej schowaj wszystkie trunki w piwnicy.

— Ach, łokrutno z ciebie wiedźma, albo sie nie nazywom Rob Rozbój — jęknął głośno Rob.

Magrat wybuchnęła śmiechem.

— Robie Rozbóju, jesteś jak jednoosobowa wojna. Witajcie w moim zamku, ale proszę, nie wypijcie wszystkiego. Przynajmniej dopóki nie zwyciężymy.

— I terozki dobze godos, dziousko... znocy, wasa królewskość. Bo gdzie je wojna, tam takoz som Nac Mac Feeglowie.

Rozbrzmiała prawdziwa kanonada okrzyków „Łojzicku!”.

— Ano! Tsa ich łobalić, a potem zacyno sie kopanina! — zawołał Rob.

Feeglowie znowu krzyknęli radośnie.

— Ino se pamiętojcie, dzieciocki! — zawołał Duży Jan. — Nie bawim sie w finezje, ino kopiemy!

— Jak Morag na nich zapikuje, dziób i spony łodbiorom im dech! A to cięzko dzioucha.

— Cieszmy się, że są po naszej stronie — rzekła Tiffany. Spojrzała z wyrzutem na panią Skorek, która siedziała z nadętą miną. — To prawda, że są nieoszlifowanymi diamentami, ale nigdzie na Dysku nie znajdzie się lepszych wojowników.

I miała nadzieję, że pani Skorek nie słyszy ich mamrotania:

— Co łona gado? Ześmy ukrodli jakiesik diamenty? — To Tępak Wullie.

— To ino tako psenośnia, gupolu. — Rob Rozbój.

— Ino ześmy jus syćko psenieśli, gdzie tsa... — Znowu Wullie.

— To idiom.

— Kogo nozywos idiomem?

Tiffany zaśmiała się cicho. Kelda wyraźnie pracowała nad poszerzeniem słownictwa klanu.

Rob machnął w powietrzu mieczem, aż jedna czy dwie czarownice odsunęły się gwałtownie. A potem wskoczył na stół i spojrzał w głąb sali.

— No to widze, ze pani Wilco Jagoda jest terozki z nami — stwierdził. — Wielko ciut wiedźmo i naso kelda myślom, ze nic temu elfowi nie tsa robić. Tsa ją łostawić w pokoju. Ino ze... — patrzył znacząco na elfkę — ...bedziem ją pilnie łobserwować, bardzo pilnie. Naso kelda je miętko, wicie, miętka jako kamień... Nie da nikomu złamać psyzecenia i nijakiej kary nie doznoć.

— Drogi panie Feegle — przerwała mu pani Skorek. — To jest narada wojenna. Powinniśmy teraz omawiać strategię i taktykę.

— Ano, mozecie, jak se kcecie. Ale my som Feeglami i takie zecy nos nie zajmujom. Tu chodzi ło to, coby swojego miecyka uzywoć jak najlepiej. A kiedy sie nie udo, zawse mozna im jeszcze psygłówkować.

Tiffany przyjrzała się minie pani Skorek.

— Poradzi sobie pani? — spytała uprzejmie.

Pani Skorek rzuciła jej Spojrzenie. I odparła:

— Przygłówkuję tak, jak uznam to za stosowne.

Ku zaskoczeniu Tiffany, wokół zabrzmiały brawa pozostałych czarownic i chociaż raz pani Skorek była cała w uśmiechach.

— Powiem sceze, cobym nie chcioł zadzieroć z tom scygom — stwierdził Rob Rozbój.

— Ani jo — dodał Duży Jan. — Łostra jest jako wilcyco.

— No i gdziez to bedzie ta bitwa, wiedźmo wzgóz? — zapytał Rob.

Las małych mieczy wzniósł się w powietrze, a także okrzyki Feeglów:

— Nac Mac Feegle, hej ho!

— Skopać ino tych ciut chłystków!

— Ni ma króla! Ni ma królowej! Nie domy sie znowu łosukoć!

Tiffany uśmiechnęła się.

— Jeśli Wilcza Jagoda się nie myli, elfy przekroczą bramy dzisiejszej nocy, kiedy na niebie zaświeci księżyc w pełni. Moje panie... i Geoffreyu — zwróciła się do zebranych czarownic. — Spróbujcie trochę wypocząć. Muszę teraz lecieć do swojego gospodarstwa, ale dobranoc i powodzenia.

— Niech runy szczęścia kierują i chronią nas wszystkich — dodała pompatycznie pani Skorek, zawsze chcąc mieć ostatnie słowo.

\* \* \*

Tiffany lubiła mały pokoik, w którym sypiała od dzieciństwa. Rodzice niczego w nim nie zmienili, a jeśli tylko nie padało i nie było wichury, spała przy otwartym oknie.

Teraz była zmęczona po długim locie i pełna napięcia w oczekiwaniu na to, co może przynieść noc. Licząc jednak na kilka godzin snu, chłonęła atmosferę swej małej sypialni i czerpała siłę z poczucia swojskości.

Siłę płynącą z pewności, że jest dokładnie tam, gdzie być powinna. Że jest Obolałą.

— Wstaję Obolały i kładę się Obolały — szepnęła z uśmiechem. To jeden z żartów ojca — kiedy jako dziecko słyszała go po raz kolejny, tylko przewracała oczami. Dziś jednak rozgrzewał ją swym znajomym ciepłem.

A na półce stała porcelanowa pasterka. Babcia Obolała.

Obok niej położyła pasterską koronę.

Obolały po Obolałym, przez pokolenia.

Ląd pod falami, myślała. To właśnie oznacza imię Tiffany w mowie Feeglów. Tir-far-thóinn, „Tiffan”, jak nazywała ją kelda. Dźwięk jej imienia był magią, prawdziwą magią z zarania czasu.

Noc była cicha. Tiffany tłumaczyła sobie, że naprawdę powinna się przespać — bez wypoczynku do niczego się nie przyda — ale tylko leżała w łóżku, z grzejącą się ciepłem jej ciała kotką Ty, i słuchała sów. Ich pohukiwania dobiegały zewsząd, jak ostrzeżenie.

Tiffany zamknęła oczy.

Jakaś jej część, jej dusza, znalazła się w kredowej jamie, z pasterską koroną w dłoni. Pięć grzebieni odbijało światło księżyca w pełni i kamień lśnił jak akwarium spoza czasu.

Słyszała ryk pradawnego morza pod stopami — dźwięk uwięziony w milionach maleńkich muszelek, tworzących Kredę.

I płynęła...

Dziwaczna ryba sunęła w jej stronę, wielka i ciężka od zębów.

Wtedy właśnie dr Bustle[[51]](#footnote-51) pojawił się w myślach, jakby na wezwanie.

— Dunkleosteus — powiedział, kiedy obok przepłynął stwór wielkości domu. — Megalodon... — Ten zaś okazał się wielki i drapieżny; miał więcej zębów, niż Tiffany kiedykolwiek widziała naraz.

Potem były też wielkoraki — morskie skorpiony, opancerzone, uzbrojone w kleszcze i przerażające. Jednak żadne ze stworzeń nie zwracało na nią uwagi, całkiem jakby miała prawo tu być.

A potem zjawiła się mniejsza istota, jak eksplozja błękitnych kolców. I ona zauważyła Tiffany.

— Echinoid — szepnął Sensibility Bustle.

— Zgadza się — przyznała istota. — Jestem pasterską koroną. Głęboko w moim sercu tkwi krzemień. Niektórzy nazywają mnie jeżowcem, inni gromowym kamieniem, ale tutaj, teraz, w tym miejscu, nazwij mnie pasterską koroną. Szukam prawdziwego pasterza. Gdzie można znaleźć prawdziwego pasterza?

— Zobaczymy... — Tiffany usłyszała swój głos. — Jestem Tiffany Obolała, a mój ojciec jest królem wśród pasterzy.

— Znamy go. Jest dobrym pasterzem, ale nie najlepszym. Musisz znaleźć prawdziwego króla pasterzy.

— Jestem tylko czarownicą — odpowiedziała Tiffany. — Ale pomogę ci, jeśli zdołam. Ciężko pracuję, zwykle dla innych.

— Tak — odparł jeżowiec. — Wiemy.

Rozmawiam ze stworzeniem z morza, myślała Tiffany. Czy to normalne?

To Pierwsze Myśli, nie Drugie, przypomniał jej umysł.

— To dziwne — odezwał się w jej myślach dr Bustle. — Ale nie tak dziwne, jak spadanie do króliczej nory razem z talią kart.

Niech pomyślę, powiedziały jej Drugie i Trzecie Myśli. Gdyby gadające istoty z morza wszędzie się pojawiały, wszyscy byśmy o nich wiedzieli. Czyli to coś, co jest przeznaczone tylko dla mnie.

Głos zabrzmiał zewsząd, jakby był elementem oceanu z Czasu:

— Tiffany Obolała jest pierwszą wśród pasterzy, ponieważ innych stawia przed sobą...

A pasterska korona leżała ciepła w jej dłoni i złociste światło jarzyło się w jej wnętrzu. Rodzinna pamiątka, przekazywana z pokolenia na pokolenie — aż po babcię Obolałą, po Joego Obolałego, a teraz samą Tiffany...

Wtedy morze zniknęło, a ona znalazła się znowu w kredowej jamie, ale magia pozostała, ponieważ wolno, och jak wolno, zobaczyła kości, które wydobywały się i uwalniały z kredy, skupiały razem... aż utworzyły dwie figury...

Grom i Piorun! Owczarki babci Obolałej! Najlepsze psy, o jakich można zamarzyć — psy dla pierwszego wśród pasterzy.

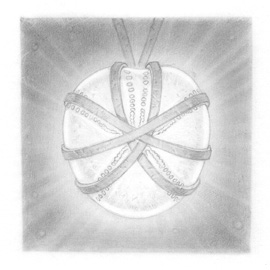
Teraz stały przed nią, z postawionymi uszami. Tiffany wydawało się, że może niemal sięgnąć i ich dotknąć. Niemal. Ale nie całkiem. Bo gdyby dotknęła, stała się ich częścią, ją także wciągnęłaby kreda, zmieniłaby się w kości, jak one...

— Do nogi, Piorun. Do mnie, Grom — szepnęła. Dobrze znane komendy dodały jej odwagi.

I nagle się obudziła, znów w swoim pokoju, z Ty rozciągniętą na stopach, z wielkimi oczami sowy zawieszonymi na ciemnym tle drzew na dworze.

I ktoś pukał do okna.

Gdy księżyc jaśniał we wspaniałej pełni nad kamiennymi kręgami, oświetlając ścieżkę dla jej zbłąkanych dzieci, które przejechały w chwale...



Rozdział osiemnasty

PASTERSKA KORONA

Za oknem pojawiła się twarz Roba Rozbója.

— Chłystki sie psebijajom, pani Tiffany! — powiedział. — Zacyno sie.

— No to krzyczcie „Łojzicku” i wypuśćcie na nich klan Mac Feeglów! — rozkazała Tiffany.

Nieduża grupa Feeglów wygramoliła się spod łóżka, skąd pilnowali Tiffany. Jeden najwyraźniej ukrył się w butach... A teraz okładał pięściami sznurówki.

— A mos! — pokrzykiwał. — Ty paskudny wijoncy mały boglu!

Buty, pomyślała Tiffany. Szkoda, że na dzisiejszą bitwę nie zabrałam butów babci Weatherwax. Dałyby mi siłę...

Stłumiła te myśli. Nie. To moja kraina. Mój teren. Moje stopy. Moje buty. Moja decyzja...

Wciągając sukienkę, wciąż miała do siebie pretensje — pomyślała, że powinna spać w ubraniu. Co z niej za przywódca?

Kiedy się potknęła, wkładając buty, poczuła jakiś ciężar w kieszeni czarnej sukni. Sięgnęła do niej i wyjęła... pasterską koronę, o której sądziła, że odłożyła ją na półkę. Włożyła ją tam wcześniej tej nocy? Przygotowując się do tej chwili?

I zwróciła się do księżyca:

— Czym jest pasterska korona? Komu korona służy?

A odpowiedź nagle spadła do głowy:

— Tiffany Obolałej, Lądowi pod Falami.

Pospiesznie owinęła kamień rzemykiem i zawiesiła sobie na szyi. Ruszę do bitwy z jego siłą w sercu, myślała. Siłą pokoleń Obolałych. Babci Obolałej. Pasterzy ze wszystkich epok.

Zbiegła po ciemnych schodach i wyskoczyła na podwórze; zamknęła za sobą drzwi. Nie zdziwiła się, widząc czekającą już na kiju miotły kotkę Ty, mruczącą i wyraźnie z siebie zadowoloną. Tymczasem Wilcza Jagoda, potykając się, biegła od strony stodoły z Ciut Szalonym Arthurem u boku.

A potem lecieli już wśród srebrzystej nocy. Wilcza Jagoda obejmowała ją w talii, Feeglowie trzymali się gałązek, a sowy frunęły za nimi niczym eskadra upierzonych sojuszniczek...

\* \* \*

Daleko od niej, w Lancre, spała niania Ogg, a jej chrapaniem można by rżnąć drewno. Nagle rozległa się niewielka eksplozja, przypominająca niezbyt głośne grumpf!, a kot Greebo obudził się i zaczął węszyć.

Niania przezornie spała w ubraniu. Przecież nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdą elfy.

— Greebo! — krzyknęła. — Dzwoń na alarm!

W jednej chwili zniknął — pojawiła się za to smuga kota pędzącego w stronę zamku, a specyficzny zapach Greeba unosił się za nim jeszcze przez chwilę. Gdy strażnik go zobaczył, pobiegł do wieży.

Zadźwięczał wielki dzwon, cały zamek zajaśniał, gdy we wszystkich oknach zapłonęły świece. Po chwili paliły się już w całym miasteczku. Dzwonił dzwon! Jakie niebezpieczeństwo zwiastował?

W królewskiej sypialni królowa Magrat szturchnęła małżonka, który jeszcze przecierał oczy.

— Verence, skarbie — poprosiła. — Pomożesz mi zapiąć napierśnik, dobrze?

Król westchnął.

— Słuchaj, czemu nie mogę iść z tobą? Musisz się sama narażać?

Magrat uśmiechnęła się. Był to uśmiech przeznaczony dla kochających, choć czasem irytujących mężów. Temat powracał bowiem regularnie.

— Wiesz przecież, że ktoś musi zostać w domu — odparła. — To jak w szachach: królowa ratuje króla.

— Oczywiście, kochanie...

Król westchnął i otworzył szafę, w której trzymali zbroję królowej Ynci. Ynci była najstraszniejszą wojowniczką wśród władczyń Lancre. Tak przynajmniej mówiły opowieści, ponieważ tak naprawdę nie istniała. Jednak mieszkańcy Lancre nie pozwalali, by taki drobiazg powstrzymał ich przed dopisaniem Ynci do historii królestwa; przygotowano też zbroję jako uzupełnienie jej portretu. Magrat miała na sobie tę zbroję, kiedy ostatni raz spotkała elfy, więc słusznie uznała, że teraz powinna włożyć ją znowu.

Otworzyła drzwi szafy i odniosła wrażenie, że słyszy delikatny, cichy głos fanfar — zbroja Ynci żyła własnym życiem i zawsze lśniła, nawet w ciemności. Verence pomógł żonie zapiąć kolczugę — o której zwykle myślała jako o pleciudze; potem wsunęła stopy w kolczaste sandały na grubych podeszwach, a następnie wcisnęła na głowę skrzydlaty hełm. Ostatnim elementem był skórzany pendent.

Verence chciał ją przytulić, ale pomyślał: nie, nie wypada. Zresztą i tak za dużo ma na sobie kolców. Ale że kochał żonę do szaleństwa, raz jeszcze spróbował się zgłosić do udziału w bitwie.

— Magrat, skarbie — wymamrotał. — To krępujące, że król nie może walczyć.

— Jesteś bardzo dobrym królem, Verence — odparła Magrat stanowczo. — Ale to sprawa czarownic. Poza tym ktoś musi zadbać o nasz lud i nasze dzieci.

Potem królowa — to znaczy Magrat — zatoczyła się nieco pod ciężarem zbroi, więc wyszeptała pod nosem niewielkie zaklęcie:

— Królowo Ynci, królowo królowych, uczyń lekką swą zbroję.

I nagle poczuła się silna, silniejsza niż kiedykolwiek.

Jedną ręką chwyciła kuszę, drugą swoją miotłę i niemal przefrunęła do głównego holu, gdzie pozostałe czarownice — w większości jeszcze w dezabilu — spoglądały na nią podejrzliwie. Taka podejrzliwość przyjmuje najrozmaitsze formy i gdy każda z czarownic — część jeszcze w bieliźnie — wpatrywała się w królową, te podejrzliwości unosiły się między belki sklepienia.

— Zbierać się, dziewczęta, i na nich! — krzyknęła Magrat głosem królowej Ynci. — Zaczęło się, więc wciągajcie grube pludry i szykujcie miotły!

Spojrzała na jedyną czarownicę, która zjawiła się w pełni ubrana, w trzy minuty czysto i elegancko, ku zaskoczeniu wszystkich.

— Pani też to dotyczy, pani Skorek.

W głębi holu nastąpiło jakieś zamieszanie, rozległ się trzask i grupa czarownic wyhamowała nagle.

— Co się dzieje? — zawołała Magrat, nadal głosem królowej Ynci.

— To tylko Wysoka Chuda Niska Gruba Sally. Wpakowała obie stopy do jednej nogawki — wyjaśniła pani Proust.

Z pomocą koleżanek Wysoka Chuda Niska Gruba Sally — w tej chwili mała i krępa, jak nisko płynąca burzowa chmura — szybko stanęła na nogi.

— Sprawdzałam swoje diagramy — oznajmiła pani Skorek, wyraźnie z siebie zadowolona. — Wróżby nam sprzyjają.

— Wróżby są po dziesięć za pensa — odparła pani Proust. — Mam ich mnóstwo. W końcu wszystkie jesteśmy czarownicami.

W Magrat zaś wezbrał duch królowej Ynci, zawołała więc:

— Lećmy!

\* \* \*

W starej stodole pana Skośnego Mefistofeles delikatnie dotknął kopytkiem śpiącego Geoffreya. Chłopak zerwał się i zobaczył, że staruszkowie, którzy szykowali się do bitwy, biwakując razem z nim na sianie, już wstali. Trochę trzeszcząc, krążyli dookoła i załatwiali do wiadra toaletowe potrzeby.

Geoffrey przyjrzał im się z uwagą. Przez większą część wieczoru hałasowali i opowiadali historie z czasów, kiedy wszyscy byli młodzi, przystojni i zdrowi, i nie musieli tak często oddawać płynów naturze.

Udało się im uzyskać od żon przepustki — były przekonane, że ich mężowie idą do stodoły, żeby się trochę napić i powspominać. I — jak to żony — udekorowały ich długimi szalikami, jednopalczastymi rękawicami na sznurkach i wełnianymi czapkami — o zgrozo — z pomponami na czubku.

— Pora ruszać! — oznajmił kapitan Makepeace, uznawany przez staruszków za dowódcę. — Trzeba wyprowadzić tę morderczą machinę Wesołka!

Geoffrey przyjrzał się żołnierzom kapitana i westchnął w duchu. Dadzą sobie radę? Są starymi ludźmi. Ale zaraz pomyślał: tak, są starymi ludźmi już od bardzo dawna, a to znaczy, że wiele się przez ten czas nauczyli. Na przykład oszustw, chytrości, a co najważniejsze, maskowania.

— Będziemy z nimi walczyć w górach! — huknął kapitan Make­peace. — Będziemy walczyć na skałach! Będziemy walczyć na szczytach i w dolinach[[52]](#footnote-52)! Nigdy się nie poddamy!

Odpowiedziały mu bojowe okrzyki.

— Nie spodoba im się, kiedy tym oberwą — zawołał Klaps Drżączek, wymachując czymś podobnym do zardzewiałego bagnetu, i niepokojąco pokazywał, że godny jest swego nazwiska. — Na pewno im się nie spodoba!

Mefistofeles stęknął, gdy Geoffrey zaprzągł go do małego wózka, który — jeszcze przed przystąpieniem do nocnej imprezy — staruszkowie załadowali tajemniczymi workami. A potem obaj wyszli za oddziałem ze stodoły.

Kapitan Makepeace nie musiał mówić swoim ludziom, że mają się cicho skradać. Już to robili. To szybki bieg sprawiał im problemy. Dlatego bez hałasu dotarli do leśnej polany i jeszcze dalej, gdzie ukryli zamaskowaną gałęziami machinę pana Skośnego.

Geoffrey przyglądał się, jak wyciągają ją na polanę, gdzie stanęła, wyglądając złowrogo. Otoczona krzakami. Czekając na właściwy moment. Niczym ogromny owad...

Z jadowitym żądłem...

\* \* \*

Przy kręgu głazów zwanych Tancerzami lord Lankin tryumfował. Jego elfy tańczyły wokół, przeskakiwały tam i z powrotem, i metaforycznie grały na nosie Dudziarzowi, Doboszowi i Skoczkowi — najlepiej znanym kamieniom. Moc bariery bramy okazała się niewielka, a urok elfów przerażający.

— Nie ma ich tu! Nawet na nas nie czekali! — cieszył się lord Lankin. — Głupi ludzie. Wystarczy nam przejść przez ten las, a w jednej szarży dotrzemy do centrum Lancre. Księżyc jest w pełni i po naszej stronie.

I w srebrzystym blasku elfy — niektóre konno, z brzękaniem dzwonków i szczękiem uprzęży — ruszyły w dół, w stronę lasu.

Kiedy jednak zbliżyły się do linii drzew, Lankin zobaczył, że na ścieżkę wychodzi młody ludzki chłopak, mający u boku zwierzę. To był kozioł.

— Kim jesteś, chłopcze? — zapytał Lankin. — Odejdź na bok. Jestem księciem elfów i stoisz mi na drodze. Usuń się, bo okażę ci swe niezadowolenie.

— Nie bardzo rozumiem dlaczego — odparł Geoffrey. — Moja rada dla pana, sir, to zawrócić i odjechać w inną stronę, żeby nie skończyło się gorzej.

Lord Lankin zaśmiał się głośno.

— Porwiemy cię stąd, chłopcze, a to, co z tobą uczynimy, kiedy już dowieziemy cię do domu, będzie niewyobrażalnie okropne. Tortura za odmowę księciu elfów.

— Ale dlaczego, panie? Nie chcę przecież cię skrzywdzić. Nie mam broni. Czy możemy porozmawiać spokojnie? Wydaje się, że z mojego powodu jesteś niezadowolony, i za to cię przepraszam. — Geoffrey umilkł. Próbował utkać pokój między nimi, ale miał wrażenie, jakby chciał skłonić młot do zgody z kowadłem. — Przecież z pewnością obaj jesteśmy ludźmi cywilizowanymi.

Lord Lankin zgrzytnął zębami.

— Teraz, młody człowieku, nadepnąłeś wężowi na ogon.

— Sądzę jednak, że wcale nie — odparł spokojnie Geoffrey. — Znam cię, panie. Wiem, co z ciebie za osobnik. Jesteś dręczycielem. Znam dręczycieli, o tak, znam dobrze! Znałem przez całe swoje życie. Wierz mi, panie, nie jesteś najgorszy.

— Jesteś niczym, chłopcze. Zabijemy cię i tak. Ale czemu kozioł, jeśli wolno spytać? Przecież to głupie stworzenia.

Geoffrey poczuł, że jego spokój odpływa. Był kimś bez wartości. Robakiem. Nieudacznikiem. Czuł się bezsilny, jakby znów stał się niemowlęciem... Kiedy elf mówił, w umyśle Geoffreya rozbrzmiewało echo: Nawet jeśli pozwolę ci żyć, będziesz niczym. Ale tym razem głos należał do jego ojca i chłopiec znieruchomiał.

— Czyżbyś płakał, dzieciaczku? — spytał jedwabiście elf.

— Nie — odparł Geoffrey. — Ale może ty będziesz. — Teraz bowiem dostrzegł błysk rudego lisiego futra, kołyszącego się na przecinającym pierś elfa rzemieniu. Czuł, że zaczyna wzbierać w nim gniew. — Nie jesteśmy tu dla waszej... rozrywki — oświadczył i ogromnym wysiłkiem woli usunął z myśli urok.

Szczęknął zębami i Mefistofeles skoczył na elfa.

To był prawdziwy balet szybkości. Trucht Ciemności zakręcił się groźnie, i najpierw użył zębów, potem mocno kopnął nogami, a na końcu skorzystał z rogów. Lord Lankin kręcił się, wyrzucany w powietrze i kopany ze wszystkich stron; inne elfy cofnęły się poza zasięg tego maelstromu.

W końcu Geoffrey pochylił się nad pobitym księciem.

— Robisz tylko sztuczki — powiedział. — A ja odkryłem, na czym polegają. — I krzyknął: — Jest powalony, panowie. Trzeba kończyć!

Gałęzie rozsunęły się i zabrzmiało głośne brzdęk!

— Nie zdejmować czapek, chłopcy! — zawołał pan Skośny. — Zasłońcie oczy!

Urządzenie zaśpiewało, zakołysało się, machnęło w górę i wypełniło powietrze migotaniem opiłków — straszliwej śmierci, jaka nadeszła znikąd i rozsypała się nad elfami.

— Nie spodobało im się, kiedy oberwały! Mówiłem! — wrzasnął Klaps Drżączek.

— Opiłki — stwierdziła z satysfakcją niania Ogg, ukryta obok w lesie.

Czekała tam z kilkoma innymi czarownicami, gotowa przystąpić do tego, co kapitan Makepeace nazywał „manewrem oskrzydlającym”. Pani Skorek i reszta czarownic obstawiały drugą stronę.

— To kawałki żelaza — wyjaśniła niania innym czarownicom. — Bardzo małe. Bardzo sprytny pomysł. Kiedy je rozsypać, elfy trafiają do świata cierpienia. Te maleńkie skrawki żelaza są wszędzie. Podkreślam: wszędzie.

Machina lancrańskich Kijów i Wiader odezwała się znowu. I znowu. A po każdym brzdęku rozlegały się bojowe okrzyki dawnych bitew, nieustępujące nawet tym Feeglowym. Bowiem tego dnia staruszkowie poczuli, że są młodsi, niż im się wydawało.

Elfy istotnie padały na ziemię i krzyczały z bólu, gdy straszliwy metal zdzierał z nich urok, a one wiły się bezsilnie. Wiele starało się odczołgać z powrotem na wzgórze, do Tancerzy. Te, które uniknęły opiłków, odkryły, że są otaczane przez czarownice.

Z jednego skrzydła ruszyła do ataku Magrat, starając się obrzydzić życie pozostałym jeszcze elfom. Zbroja chroniła ją przed urokiem, kusza wypuszczała śmiertelne bełty, płomienie strzelały z palców — i elfy, które leciały do walki na kwiatach krwawnika, spadały z nieba, kiedy ogień pochłaniał łodygi.

Z drugiej strony atakowała pani Skorek — i prawdę mówiąc, nie wiedziały, jak sobie z nią radzić. Krzyczała na nie jak przerażająca dyrektorka szkoły; nie mogły do niej dotrzeć, bo była odporna na ich urok. Miała też parasolkę, którą otworzyła. Trudno sobie wyobrazić, ile kłopotów sprawiała tym elfom: metalowe druty dźgały je bez­ustannie, trafiając w czułe miejsca...

— Tej damy nie da się odmienić! — grzmiała pani Skorek.

Wbiła się między elfy niczym tornado, a kiedy padały, Długa Chuda Niska Gruba Sally — która stała się bardzo gruba i bardzo ciężka — siadała na nich i podskakiwała. Pani Proust ciskała swoimi sklepowymi nowinkami — które teraz działały tak, jak w reklamach: chwytały elfy w kłębki zaklęć, pochłaniały ich urok i przejmowały go.

Młodsze czarownice atakowały i odskakiwały, pikowały na miotłach i ciskały zaklęcia na każdego dostrzeżonego elfa: ogień palący je tam, gdzie stały, wicher dmuchający piaskiem w końskie oczy i szaleństwem w umysły, tak że stawały dęba i zrzucały elfich jeźdźców na ziemię. Rozległy się chrzęsty, kiedy niania Ogg wyszła na pierwszą linię w swoich wielkich i ciężkich butach — tych ze wszystkich stron nabijanych ćwiekami.

Petulia stanęła twarzą w twarz z elfem — i zaczęło się starcie innego rodzaju. Elf rzucał na nią swój urok i migotliwe odpryski czaru jaśniały w powietrzu między nimi... Petulia broniła się spokojnym głosem i silną wolą; jej słowa hipnotyzowały, nieodparcie nudząc elfa tak, jak nudziły jej ukochane świnie, nużyły, kołysały... aż runął bezwładnie u jej stóp.

— Ha! Łatwiejsze niż świnie! — zawołała Petulia. — Mniej inteligentne!

I zwróciła się ku następnemu przeciwnikowi.

Równocześnie do bitwy włączył się Hodgesaargh, niosący na ręku swego ulubionego sokoła białozora, Lady Elizabeth — potomka sławnej Lady Jane. Zdjął jej kaptur i sokół radośnie rzucił się do walki, trafiając najbliższego elfa ostrymi szponami między oczy. Potem zaczął pracować dziobem...

Obiektywnie rzecz biorąc, bitwa o Lancre skończyła się całkiem szybko. Magrat kazała przyprowadzić sobie wszystkie ocalałe elfy.

— Nawet gobliny są od was mądrzejsze... ostatnio pracują z nami — powiedziała, wysoka i silna w błyszczącej zbroi, ze srebrzystymi w blasku księżyca skrzydełkami na hełmie. — Ale was mamy już dosyć. Przegrałyście wszystko. Teraz wynoście się do swoich obcych przestrzeni. Wróćcie jako dobrzy sąsiedzi albo wcale.

Elfy kuliły się lękliwie. Ale lord Lankin — którego rycerski strój zwisał teraz w strzępach, a on sam cały był pokrwawiony od strasznych opiłków — obejrzał się jeszcze.

— Wygrałyście tę bitwę — warknął. — Ale nie wojnę. Bo nasz władca, lord Groszek, zmusi jeszcze ten świat, by się nam pokłonił.

A potem wszystkie zniknęły.

Niania Ogg miała poważną minę.

— Wydaje mi się, dziewczęta, że to jest tak. Walczymy z elfami na każdym kroku, a one zawsze wracają. Może to dobrze? Żebyśmy stale miały się na baczności, nie popadały w lenistwo. Żebyśmy były wciąż gotowe. Przecież na krańcu czasu życie to walka przeciwko wszystkiemu.

Zaśmiała się jednak, kiedy usłyszała, jak na wzgórze wspina się oddział staruszków.

— Pewna piękna z Quirmu dama — śpiewali — nie chcąc nocy spędzać sama...

W tym miejscu piosenka szczęśliwie się urwała, gdyż kapitan Makepeace przypomniał sobie, jak kończy się zwrotka.

Po chwili stanął przed nianią i pochylił głowę.

— Przeszli przez Tancerzy, prawda? — spytał cicho. — Może rozsypiemy wokół kamieni krąg opiłków? Dla nich to będzie koniec zabawy. Zostaną tam zamknięte już na zawsze.

— To na pewno dobry początek — przyznała niania.

\* \* \*

W jednym lord Lankin się nie mylił. Elfy przegrały wprawdzie bitwę w Lancre, ale wojna się jeszcze nie skończyła. Wiele mil od Tancerzy, w stronę Krawędzi, lord Groszek istotnie przejechał przez kamienną bramę w Kredzie, prowadząc za sobą elitarny oddział wojowników.

Tymczasem kopiec Feeglów był jedną wielką bieganiną. Nac Mac Feeglowie ściągali ze wszystkich zakamarków, gotowi do walki. Kopiec taki można porównać do przerośniętego kopca termitów — chociaż lepiej nie robić tego przy Feeglach, chyba że ktoś lubi szukać swoich zębów w trawie; w każdym razie trwała tu taka sama krzątanina. Można by też stwierdzić, że przednia straż już wyruszyła, ale ponieważ składała się z Feeglów, w szeregach wciąż wybuchały sprzeczki. Wszyscy jednak wiedzieli, że takie są obyczaje klanu.

Kiedy dotarła Tiffany z Wilczą Jagodą, tłum Feeglów rozciągnął się w długą kolumnę, zmierzającą w stronę kamieni.

Tymczasem portal opanowały elfy.

I te elfy jechały teraz w ich stronę — wspaniała grupa panów i dam, olśniewająca w blasku księżyca. Powietrze aż gęstniało od ich uroku.

Panna Tyk czekała — panna Tyk z tablicą wspartą na paru drągach, które wcześniej związała, by uzyskać kozły. Na tablicy napisała PLN i prezentowała typową nauczycielską determinację, by w żadnych okolicznościach nie pozwolić na zakłócanie lekcji; jej dźwięczny głos domagał się uwagi młodych Feeglów. Jednocześnie mocowała do miotły jakąś dziwaczną sieć, plątaninę złożonych i starannie zaplecionych węzłów i pętli.

— Pamiętajcie — mówiła surowo. — Macie zachować to w jednym kawałku.

A potem, po kilku chwilach, zaczęło się starcie — starcie, które wszystkie inne starcia miało pod sobą. Tiffany czuła, że powietrze jest coraz mocniej naelektryzowane. Jak elfy mogą być tak głupie, myślała, żeby atakować przed burzą? Atmosfera skwierczała niemal, mrowiły ją włosy na głowie. Wszędzie wokół widziała zapowiedzi nadchodzącej ulewy — potrafiła rozpoznać zbliżającą się potężną nawałnicę.

Mysie dudy Super Ciut Billy’ego Bródka wyskrzeczały hymn bojowy w tonacji perfekcyjnie dobranej tak, by razić elfie uszy. Od strony Dwukoszula rozległ się także daleki gwizd lokomotywy, łoskot żelaza i stali, jak głośny krzyk wołający: To nie jest świat dla elfów!

Feeglowie i elfy zwarli się w walce i żadna ze stron nie okazywała litości. Tiffany widziała, że Feeglowie walczą własnym sposobem — polegającym na tym, by dostać się elfowi pod ubranie i atakować od wewnątrz. A jeśli elf czegoś naprawdę nie znosił, to rozdarcia swego stroju. Zresztą podbite oko też nie poprawia wizerunku. Z podbitym okiem trudno być dystyngowanym, pomyślała.

I nagle wybuchnęła śmiechem. Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz widziała na oczy Ser Horacego[[53]](#footnote-53), ale teraz patrzyła, jak przetacza się ciężko po każdym powalonym elfie. Na tych spłaszczonych rzucali się młodzi Feeglowie, głównie ze swymi ciężkimi butami. Używali też ostrzy podwajających zabawę, które wirowały w powietrzu, tłukły elfy po głowach, a potem płynnie wracały do rzucających.

Tiffany zauważyła między nimi Maggie — córkę Feeglów, walczącą ramię w ramię z braćmi. Biła się nawet z większą od braci zaciętością, pomyślała Tiffany. Jak mała Ynci. Feeglowa panna czekała być może na taką okazję, by się wykazać, więc zguba spadała na każdego elfa, który stanął jej na drodze. Był to mały krok dla Feeglowej dziou­ski, ale wielki skok dla całej ich żeńskiej zbiorowości.

Panna Tyk latała teraz nad polem bitwy, a jej dziwaczna siatka zwisała pod miotłą, wypełniona młodymi Feeglami. Szarpała za kolejne węzły i piktale spadały, trafiając prosto na głowy elfów. Słychać było Trach! Bums! Łup!, a zaraz potem elfie Aargh!

Czarownica miała też swoje buteleczki, przygotowane w mieszkalnym wozie mikstury. I teraz, zataczając kręgi w powietrzu, z satysfakcją opróżniała je na łby elfich koni. Następowała chwila ciszy, gdy zwierzęta wchłaniały miksturę, a potem robiły zeza, krzyżowały kopyta, traciły równowagę i przewracały się na ziemię, zrzucając jeźdźców. A tych natychmiast pokrywali Feeglowie.

Przybyła wezwana przez Hamisha Letitia. Zeskoczyła z konia z determinacją we wzroku i wypożyczoną kolczugą na sukni. Zdawało się, że płynie między elfami — i była w tym magia: jakby stała się boginią wody wszędzie dopływającej, bez świadomej myśli, ale niemożliwej do zatrzymania. I nagle elfie konie, które jeszcze stały, zaczęły się zapadać w trzęsawisku, a Feeglowie byli już na miejscu, by nie pozwolić im się z bagna wydostać.

Mimo to wydawało się, że Feeglowie, panna Tyk i Letitia nie uzyskują przewagi. Chociaż Wolni Ciut Ludzie wlewali się do elfiej odzieży, rozrywali ją i atakowali, Tiffany uświadomiła sobie, że grozi im porażka.

Wilcza Jagoda wskazała Groszka na czarnym rumaku, i Tiffany sfrunęła w dół, by stanąć przed przywódcą elfów. Jego słudzy rozbieg­li się na ten widok — zobaczyli wyraz jej twarzy.

Groszek się śmiał.

— Aha, jest ta mała wieśniaczka. Tak mi miło, że znowu cię widzę!

Poczuła ucisk jego uroku, ale wściekłość to użyteczne narzędzie. A ona nienawidziła tej wyszczerzonej twarzy. Był tak skupiony na sobie... Kochał siebie bardziej niż cokolwiek innego.

— Groszek to bardzo głupie imię dla elfa twojego wzrostu — stwierdziła dość dziecinnie.

I wtedy elf zeskoczył z konia i stanął przed nią, trzymając w ręku szablę. Śmiech ucichł i pozostała tylko złość w oczach.

I nagle zabrzmiał nowy głos:

— Nie dotykaj jej, Groszku.

Wilcza Jagoda szła naprzód; wreszcie odzyskała swój urok, który teraz jarzył się wspaniale. Włosy w blasku księżyca miały srebrzyste pasma, nowe skrzydła jaśniały pięknie. Znowu nosiła się z dumą, jak królowa, i powoli mierzyła wzrokiem wojowników stojących za zdradzieckim dworzaninem. A jej obecność wywierała wrażenie tak potężne, że nawet Feeglowie znieruchomieli na chwilę i zamilkli.

— Dlaczego podążacie za tym... wiarołomnym elfem? — zwróciła się do swych poddanych. — Ja jestem waszą prawowitą królową i powiadam wam: nie musicie tego robić. Są... inne drogi. — Odwróciła się, aż jej aksamitna szata zafalowała wokół szczupłego ciała. — Nauczyłam się tego. A ta dziewczyna... — wskazała Tiffany — ...jest moją przyjaciółką.

Tiffany nie mogła powstrzymać tego, co nastąpiło.

— Przyjaciółką? — parsknął Groszek. — Dla elfów nie istnieją przyjaciele.

Uniósł ramię i jego szabla z przerażającym świstem cięła Wilczą Jagodę. Królowa elfów osunęła się na ziemię, gdzie wiła się jeszcze przez moment, który zdawał się wiecznością; miriady twarzy i kształtów pojawiały się i znikały, rozpalały i gasły, aż wreszcie legła nieruchomo jak smętny kłębek łachmanów. Tiffany zachwiała się, wstrząśnięta.

Groszek zabił królową elfów!

Gorzej: zabił jej przyjaciółkę.

Groszek z dumą spojrzał na Tiffany; twarz miał drapieżną, a wzrok bezlitosny.

— Nie masz już przyjaciółki.

I nagle powietrze ściął lód.

— Zabiłeś kogoś ze swoich, żeby we mnie uderzyć, przeklęty elfie — oznajmiła Tiffany zimno, choć wściekłość paliła się w niej czerwonym żarem. — Chciała spróbować nowych dróg, przymierza między elfami i ludźmi, a ty ją zabiłeś!

— Głupia dziewczyno! — zadrwił Groszek. — Myślisz, że możesz się ze mną mierzyć? Jakże jesteś niemądra! My, elfy, dobrze pamiętamy czarownicę, która strzegła kiedyś granic tego świata... ale ty, ty jesteś tylko dzieckiem pełnym fałszywej dumy, bo kiedyś sprzyjało ci szczęście w starciu z naszą słabnącą królową! — Pogardliwie zerknął na martwe ciało, będące kiedyś władczynią Krainy Baśni. — A teraz zginiesz, obok... swojej przyjaciółki.

Ostatnie słowo wyrzucił z siebie z pogardą, a jego urok wił się ku Tiffany, wślizgiwał do głowy, pochłaniał myśli...

Tiffany zachwiała się; nagle zabrzmiał jej w uszach głos niani Ogg: Esme mówiła mi nieraz, że to ty będziesz sobie radzić z przyszłością. A że jesteś młoda, to masz tej przyszłości dużo. No cóż, wyglądało na to, że babcia Weatherwax jednak się myliła. Tiffany nie pozostało zbyt wiele przyszłości.

Zawiodła.

Próbowała być czarownicą dla dwóch gospodarstw. I wszystkich rozczarowała...

Spotkała się i rozmawiała z królem elfów. Odmówił jej...

Zaprzyjaźniła się z Wilczą Jagodą. A teraz królowa elfów leżała martwa...

Stała przed potężnym elfim lordem, który zaraz ją zabije...

Zasłużyła na śmierć...

Została sama...

I wtedy uświadomiła sobie: nie, nie zasługuje na śmierć, i nie jest sama. Nigdy nie będzie sama, dopóki ma pod podeszwami swoją ziemię, swoją krainę. Krainę Obolałych.

Była Tiffany Obolałą. Wprawdzie nie babcią Weatherwax, ale samodzielną czarownicą, która dokładnie wie, gdzie się znajduje i jak planuje działać: na swój sposób. I nie zawiodła, bo dopiero zaczyna...

Stanęła wyprostowana. Lodowata. Wściekła.

— Nazwałeś mnie wieśniaczką — powiedziała. — Dopilnuję, żeby wszystkie tutejsze wioski cieszyły się z twojej śmierci.

Kraina mówiła do niej teraz, wypełniała ją, odpychała urok elfa niczym mgłę. Powietrze skrzyło się jak od piorunów...

Tak jest, pomyślała. Grom i Piorun. Oba psy dawno już odeszły, leżały pochowane na wzgórzach obok babci Obolałej, ale ich siła pomagała jej teraz.

Stała tak niewzruszona, wbijając stopy w murawę, a pomruk pradawnego oceanu wzbierał przez jej podeszwy. Ziemia. Woda.

Uniosła ręce.

— Piorunie i Gromie, wzywam was!

Ogień i Powietrze.

I kiedy czerpała z mocy obu owczarków, zahuczał grom i błys­nęły pioruny. Pasterska korona zajaśniała na jej piersi — w sercu wszystkiego, w duszy i jądrze jej istnienia — a złociste lśnienie uniosło się z kamienia i otoczyło Tiffany, osłoniło, dodało jej swoją energię.

A wtedy rozpękło się niebo.

Nigdy jeszcze nie było takiej burzy. Szalała wściekle, a elfy uciekały, czy raczej próbowały uciekać, gdyż Feeglowie stali im na drodze, a Wolni Ciut Ludzie nie darzyli elfów sympatią. Wśród rzezi i krzyków Tiffany miała wrażenie, że to już nie ona wszystkim kieruje, że jest tylko przekaźnikiem dla furii Kredy.

Grunt pod stopami falował, dygotał jak zranione zwierzę na smyczy, pragnące się uwolnić. A korona jaśniała niczym żywa istota...

Pasterska korona, nie królewska, nie dla monarchów, tylko dla kogoś, kto wiedział, skąd pochodzi. Korona dla samotnego światełka sunącego pod nocnym niebem w poszukiwaniu jednej zagubionej owcy, dla pasterza, który strzegł stad i odpędzał drapieżców.

Korona dla tego, kto potrafi pracować z najlepszymi owczarkami, jakie może mieć pasterz.

I znowu usłyszała ten sam głos: Tiffany Obolała jest pierwszą wśród pasterzy, ponieważ innych stawia przed sobą...

Jest królem pasterzy...

Nie: królową.

Poczuła, że powinna usprawiedliwić się przed koroną, przeprosić za to, że pozwoliła elfom przebić się i zagrozić krainie.

— Jestem Tiffany Obolała — szepnęła. — I moje kości są w Kredzie. Niech Kreda będzie oczyszczona.

I świat się zmienił.

\* \* \*

W mieście Ankh-Morpork HEX wypluł wyniki obliczeń — i Myślak Stibbons zobaczył, że rezultat jest podkreślony...

\* \* \*

W klasztorze Oi Dang zakręcił się młynek modlitewny i mnisi z wdzięcznością skłonili głowy...

\* \* \*

Mały chłopczyk podróżujący z matką wziął ją za rękę.

— Mamo — powiedział. — Wielkie złe stwory zniknęły...

W drugiej ręce trzymał drewniany pociąg, a na ramieniu niósł mały worek pełen narzędzi. Może kiedy dorośnie w tym nowym świecie, zostanie mechanikiem, pomyślała matka.

\* \* \*

A w Krainie Baśni zabrzmiało głośne brzęk, jakby pękło włókno łączące dwa światy...

\* \* \*

Walka trwała nadal — trudno jest zatrzymać Feeglów, kiedy już się rozpędzą — a Tiffany szła między nimi jak we śnie. Elfy próbowały teraz uciekać, ale zdawało się, że sam grunt je więzi.

— Proszę teraz Kredę, by doprowadziła do mnie króla elfów! — szepnęła.

Ciężki taniec krainy nabrał innego rytmu. Wzniósł się pył i nagle stanął przed nią król elfów — z niczym nie można było pomylić jego odoru, jego długich włosów i poroża. Och, ten odór... Zdawało się, że żyje własnym życiem. Ale w pewnym sensie, pomyślała Tiffany, to męski zapach życia.

Potężna sylwetka pochyliła się nad nią.

— Znów się widzimy, pani Tiffany — rzekł król. — Nie mogę powiedzieć „Szczęśliwe to spotkanie”, ale muszę przyznać, że... zaskoczyłaś mnie. Już wcześniej zrobiłaś mi niespodziankę — dodał. — Tym prezentem, który mi zostawiłaś. To... szopa. Co wy, ludzie, robicie z miejscem zwanym przez was szopą?

Wydawał się zaciekawiony.

— To miejsce dla... dla tego, co nas interesuje — wyjaśniła Tiffany. — Miejsce, gdzie może wykuwać się przyszłość. Ale dla tych, którzy przeżyli już wiele lat, to także miejsce, by pamiętać.

— Mam bardzo wiele wspomnień. Nie spodziewałem się jednak, że masz moc, by wskazać mi nowe rozrywki, zachęcić do nowych przyjemności. Niewielu to potrafi, w tym czy innych światach.

Więc teraz, pomyślała Tiffany, król elfów widzi we mnie coś więcej niż tylko młodą dziewczynę. Podczas tamtego spotkania zdobyłam jego szacunek.

Ale i on zasługiwał na szacunek, pochyliła więc głowę — tylko trochę.

— Chcę przeprosić za wszystkie gorące głowy z mojego królestwa — rzekł król. Mówił leniwie; głos brzmiał gładko i rozkosznie. — Znajduję ich źródłem irytacji. Zapewne tak jak i ty.

Spojrzał gniewnie na drżącego Groszka, a potem na ciało Wilczej Jagody.

— Elfie, zabiłeś moją królową, moją panią Wilczą Jagodę, jedynie ze złośliwości — warknął.

A potem wyprostował się i uderzył Groszka jeden raz, a jego dłoń zabiła, pozostawiając leżącego na ziemi trupa. Ta niedbałość, ta swoboda w użyciu przemocy zaszokowała Tiffany, mimo wszystkiego, co wiedziała o elfach.

— Wybacz, ale musiałem to zrobić — powiedział. — One niczego innego nie rozumieją. Niestety, wszechświat się obraca i musimy przyjąć tę zmianę albo odejść. Mieliśmy tu dobry świat, pani — dodał i wzruszył ramionami. — Szkoda, że tak wyszło z żelazem. Ale może, kiedy wszechświat zakręci się jeszcze, spotkamy się znowu, w innym obrocie i szczęśliwszych okolicznościach.

— Tak — odparła Tiffany. — Może. A teraz odejdź z mojej krainy — rozkazała twardo. Zabrzmiał przenikliwy gwizd, a po nim głośne zgrzyty, kiedy ze stacji Dwukoszul ruszył poranny pociąg. — Posłuchaj, wasza wysokość, tej pieśni. To piąta dwadzieścia pięć do Lancre i to jest wasza przyszłość, jeśli zostaniecie. Całe życie wśród żelaza.

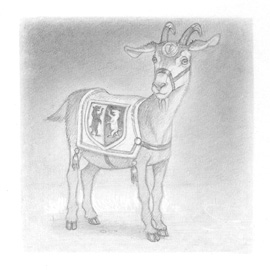
— Interesujące są te mechanizmy. W mojej szopie mam różne narzędzia i zastanawiam się, czy takie „pociągi” dałoby się wykonać... bez żelaza. — Król westchnął i dodał, trochę smutnie: — Jestem istotą magiczną, więc powinienem zrobić wszystko, co zechcę.

— Ale nie możesz — odparła Tiffany. — Koleje nie są dla ciebie.

I wydawało jej się, że kiedy król odchodził, był zamyślony.

Ostatnie elfy, które zdołały się wymknąć, wlokły się do swojego świata. A Tiffany zwróciła się do Roba Rozbója.

— Rob, pochowamy lady Wilczą Jagodę tutaj, gdzie zginęła — powiedziała cicho. — Zaznaczę to miejsce kopcem z kamieni. Będziemy pamiętać ten dzień. I ją będziemy pamiętać. — Po czym dodała szeptem, jakby do siebie: — Musimy pamiętać.



Rozdział dziewiętnasty

POKÓJ

Kiedy ranek z wolna stawał się dniem, Feeglowie przeszli do uczty: picia, jedzenia, znów picia i opowieści o czynach tak wielkich, że często większych od samych Feeglów.

Rob Rozbój stanął przed Tiffany.

— Terozki, pani, pole bitwy nose jest znowu — powiedział. — Zejdźze na dół do kopca. Jeannie by chcioła łobacyć twoje pikne łoblice.

Tiffany wśliznęła się więc do kopca, który wydawał się większy, niż go pamiętała z ostatniej wizyty. Wszędzie w głównej komorze widziała skaczące postacie i fruwające kilty — to Feeglowie tańczyli swoje reele. Kochali te tańce, w których każde tupnięcie o ziemię było niczym rzucone światu wyzwanie.

Poza tym, oczywiście, każdemu z Feeglów zależało, żeby wszyscy inni Feeglowie wiedzieli, jak mężnie stawał przeciw elfom. A młodzi, co do jednego, koniecznie chcieli, by Tiffany — ich wiedźma wzgórz — zdawała sobie sprawę z tego, jak dzielny był każdy z nich. Dlatego zebrali się wokół niej.

— Jak się nazywacie, chłopcy? — spytała.

— Jo jest Callum, pani — odpowiedział trochę onieśmielony Ciut Callum.

— Miło mi cię poznać.

— Ano, pani, takoz i mnie. A to je mój brocisek Callum.

— Aż dwóch? Nie macie z tym kłopotów?

— Ni. Ja wim, kim zem jest, i on wi kim. Takoz nos tseci brat Callum.

— I podobała się wam bitwa?

— Ano! Ześmy im dołozyli całkiem jak tso. Nos Wielki Gość twardo nos ucy, wis. Pilnuje, cobyśmy se radzili z macugom i włócniom, i toporem. I stopami takoz, łocywiście. I kiedy ześmy we tsech łobalili jednego paskuda na ziemie, to wtedy sie psydoły nose buty.

\* \* \*

Staruszkowie maszerowali aleją.

Śpiewali teraz nową piosenkę, zaczynającą się od „A żoł, a żoł, żołnierskie życie to raj”. I z każdą zwrotką, każdym krokiem szli bardziej wyprostowani i mocniejsi.

A żoł, a żoł, żołnierskie życie to raj!

Za kró, za kró, za króla i za kraj,

Leje, leje, lejemy wrogów tłum,

Bo nie chcą oberwać, nie chcą oberwać, nie chcą oberwać i paść.

Ci, którzy mieli żony, całowali je — a żony od lat nie widziały swych mężów tak pełnych energii. A potem wszyscy skręcili do karczmy, żeby opowiedzieć o bitwie kolegom.

Z kuflem w pewnej dłoni, kapitan Makepeace usiadł na kamieniu przed karczmą i oznajmił:

— Mieszkańcy Lancre! Nasza szczęśliwa garstka, garstka niezwykle zaawansowana w latach, pokonała dziś straszliwe elfy! Mówi się, że ludzie z wiekiem zapominają, ale my nie zapomnimy. Na pewno nie! Myśleliśmy, że jesteśmy już starzy, ale dzisiaj przekonaliśmy się, że wciąż jesteśmy młodzi.

Potem nadszedł czas na drugą kolejkę. I jeszcze jedną, bo wszyscy chcieli stawiać bohaterom, aż do chwili, kiedy stanie nie wchodziło już w grę. I wciąż rozbrzmiewały okrzyki: Jest jeszcze czas na jeden dzban?

\* \* \*

Kiedy wstał księżyc, zapowiadając czas nocy następnego dnia, Geoffrey siedział na swojej miotle, która znowu unosiła się w powietrzu.

— Nadal nie wiem, jak to robisz — zawołała do niego Tiffany.

— Nie mam pojęcia, Tiffany — odpowiedział. — Myślałem, że wszyscy potrafią... Może spytamy, bo chyba tu idą.

I rzeczywiście, przybywały inne czarownice, prowadzone przez nianię Ogg i Magrat. Nadeszła pora, by znów pomyśleć o przyszłości — tym razem przyszłości, która nie jest pełna elfów. Ale teraźniejszość... cóż, teraźniejszość była pełna pogawędek i ploteczek czarownic, dzielących się opowieściami o obu bitwach.

Rob Rozbój rozpalił ognisko służące za znak nawigacyjny i Tiffany przyglądała się ostatnim czarownicom, które krążyły nad łąką, aż zwolniło się miejsce, a potem jedna po drugiej podchodziły do lądowania. Żadna jednak nie zostawiła swojej miotły wiszącej nieruchomo nad ziemią — wydawało się, że tylko Geoffrey wie, jak to zrobić.

— Zastanawiam się, czy nie spróbują znowu się tu zakraść — oświadczyła po pewnym czasie niania Ogg. — Nie można ufać Kudłatemu. Próbował cię zauroczyć, Tiff, sądząc z tego, co mówisz.

— Wiem, ale nie jestem oczarowana — odparła Tiffany. — To niemożliwe od chwili, kiedy zginął jedyny elf próbujący być dobrym elfem. Wiesz, nianiu, że oznaczyliśmy miejsce, gdzie jest pochowana. A jeśli one spróbują znowu wrócić, będziemy gotowi. Możemy otoczyć żelazem te głazy w Kredzie, tak jak wy wysypałyście opiłki wokół Tancerzy w Lancre. — Jej głos zabrzmiał twardo. — Mam teraz żelazo w duszy. Żelazną wolę, by przyjąć je odpowiednio, gdyby ośmieliły się wrócić.

— Wiecie — wtrąciła Magrat — pokonywałyśmy je tak często, że moim zdaniem on mówił prawdę. Mała jest szansa, by chciały znowu spróbować.

— W takim razie wypiję za to, że nie próbują — oświadczyła niania.

— Drogie panie, skoro już jesteśmy tu wszystkie — zawołała Tiffany. — Chcę z wami porozmawiać o Geoffreyu. Był dla nas wielką pomocą... i wszystkie widziałyśmy, jak z tych starszych panów w Lancre stworzył poważną siłę bojową. Jest rozsądny, sprytny i ostrożny. Potrafi słuchać. I posiada pewien rodzaj magii.

— To prawda — zgodziła się niania. — Wszyscy lubią Geoffreya. Wydaje się jakoś, że on wszystkich rozumie. Słowo daję, nawet niektóre starsze dziewczyny byłyby zadowolone, gdyby to on zajmował się ich bólami, chorobami albo gorzej. Uspokaja ludzi. Sam jest wcielonym spokojem. I ten spokój zostaje, nawet kiedy on sam odchodzi. Geoffrey nie tylko pociesza ludzi, ale kiedy już ich zostawia, oni dalej są jakoś lepsi. Jakby odkrywali, że ich życie nadal jest warte przeżywania. Ludzie tacy jak on, jak Geoffrey, tak jakby czynią świat, no... lepszym.

— Całkowicie się z panią zgadzam — oświadczyła pani Skorek.

— Pani się zgadza ze mną? — zdumiała się niania Ogg, niemal zabrakło jej tchu.

— Tak, moja droga, w istocie.

A Tiffany pomyślała: nareszcie będzie spokój.

— Dzięki, Geoffrey — mruknęła pod nosem. — A że wszystkie tu jesteśmy — podjęła głośno — muszę wyznać, że nie zdołam się opiekować babcinym gospodarstwem. Nie będę już spać w babci łóżku. Bo nią nie jestem.

Niania uśmiechnęła się szeroko.

— Tak się zastanawiałam, czy kiedyś to zrobisz, Tiff. W końcu musisz być niezależna.

— Moje korzenie tkwią w Kredzie i Kreda daje mi siłę — mówiła dalej Tiffany. — Moje kości staną się częścią tych wzgórz, jak kości mojej babci Obolałej.

Wśród czarownic rozległy się pełne zrozumienia pomruki. Do tej pory wszystkie już słyszały o babci Obolałej.

— Mam też bardzo porządne buty. I jak nie mogę spać w łóżku babci, tak nie mogę chodzić w jej butach.

Niania parsknęła.

— Zabiorę je, jak następnym razem zajrzę do chaty. Znam buty Esme i znam jedną młodą czarownicę, której świetnie będą pasować.

— A skoro mowa o młodych czarownicach — dodała Tiffany. — Panna Tyk znalazła dla mnie kilka dziewcząt mających potencjał. Mogę je wysłać w góry, żeby zaczęły szkolenie? W przyszłości przyda mi się pomoc tutaj, w Kredzie.

Czarownice pokiwały głowami. Oczywiście. Tak się to zawsze robiło: młode dziewczęta — Nancy Upright i Becky Pardon — spędzą pewien czas u starszych czarownic, by uczyć się podstaw fachu.

Tiffany nabrała oddechu.

— Moja propozycja jest taka, żeby Geoffrey zaopiekował się chatką babci Weatherwax i jej gospodarstwem w moim zastępstwie — oznajmiła, patrząc na nianię Ogg.

W odpowiedzi otrzymała porozumiewawcze mrugnięcie.

Spojrzała na panią Skorek i ze zdumieniem zobaczyła, że czarownica kiwa głową.

— To bardzo porządny i miły młody człowiek — stwierdziła pani Skorek. — Widziałyśmy go przy pracy, a że żyjemy teraz w czasach kolei, może pora, by zmienić dawne tradycje. Tak, uważam, że pan Geoffrey powinien się zająć gospodarstwem babci... to znaczy Tiffany... w Lancre. Nie jest czarownicą, ale z pewnością jest kimś więcej... o wiele więcej... niż zwykły parobek.

Tiffany widziała niemal, jak pracuje umysł pani Skorek; była pewna, że kiedy znów ją spotka, czarownica będzie miała u siebie także jakiegoś chłopca.

— Jak go nazwałaś, Tiff? — spytała głośno niania Ogg. — Tkaczem spokoju? Może na razie na tym poprzestaniemy.

Ale Magrat też miała coś do powiedzenia.

— Verence słyszał, co Geoffrey zrobił dla tych starszych mężczyzn — rzekła. — Uważa, że należy mu się nagroda. I chyba się domyślam, co mu sprawi radość...

\* \* \*

I tak kilka tygodni później lord Swivel z niebotycznym zdumieniem zobaczył swego trzeciego syna, jadącego dumnie długą, bardzo długą aleją, z heroldem u boku[[54]](#footnote-54), pod trzepoczącym na wietrze proporcem z królewskimi insygniami Lancre. Ten same insygnia wyszyto też na aksamitnej derce okrywającej boki Mefistofelesa.

Matka Geoffreya szlochała ze szczęścia, gdy ojciec — człowiek, przy którym żadne tkanie spokoju nie przynosiło skutku — aż wrzał z wewnętrznej furii, gdyż musiał pokłonić się synowi, którego traktował jak najgorzej. Ale nikt nie dyskutuje z potęgą korony.

Wizyta tutaj miała pewien ważny cel. Po zwykłych pokłonach, szuraniach nogami i zginaniu kolan, jakie każdy królewski emisariusz przyjmuje jako oczywiste, Geoffrey uśmiechnął się szeroko.

— Ojcze, przynoszę niezwykłe wieści — oznajmił. — Ci z nas, którzy żyją na wsi, mogą często czuć się lekceważeni przez tych z wielkiego miasta, ale pozwól się zapewnić, że niesłusznie. Ostatnio nastąpił znaczący postęp w dziedzinie... kojców dla drobiu. Pewni młodzi ludzie w Ankh-Morpork... młodzi ludzie, których rodzice są dostatecznie potężni, by folgować życzeniom swych dzieci... — W tym miejscu znacząco postukał palcem w boczną część nosa, pokazując, że spodziewa się, iż jego ojciec dobrze zna owych ważnych rodziców. — Otóż ci młodzi ludzie uznali, że nie trzeba już polować na starego i chytrego pana Renarta, by chronić nasze kury. — Rozpromienił się. — Zbudowali całkiem nowy kojec, absolutnie nieprzenikliwy dla lisów. I ty, ojcze, jesteś tym szczęśliwym, bardzo szczęśliwym ziemianinem, którego wybrano, by wypróbował nową konstrukcję.

I kiedy ojciec niemal charczał ze złości, a starszy brat Hugh krzyknął „Hurra!”, bez specjalnego powodu prócz tego, że — jak się zdawało — ktoś powinien, Geoffrey rozejrzał się dookoła. Widział twarz matki — zwykle wyglądającej jak ktoś, kogo świat podeptał już tyle razy, że była niemal zaproszeniem, by podeptać ją znowu. Ale tym razem stała wyprostowana, z godnością unosząc głowę.

— Haroldzie, nasz syn dokonał cudów. Sam król docenia go i traktuje jak przyjaciela — oznajmiła dumnie. — I nie patrz tak na mnie, Haroldzie, gdyż dzisiaj przemówiłam. A królowa Lancre zaprosiła mnie, żebym przyjechała do niej z wizytą — dodała z satysfakcją.

Mefistofeles zabeczał. I kiedy ojciec Geoffreya odwrócił się, by odejść, kozioł, tupiąc gniewnie, stanął tyłem do niego i wymierzył parę piekielnych kopytek prosto w siedzenie lorda Swivela. A potem hałaśliwie puścił gazy, prawie — ale nie do końca — zagłuszając odgłos padania na twarz.

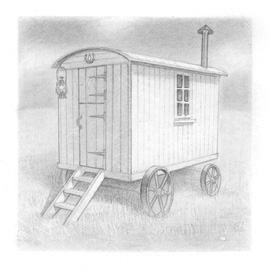
— Bardzo użytecznie napastliwy zwierzak — mruknął Geoffrey do McTavisha, który zjawił się i stanął u jego boku.

Stary chłopiec stajenny przyjrzał się uważnie.

— W dodatku taki, którego twój ojciec nie może tknąć — stwierdził i mrugnął znacząco. — Nie w tej eleganckiej liberii na grzbiecie. — Pociągnął nosem. — Ale słowo daję, Mefistofeles nie jest łatwy dla nosa. Cuchnie jeszcze gorzej, niż zapamiętałem.

— To prawda — przyznał Geoffrey. — Ale umie wchodzić na drzewa. I korzystać z wygódki. A nawet liczyć. To niezwykłe stworzenie. Potrafi zmienić ponury dzień w słoneczny. Spójrz mu czasem w oczy.

McTavish spojrzał, po czym pospiesznie odwrócił wzrok.



Epilog

SZEPT W KREDZIE

Dwa dni po bitwie Tiffany zaprowadziła jednego z gospodarskich koni na wzgórza powyżej farmy. Był pogodny, wczesnojesienny dzień, niebo miało cudownie błękitny kolor, w górze skrzeczały myszołowy, a wzrok sięgał aż po dalekie góry Lancre. Ich wyraźnie widoczne szczyty nawet o tej porze roku okrywał śnieg.

W tej części hal zawsze kręciła się garstka owiec, niezależnie od pogody. O tej porze były to niewyrośnięte jeszcze jagnięta, brykające i goniące się w kółko, i dorosłe matki, które spokojnie gryzły trawę. Dla tych, którzy wiedzieli, tutaj znajdował się ważny punkt, szczególne miejsce zarówno dla owiec, jak i dla farmerów. Miejsce, gdzie teraz leżała pod murawą babcia Obolała.

Z jej pasterskiej chaty pozostały widoczne tylko żelazne koła i pękaty piecyk z kominem, ale sama ziemia była święta: Tiffany przycho­dziła tu za każdym razem, kiedy czuła, że świat próbuje ją przygnieść. I tutaj, gdzie nigdy nie cichł wiatr, czuła, że może sobie poradzić ze wszystkim.

Z pomocą konia i mocnego sznura wyrwała zardzewiałe koła z murawy, w którą się zapadały. Następnie starannie je oczyściła, nasmarowała i osadziła na osiach. Rob Rozbój, którego ofertę pomocy odrzuciła, przyglądał się jej przez jakiś czas. A potem odszedł ze zdziwioną miną, mrucząc coś na temat misiów i tego, co chętnie by z nimi zrobił.

Następnego dnia Tiffany wybrała się do pana Blocka, miejscowego stolarza. Kiedyś, gdy była jeszcze mała, zrobił jej dom dla lalek. Teraz chodziło jej o większy.

Ucieszył się na jej widok, ale był zaskoczony prośbą.

— Panie Block, chciałabym, żeby mnie pan nauczył stolarstwa. Zamierzam zbudować sobie chatę. Pasterską chatę.

Stolarz był dobrym człowiekiem i zaproponował, że pomoże.

— Ty jesteś czarownicą — powiedział. — A ja stolarzem. Taka nieduża chata nie zajmie mi wiele czasu. Twoja babcia była dobra dla naszej rodziny, a ty pomogłaś mojej siostrze Margaret. Z radością zrobię to dla ciebie.

Ale Tiffany była zdecydowana.

— To miło z pana strony — zapewniła. — Jednak całą pracę przy tej chacie muszę wykonać sama. Będzie moja, od kół po dach, a postawię ją tam, gdzie wzlatują skowronki. Nadal będę czarownicą, gdyby ktoś mnie potrzebował. Ale to tam będę mieszkać.

Sama, pomyślała. Przynajmniej na razie, bo kto wie, co niesie przyszłość... I dyskretnie wsunęła dłoń do kieszeni, gdzie ostatni list od Prestona czekał, by mogła się nim rozkoszować.

I tak Tiffany uczyła się stolarstwa każdego wieczoru, kiedy wypełniła już zwykłe obowiązki. Zabrało jej to trochę czasu, ale w końcu w pobliżu grobu babci Obolałej stanęła nowa pasterska chata.

Miała trzy schodki prowadzące do drewnianych drzwi, gdzie wisiała już przybita podkowa i kępka owczej wełny — znaki pasterza. Dach wyginał się łukiem nad niewielką przestrzenią mieszkalną, w której wbudowała łóżko, mały kredens, kilka półek; zostawiła też miejsce na umywalkę. Z łóżka mogła spoglądać przez małe okienko — miała przepiękny widok ponad halami, aż po horyzont. Widziała, jak wstaje i zachodzi słońce, jak księżyc tańczy w swoich wielu postaciach — magia wracająca każdego dnia, która nie stawała się przez to mniej magiczna.

Znowu wyprowadziła konia i załadowała mu na grzbiet pościel i materac ze swojego pokoiku na farmie. Dołożyła nieliczne rzeczy osobiste, pożegnała się z rodzicami i ruszyła w górę, w blasku przedwieczornego słońca.

— Jesteś pewna, dżygicie, że naprawdę tego chcesz? — upewnił się ojciec.

— Tak, naprawdę — odpowiedziała Tiffany.

Mama płakała trochę; dała jej nową kołdrę i świeżo upieczony bochenek chleba, żeby Tiffany miała na czym kłaść ser, który zrobiła tego ranka.

W połowie zbocza Tiffany odwróciła się, by spojrzeć na farmę. Zobaczyła rodziców stojących obok siebie. Pomachała im i ruszyła dalej, już się nie oglądając. To był długi dzień.

Dni zawsze były długie.

Później, wieczorem, przygotowała sobie posłanie w chacie i wyszła poszukać drewna. Biała kotka Ty szła tuż za nią.

Tiffany dobrze znała wąskie ścieżki w Kredzie — przed laty chodziła po nich z babcią Obolałą. Kiedy dotarła na szczyt wzniesienia, zobaczyła, że ktoś idzie przez niewyraźne cienie zmierzchu między drzewami.

I to nie jedna samotna osoba. Zdawało się, że widzi dwie postacie, obie dziwnie znajome. Za nimi, czujnie zważając na każdy gest, każde skinienie, każde gwizdnięcie, truchtały dwa owczarki.

Babcia Weatherwax, pomyślała Tiffany. Ręka w rękę z babcią Obolałą, z Gromem i Piorunem u nogi. I w jej myślach nieproszone zabrzmiały słowa: Ty jesteś pasterską koroną, dżygicie. Ty jesteś pasterską koroną.

Jedna z postaci spojrzała i skinęła jej lekko, druga natomiast przystanęła i skłoniła głowę. Tiffany pokłoniła się w odpowiedzi, z powagą i szacunkiem.

Wtedy obie postacie zniknęły.

W drodze powrotnej Tiffany przyjrzała się kotce i pod wpływem nagłego impulsu przemówiła do niej:

— Ty, gdzie jest babcia Weatherwax?

Po chwili kotka zamiauczała przeciągle, i zdawało się, że brzmi to jak Miauu...szędzie. A potem zamruczała jak każdy kot, i otarła łebek o nogę Tiffany.

Tiffany pomyślała o małej polance w lesie, gdzie leżała babcia Weatherwax. Pamiętana.

I wiedziała, że Ty ma rację. Babcia Weatherwax rzeczywiście była tutaj. I tam. Naprawdę była i zawsze będzie wszędzie.

\* \* \*

Kiedy rozeszła się wieść, że Tiffany wróciła do Kredy na dobre, do jej pasterskiej chaty zaczęli przybywać goście.

Joe Obolały zjawił się, by przekazać kilka wiadomości — i nowy list od Prestona! — oraz przynieść Tiffany parę rzeczy, o których jej matka uznała, że się przydadzą. Z aprobatą rozejrzał się po wnętrzu chaty — Tiffany urządziła wszystko bardzo wygodnie. Z uśmiechem spojrzał na książki na półce. Tiffany zostawiła na farmie Choroby owiec babci Obolałej, ale Kwiaty Kredy i Xięga Baśniowych Opowyeści dla Grzecznych Dzieci znalazły miejsce obok małej pasterskiej korony, którą od niego dostała. Na drzwiach, na drewnianym kołku, wisiał jej kapelusz czarownicy.

— Pomyślałem, że to też może ci się przydać — powiedział tato. Wyjął z kieszeni butelkę Specjalnej Maści na Owce (przygotowanej według przepisu babci Obolałej) i postawił ją na półce.

Tiffany zaśmiała się i miała nadzieję, że tato nie usłyszał okrzyku „Łojzicku!” z dachu chaty.

Uniósł głowę, kiedy obłoczek pyłu spłynął w dół z miejsca, gdzie Duży Jan usiadł na Tępaku Wulliem, żeby go uciszyć.

— Mam nadzieję, Tiff, że nie masz tu jeszcze korników.

Zaśmiała się znowu i uścisnęła go na pożegnanie.

Także pan Block wkrótce się zjawił. Dotarł na górę zasapany i zastał ją siedząca z kotką Ty na kolanach i przebierającą stare ubrania.

Tiffany patrzyła nerwowo, jak stary stolarz okiem zawodowca ogląda chatę ze wszystkich stron i od spodu. Kiedy skończył, poczęstowała go herbatą i spytała, co myśli.

— Dobrze się sprawiłaś. Bardzo dobrze. Nie widziałem jeszcze, żeby chłopak terminator nauczył się stolarstwa tak szybko jak ty, a przecież jesteś dziewczyną.

— Nie dziewczyną — sprostowała Tiffany. — Jestem czarownicą. — Zerknęła na kotkę obok siebie. — Tak jest, Ty. Prawda?

Przez chwilę pan Block przyglądał się jej podejrzliwie.

— Czyli użyłaś magii, żeby zbudować tę chatę, moja panno?

— Nie musiałam — odparła Tiffany. — Magia już tu była.

*Koniec*



SŁOWNIK FEEGLÓW

zredagowany dla osób delikatnej natury

(Praca realizowana przez pannę Perspikację Tyk)

Badoń: osoba niesympatyczna.

Bida: ogólny okrzyk rozpaczy.

Blektaki: bzdury, nonsens.

Bogiel: patrz Badoń

Bomiewezno: być zirytowany, zdesperowany (jak w: „Bomiewezno, jak nie dostanę herbaty”).

Borok: ktoś słaby.

Broza: owsianka z dodatkiem kropelki mocnego trunku — albo więcej niż kropelki. Należy zachować ostrożność, gdyż rosną od niej włosy na piersi.

Chłystek: osoba ogólnie niesympatyczna.

Chodek: wygódka.

Dugoń: coś dziwnego, niesamowitego. Czasami, z jakichś powodów, oznacza także coś podłużnego.

Feszt: zmartwiony, zaniepokojony.

Gamoń: osoba bezużyteczna.

Gonagiel: bard klanu, posiadający talent do instrumentów muzycznych, poematów, opowieści i pieśni.

Grubeszychy: istoty ludzkie.

Kelda: żeńska głowa klanu, a w końcu także matka większości jego członków. Noworodki Feeglów są bardzo małe, a kelda może ich w życiu urodzić setki.

Krucy: wielkie corne ptoski, większości ludzi znane jako kruki.

Łochfiara: patrz Gamoń.

Łocy: oczy.

Łojzicku: ogólny okrzyk, który może oznaczać wszystko, od „Ojej” do „Właśnie straciłem cierpliwość i zbliżają się poważne kłopoty”.

Łowiecki: wełniste stwory, które jedzą trawę i robią meee. Nie mylić z myśliwskim.

Misio: bardzo ważne zobowiązanie, wynikające z tradycji lub magii. Nie małe zwierzę.

Parówa: spotykana jedynie w wielkich kopcach Feeglów w górach, gdzie jest dość wody, by pozwolić na regularne kąpiele. Jest to pewna odmiana sauny. Feeglowie z Kredy polegają raczej na tym, że na skórze można zgromadzić warstwę brudu tylko określonej grubości; potem sam zaczyna odpadać.

Paskud: osoba naprawdę niesympatyczna.

Popsedni Świat: Feeglowie wierzą, że są martwi. Ten świat jest taki przyjemny, przekonują, że za życia musieli być naprawdę bardzo dobrzy, a potem umarli i trafili tutaj. Pozorna śmierć tutaj oznacza jedynie powrót do Poprzedniego Świata, który — jak uważają — jest dosyć nudny.

Scygo: stara kobieta.

Specjalna Maść na Owce: przykro mi to mówić, ale chodzi prawdopodobnie o pędzoną gospodarskim sposobem whisky. Ulubiony trunek Feeglów. Nie próbujcie robić jej w domu.

Spog: skórzany mieszek, noszony z przodu u pasa. Feegle trzyma tam swoje kosztowności, a także niedojedzoną żywność, ciekawe owady, przydatne gałązki, szczęśliwe kamyki i tak dalej. Grzebanie ręką w spogu nie jest rozsądne.

Syćko: wszystko.

Tajułki: sekrety.

Tocyć swojom kłode: przyjmować to, co nam los zgotuje.

Usok: kudłate zwierzę z białą kępką w miejsce ogona, dzięki czemu łatwo je wypatrzyć. Czasami nazywane królikiem. Dobre do jedzenia, zwłaszcza z dodatkiem odrobiny ślimaczej przyprawy.

Wiedźma: czarownica w dowolnym wieku.

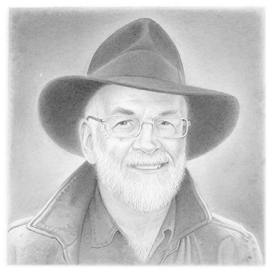
Wiedźma wiedźm: bardzo ważna czarownica.

Wiedźmienie, wiedźmowanie: wszystko, co robi czarownica.

Wielki Gość: wódz klanu (zwykle mąż keldy).

Wkunzony: jak mnie zapewniono, oznacza to „zmęczony”.

Zafajdoć gatki: ehm, delikatnie ujmując... Być bardzo, ale to bardzo przerażonym. Jak to bywa.



*1948—2015*

POSŁOWIE

Pasterska korona to ostatnia powieść Terry’ego Pratchetta. Powstała w ostatnim roku jego życia, zanim w końcu ustąpił wobec szturmów zespołu Bensona, jaki zdiagnozowano u niego jeszcze w 2007 — w roku, kiedy napisał Nację. W owym czasie Terry sądził, że może mieć przed sobą niecałe dwa lata życia, i to spowodowało w jego twórczości pewien pośpiech. Pod tym względem nigdy nie był leniwy, ale teraz wszystkie zdarzenia oceniał według liczonych w czasie kosztów. Jeśli coś miało go oderwać od pisania, musiało chodzić o coś naprawdę ważnego, na przykład karmienie kur albo opieka nad jego żółwiami. Ponieważ tak wiele książek chciał jeszcze napisać.

O odporności Terry’ego, o jego determinacji, by nie poddawać się bez walki, wiele mówi fakt, że pomiędzy Nacją a Pasterską koroną napisał pięć pełnowymiarowych i bestsellerowych powieści (a także współpracował ze Stephenem Baxterem przy pięciu tomach cyklu Długiej Ziemi). Wciąż rozwijał kolejne pomysły — aż do ostatnich miesięcy życia[[55]](#footnote-55).

Terry tworzył zwykle więcej niż jedną książkę równocześnie i podczas pisania odkrywał, o czym każda z nich opowiada. Zaczynał w którymś miejscu, w trakcie pracy opowiadał sobie historię, spisywał te fragmenty, które widział wyraźnie, a kiedy skończył, składał wszystkie w jedną całość — jak gigantyczne literackie puzzle. Ale po złożeniu pisał nadal, dodawał pewne elementy, poprawiał fragmenty, bezustannie wygładzał i uzupełniał o łączące zdania, dorzucał jakieś przypisy czy sceny. Wydawcy musieli często niemal siłą wydzierać mu maszynopis, bo zawsze uważał, że może coś jeszcze poprawić — mimo że w tym czasie zdążył już zagłębić się w kolejnym tekście, który szarpał go za rękaw. W końcu książkę posyłano do drukarni i Terry niechętnie wypuszczał ją z rąk.

Terry już od kilku lat zastanawiał się nad kluczowymi elementami ostatniej opowieści o Tiffany Obolałej i babci Weatherwax. Zasadnicze sceny napisał, kiedy pracował jeszcze nad Parą w ruch, a potem przerabiał je kilkukrotnie, budując wokół nich całość Pasterskiej korony.

Pasterska korona ma początek, środek i koniec, a także wszystkie fragmenty pomiędzy — i wszystkie je napisał Terry. Ale mimo to, kiedy umierał, nadal nie była ukończona całkiem tak, jak by sobie tego życzył.

Gdyby Terry żył dłużej, z całą pewnością napisałby więcej. Są w powieści elementy, o których chcielibyśmy wiedzieć więcej. Jednak to, co dostajemy do rąk, to niezwykła książka, ostatnia książka Terry’ego, i gdybyście chcieli dowiedzieć się czegoś jeszcze, możecie to sobie wyobrazić.

Rob Wilkins

Maj 2015

Salisbury, Wielka Brytania



PODZIĘKOWANIA

Mimo skutków choroby Alzheimera, Terry chciał pisać jak najdłużej. Było to możliwe również dzięki pomocy zespołu redakcyjnego. Lyn, Rhianna i Rob chcą tu szczególnie podziękować Philippie Dickinson i Sue Cook za ich niestrudzone wsparcie i zachętę, dzięki którym płynęły słowa.

1. Feeglowie co do jednego wierzyli, że muszą być martwi, skoro świat, w którym teraz żyją, jest tak wspaniały i tak pełen licznych okazji do kradzieży, bijatyk i pijatyk. Kraina w sam raz odpowiednia dla poległych bohaterów. [↑](#footnote-ref-1)
2. Niekiedy dosłownie, gdyż kelda rodzi zwykle do siedmiorga małych Feeglów naraz. Sama Jeannie wydała na świat córkę w swoim pierwszym miocie. [↑](#footnote-ref-2)
3. Ojciec lorda Swivela nie uważał tego za stratę, jako że doskonale się bawił, przepijając rodzinną fortunę. [↑](#footnote-ref-3)
4. Lord wiedział też, że bogowie mają niekiedy kłopotliwe żądania. Jego wspólnik postanowił podążyć drogą Offlera, boga-krokodyla, a potem odkrył, że musi trzymać ptaszarnię pełną ptaków czyszczących uzębienie, by zaspokoić dentystyczne kaprysy swego bóstwa. [↑](#footnote-ref-4)
5. Szczera prawda. Za to bardzo wielu ludzi przybywa z Czteriksów — jak to często bywa z Miejscami, o Których Nikt Nie Słyszał. Tym ludziom po prostu nigdy nie chce się wrócić. [↑](#footnote-ref-5)
6. Co pokazuje, że z książek wiele można się nauczyć, choćby tego, jakie imiona nadawać demonicznie sprytnym kozłom. [↑](#footnote-ref-6)
7. Legenda o Pilotusie i jego synu Langasie, którzy chcieli latać jak ptaki, znana była każdemu w miarę wykształconemu chłopcu. Pilotus i Langas rzeczywiście skonstruowali sobie skrzydła, klejąc razem pióra i puch ostów. Chłopiec przynajmniej przefrunął kawałek, ale starszy i korpulentny ojciec rozbił się od razu. Morał z tej historii jest taki, że warto rozumieć, co się robi, zanim się to zrobi. [↑](#footnote-ref-7)
8. Mydło babci było trochę jak jej rady: twarde, ostre i czasem nieco piekło, ale działało. [↑](#footnote-ref-8)
9. Pomysł zyskał wielką popularność wśród młodych chłopców, ponieważ uważali, że wszyscy — a „wszyscy” stanowczo obejmowało też młode dziewczyny — powinni pływać bez ubrań. [↑](#footnote-ref-9)
10. Chociaż gdyby zachowała się niewłaściwie, Agnes miała bardzo wygodne usprawiedliwienie: że to wcale nie ona wykonała na stole taniec Diabła-między-Piktalami, ale jej druga osobowość, Perdita, osoba o wiele bardziej otwarta, a przy tym o wiele szczuplejsza. [↑](#footnote-ref-10)
11. Nie wiedziała o tym, ale pewien bystry młody filozof z Efebu rozważał tę samą zagadkę, aż do pewnego ranka, kiedy znaleziono go — przynajmniej większą jego część — w otoczeniu sporej liczby mruczących głośno i dobrze odżywionych kotów. Potem nikt jakoś nie chciał kontynuować jego badań. [↑](#footnote-ref-11)
12. Oraz posiłki. Niewiarygodne, jak noc w ciele sowy i przekąski z myszy polnych mogą zostawić rankiem naprawdę nieprzyjemny posmak w ustach. [↑](#footnote-ref-12)
13. Nie musiała. Babcia Weatherwax była niczym dziób okrętu. Morza rozstępowały się przed nią. [↑](#footnote-ref-13)
14. Wym. „Skou-riik”. [↑](#footnote-ref-14)
15. To jedyny znany przypadek, kiedy Feeglowie odbudowali pub, który najpierw całkiem opróżnili z zapasów alkoholu, a potem zdemolowali. Ta odbudowana wersja stanęła niestety tyłem do przodu, z wielkim dojrzałym czyrakiem na wspomnianym karku. [↑](#footnote-ref-15)
16. Co dowodzi, że marzenia, które się spełniają, nie zawsze są tymi właściwymi marzeniami. Czy noszenie szklanego pantofelka prowadzi do wygodnego życia? Jeśli wszystko, czego człowiek dotyka, zmienia się w słodką piankę, czy rzeczy nie staną się trochę... lepkie? [↑](#footnote-ref-16)
17. Zanudzanie świń pozwalało uniknąć licznych nieprzyjemnych pisków. Zanudzaczka, taka jak Petulia, po prostu mówiła do świń, aż te umierały z nudów. [↑](#footnote-ref-17)
18. W zasadzie, jeśli coś miało w sobie jakieś ziołowe składniki, Magrat i Verence zakładali, że na pewno pomoże. W przypadku niektórych ziół z ogrodu babci Weatherwax było to raczej wątpliwe. Przynajmniej w krótkim okresie. I może lepiej wtedy nie oddalać się za bardzo od wygódki. [↑](#footnote-ref-18)
19. Wbrew powszechnym przekonaniom żadna znana Tiffany czarownica nie nauczyła się jeszcze kierować miotłą, równocześnie trzymając parasolkę. [↑](#footnote-ref-19)
20. Występował też, jak zwykle, człowiek wkładający sobie łasice do spodni. Dlatego byli potrzebni doktorzy. [↑](#footnote-ref-20)
21. W górze bywa przeraźliwie zimno i żadna rozsądna czarownica nie wzleci w niebo bez kilku warstw flaneli między sobą a miotłą. [↑](#footnote-ref-21)
22. Kolejna drobna wskazówka. [↑](#footnote-ref-22)
23. „Mogły” to nie jest odpowiednie słowo, opisujące stosunek do niezliczonych prac, wymaganych od każdej młodej kobiety, która wyszła za któregoś z synów niani Ogg — „musiały” wydaje się bardziej odpowiednie. [↑](#footnote-ref-23)
24. Powiedziane w sposób, który sprawiał, że każdy słuchający natychmiast to rozumiał. [↑](#footnote-ref-24)
25. I usłyszała. Ponieważ liczne ozdoby pani Skorek zapowiadały ją tak intensywnym brzękaniem, jakby miały ambicję przejść od funkcji zestawu amuletów i talizmanów do wykonania pełnej instrumentalnej fanfary. [↑](#footnote-ref-25)
26. Co prawda Feegle skłonny był bez zmrużenia oka kłamać na praktycznie dowolny temat, więc chodząc do wygódki, Tiffany wciąż wypatrywała mignięć Feeglów. Kiedyś śnił jej się koszmar, w którym Feegle wyskakiwał z drugiego otworu dwumiejscowego przybytku u rodziców. [↑](#footnote-ref-26)
27. Wymawiane „Szufle”, zgodnie z tą niezwykłą regułą, że im bardziej arystokratyczna jest rodzina, tym dziwniejsza staje się wymowa nazwiska. Tiffany słyszała kiedyś, jak pewien wysoko urodzony gość, niejaki Ponsonby-Macklewright (Pwt) mówił o Rolandzie Szf. Zastanawiała się, jak sobie radzą przy stole, gdyby Pwt przedstawiał Szf powiedzmy Wm albo Humf. Z pewnością mogło to prowadzić do nieporozumień. [↑](#footnote-ref-27)
28. Rozpoznanie prawdy jest o wiele trudniejsze. [↑](#footnote-ref-28)
29. Odważny musi być człowiek, który potrafi spojrzeć na klan Feeglów i nie próbować zawiązać sobie wokół kostek nogawek spodni. [↑](#footnote-ref-29)
30. Ropuch był prawnikiem Feeglów; ciało ropuchy zyskał wskutek nieporozumienia z wróżką chrzestną. [↑](#footnote-ref-30)
31. Prawdę mówiąc, to właśnie Feeglowie przypadkiem podpalili miotłę Tiffany, przez co koniecznie wymagała nowych gałązek. [↑](#footnote-ref-31)
32. Są pewne zalety w noszeniu dwucyfrowej liczby warstw odzieży. Krasnoludy je lubią: kolczugi, kurty oraz tradycyjne wełniane kamizele, które powodują, że kolczuga staje się zbędna. [↑](#footnote-ref-32)
33. „Rzeka” jako słowo nie całkiem opisuje szlam Ankh w jej korycie na terenie miasta. Chociaż oczywiście w górach, w Lancre, nurt jest całkiem bystry. [↑](#footnote-ref-33)
34. Klasa służących z Überwaldu; zwykle pracują jako lekarze albo asystenci szalonych naukowców. Wierzą, że szew w odpowiedniej chwili oszczędza wielu kłopotów później. Już od wczesnego wieku lubią wymieniać części ciała, często między krewnymi. Kiedy Igor mówi, że ktoś „ma nos po wuju”, nie jest to przenośnia. [↑](#footnote-ref-34)
35. Czyli właściwie była nową miotłą. W każdym razie tak nową, jak sławny dziewięćsetletni rodzinny oskard, będący niegdyś własnością króla krasnoludów. [↑](#footnote-ref-35)
36. Baron dał Feeglom na własność kawał ziemi oraz obietnicę, że nie zbliży się tam żaden ostry metal większy od noża. Ale Feeglowie sami kłamali bez przerwy, woleli więc być gotowi z butem, głową i pięścią, gdyby zjawił się jakiś inny kłamca. [↑](#footnote-ref-36)
37. Oczywiście, lot wykonywała Morag, wytresowana przez Hamisha samica myszołowa. Opanowanie sztuki latania nie stanowiło więc dla Feegla problemu. Lądowanie to całkiem inna sprawa. [↑](#footnote-ref-37)
38. Można by pomyśleć, że taka nazwa jak Smród zniechęci przybyszów. Jednak w rzeczywistości ta górska wioska była prawdziwą atrakcją turystyczną. Ludzie lubili wysyłać stamtąd do domu kartki „Śmierdzimy w Smrodzie”. I wracając, zabierać dla rodziny prezenty w rodzaju tunik z napisem „Byłem w Smrodzie i wszystko, co stamtąd przywiozłem, to ta śmierdząca tunika”. Niestety, z przybyciem kolei — a raczej, w przypadku Smrodu, z nieprzybyciem kolei — turyści zaczęli jeździć w inne miejsca i teraz Smród stopniowo zapadał się w błocie. Mieszkańcy utrzymywali się z wzajemnych drobnych usług. [↑](#footnote-ref-38)
39. Zapisana jest w Xiędze Baśniowych Opowyeści dla Grzecznych Dzieci i mówi o tym, jak dwa małe elfy w tajemnicy pomogły biednemu szewcowi. Jednak smutne doświadczenia nauczyły Tiffany, że wiele opowieści w książce nie ma absolutnie żadnego związku z rzeczywistością. [↑](#footnote-ref-39)
40. Jednak większość księżniczek nigdy nie próbowała całować ropuch, co od wielu lat budziło smutek ropuszego prawnika Feeglów. [↑](#footnote-ref-40)
41. Przyjacielem niani przy tamtej okazji był hrabia Casanunda, półzbójnik — to znaczy zbójnik, który przy siodle woził drabinę, a to dlatego, że był krasnoludem. Zawsze nadzwyczaj szarmancki dla napotkanych dam. [↑](#footnote-ref-41)
42. Myśl, z której z całą pewnością wyrośnie, jeśli tylko pożyje dostatecznie długo. [↑](#footnote-ref-42)
43. Co prawda mówi się, że elfy są jak koty, ale koty potrafią działać wspólnie — na przykład dzieląc się zdobyczą. Elfy kłócą się i szarpią tak, że ktoś trzeci może im zabrać jedzenie. [↑](#footnote-ref-43)
44. Niestety, pieniądze znikały szybko, jak przekonywał się każdy, kto dostał złoto elfów. Zwykle z nadejściem dnia — co dawało okazję do wesołego wieczoru w gospodzie. I o wiele mniej wesołego wieczoru następnego dnia, jeśli dany osobnik odwiedził ten sam lokal. [↑](#footnote-ref-44)
45. Szczera prawda, ale wydostawanie się z tych miejsc bywa trudniejsze, zwłaszcza jeśli jest tam jakiś mocny napitek. [↑](#footnote-ref-45)
46. Rzeczywiście. Popularny żart głosi, że większości mieszkańców Kromki więcej niż kromki brakuje do pełnego bochenka. [↑](#footnote-ref-46)
47. Wydaje się prawem wszechświata, że kiedy spotykają się dwie lub więcej wysoko urodzone damy, babeczki są niezbędne. Inaczej sufit mógłby się na nie zawalić. [↑](#footnote-ref-47)
48. Bardzo delikatne określenie, jeśli chodzi o Agnes, używane tylko przez jej przyjaciół. [↑](#footnote-ref-48)
49. Taniec, który powinno się wykonywać wyłącznie wtedy, kiedy w pobliżu nie ma żadnych kobiet. Kto go zobaczy, zrozumie dlaczego. [↑](#footnote-ref-49)
50. Większość zwykłych, pracujących czarownic uważała, że najlepszym miejscem dla książki jest gwóźdź w wygódce. [↑](#footnote-ref-50)
51. A w każdym razie jego część, wspomnienia przeniesione do jej umysłu wskutek pewnego epizodu na wczesnym etapie czarowniczego życia. Dość pedantyczna wiedza maga, zwłaszcza w zakresie języków starożytnych, bywała niekiedy bardzo przydatna, na przykład gdy Tiffany chciała przeczytać dziwaczne menu w Ankh-Morpork. [↑](#footnote-ref-51)
52. W Lancre nie brakowało takich elementów, więc miał szeroki wybór możliwych pól bitwy. Pod warunkiem że będą to pola bardzo strome. [↑](#footnote-ref-52)
53. Horacy był kanibalistycznym serem, adoptowanym członkiem klanu. [↑](#footnote-ref-53)
54. To znaczy z Shawnem Oggiem, pełniącym kolejną ważną dla monarchii funkcję. [↑](#footnote-ref-54)
55. Już się nie dowiemy, w jaki sposób staruszkowie z Twilight Canyons rozwiążą zagadkę zaginionego skarbu i powstrzymają Czarnego Władcę, mimo coraz większych kłopotów z pamięcią, jakie są sekrety kryształowej groty i drapieżnych roślin w The Dark Incontinent, jak funkcjonariusz Feeney rozwiąże kryminalną zagadkę wśród przyzwoitych i od urodzenia uczciwych goblinów ani o czym mogła opowiedzieć druga książka o niezłomnym Maurycym, tym razem jako kocie pokładowym na statku. A to tylko kilka pomysłów, o których wiedzieli współpracownicy i rodzina. [↑](#footnote-ref-55)